LISTOPAD 1932

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

TREŚĆ:

SURSUM CORDA!

Fala groźnego defetyzmu i marazmu ogarnęła społeczeństwo polskie, a zwłaszcza sfery naszej wyższej inteligencji. Kryzys gospodarczy, potęgowany z dniem każdym oddziaływaniem niszczącego ustawodawstwa gospodarczego i społecznego, trwającego dotąd wciąż jeszcze z czasów współrządu stronnictw demagogicznych, gnębi ludzi materjalnie, a na jego tle, — a może i niezależnie od niego? — szerzy się z siłą epidemji kompletny upadek ducha, wiary w siebie, a przedewszystkiem wszelkiego programu, wszelkiej racjonalnej myśli o jutrze.

Codzienne rozmowy i stosunki z ludźmi wykazują wprost nieprawdopodobnie groźne zjawiska. Sfery umiarkowane, t. zw. wyższe, mające jeszcze coś do stracenia, a przedewszystkiem mające obowiązek obrony pewnych zasad moralnych, społecznych i gospodarczych, rezygnują z obrony własności prywatnej. Trzeba walczyć z niemi o to fundamentalne prawo cywilizacji i ładu społecznego! Jakgdyby niedość było doktryn i elementów radykalnych, które starają się zrealizować doktrynę Marksa, zniszczyć prawo własności, a za nim i ustrój rodziny i polskość wogóle! Bo jedno z drugiem i z trzeciem stoi w ścisłym, organicznym związku.

Sfery gospodarcze wszelakiego rodzaju stosują w rozpaczy swej na coraz szerszą skalę samobójczy system apelowania we wszystkiem do rządu, ściągając tą metodą na siebie i na państwo całe mimowoli — wbrew intencjom rządu i swym własnym — widmo socjalizmu państwowego. Niepodobna już mówić z rolnikiem, przemysłowcem, kupcem, rzemieślnikiem, czy finansistą, żeby na dziesięć słów wypowiedzianych nie wymienił przynajmniej dzie-

więć razy terminu „pomocy rządowej". A różni wybitni ekonomiści, których pierwszem zadaniem w takich warunkach byłoby defetyzmowi temu stanowczo przeciwdziałać, kapitulują jasno i wyraźnie w przemówieniach swych i na łamach prasy — nawet umiarkowanej — wobec różnych pomysłów ustrojowych na modłę sowieckiego reżimu! Wybitni prawnicy ogłaszają tezę płynności wszelkich norm prawnych wobec „ewolucji postępu" i rzekomej niemożliwości stworzenia państwu jakichś trwalszych norm ustrojowych wobec możliwych wymagań przyszłościowych tejże ewolucji!

Jedni i drudzy kapitulują na całej linji i zgadzają się na wszystko, byle tylko nie żądać od nich zdecydowanego wypowiedzenia się i moralnego zaangażowania w jakimś stanowczym kierunku.

Wyraz „program" został wykreślony ze słownika polskiego, a zwłaszcza ze słownika wyższych warstw społeczeństwa. Wolno tylko politykować z dnia na dzień, biadać, szerzyć rozpacz i defetyzm i chwytać się — bolszewizującej brzytwy. A pozatem wolno jeszcze wyczekiwać cudów, które ktoś, gdzieś, kiedyś za całe społeczeństwo ma nagle spełnić za jednem poruszeniem jakiejś różdżki magicznej.

Piłsudski odpowiedział już raz wprawdzie tym wszystkim, którzy takich cudów i natchnień postronnych wyczekują, dobitnem określeniem: „Dureńki!". Ogłosił na ten temat obszerny artykuł. Ale społeczeństwo polskie jest niekiedy bardzo uparte i niepoprawne. Woli dusić się i ginąć w defetyźmie, byle tylko uniknąć fatygi pomyślenia o sobie i poderwania się do jakiejś systematycznej, planowej, samodzielnej akcji dla zaradzenia złemu. Każdy wymaga, aby to za niego i dla niego zrobił rząd, rząd, rząd i jeszcze raz... rząd!

Rezultatem takiego społecznego nastawienia, zwłaszcza warst wśrednich i wyższych — musi być nieuchronny upadek moralny i materjalny. Jest chyba rzeczą jasną,

eliminującą wszelką dyskusję, że defetyzmem, pesymizmem, bezplanowością i szukaniem natchnień po wszystkich rogach ulic niczego się nie zrobi. Nie pomogą tu ani rządy, ani sejmy, a już najmniej sperandy na pomoc finansową zagranicy, uzależnianą dzisiaj naiwnie od sielankowej tezy „braterskiego porozumienia“ narodów.

Ale nietylko marazm, defetyzm i kryzys gospodarczy sparaliżowały dzisiaj wyższe sfery inteligencji. Unieruchomił je nadto jeszcze jakiś niesamowity strach przed czemś zupełnie nieokreślonem i nierealnem — jakiś prawdziwie wschodni strach przed czemś „wielkiem nieznanem“, jaki stworzyła tylko przedwojenna literatura rosyjska.

Ten specjalny rodzaj paraliżującego strachu przed czemś nieokreślonem maluje doskonale nowela pewnego rosyjskiego autora (nazwiska, niestety, nie pamiętam). Siedzi wieczorem rodzina koło stołu i nagle, bez żadnej realnej przyczyny, pada na nią s t r a c h! Wszyscy spoglądają na siebie w grozie największego niepokoju, twarze pobladły, coraz wygląda ktoś przez okno, wypatrując zbliżenia się czegoś potwornego, nieznanego. I mimo, że nic w istocie nie grozi, nic się nie dzieje, rodzina siedzi sparaliżowana w atmosferze niesamowitego strachu.

Na tem kończy się owa prawdziwie „wschodnia“ opowieść. W takiej atmosferze i psychice my dzisiaj żyjemy. Ale taki pomysł literacki, zrealizowany w życiu publicznem, wydać może katastrofalne rezultaty. Bo proszę tylko pomyśleć, jaka przyszłość czeka społeczeństwo, którego oświeceńsze, przodujące warstwy sparaliżował w myśli, programie i działaniu taki fatalistyczny strach na modłę wschodnią?! Wszak w takiej atmosferze marazmu, kapitulacji, biernoty i strachu przed własnym głosem i cieniem niepodobna oprzeć się żadnemu złu, które zagraża państwu z wewnątrz i z zewnątrz. Bez jakiegoś zdecydowanego programu, bez dogmatu i bez wiary w siebie, niepodobna wogóle czegośkolwiek dokonać. Wola jest zawsze i wszę-

dzie pierwszym warunkiem, fundamentem i podstawą każdego produktywnego czynu. Warstwy społeczne, pozbawione zdecydowanej woli, a żyjące tylko w psychozie lamentu, bezprogramowości, rozpacznych porywów i fatalistycznego strachu, nie mogą być zdolne do jakiegokolwiek produktywnego czynu politycznego, czy gospodarczego, ale muszą zgrywać swą rolę. A na takiem podłożu szerzyć się muszą idee wywrotowe, które zawsze i wszędzie wybujają na glebie społecznej „kiereńszczyzny“.

Nie!! Nam tej atmosferze bezprogramu, defetyzmu i strachu poddawać się nie wolno! I nie poddamy się jej na łamach naszego pisma i w akcji jego zwolenników, choćbyśmy mieli się narazić wszystkim sferom zdefetyzowanego i psychicznie zetatyzowanego społeczeństwa! Bo my całkiem odmienne na obecną sytuację mamy zapatrywania i wiemy, że mocna wiara i wola może nawet góry poruszyć, a cóż dopiero zbiedzone i wyczekujące tylko jakiejś zdecydowanej inicjatywy społeczeństwo!

A więc, przedewszystkiem, wyznajemy pewną wypróbowaną zasadę: Pomóż sobie, a Pan Bóg ci dopomoże! Ta zasada przysłowiowa, przetłómaczona na język polityczny, brzmi: Pomóż sobie, a rząd (państwo) ci dopomoże! Jest to dla nas rzeczą tak oczywistą, tak bezspornym postulatem każdego realizmu politycznego, że wszelkie dyskusje na ten temat uważamy za bezpłodne. Można więc i trzeba współpracować z rządem polskim, gdzie tylko i jak tylko kto może, ale trzeba nadto pracować samodzielnie. Bo pojęcie współpracy z kimś nie wyczerpuje jeszcze bynajmniej całego pojęcia pracy, a najbardziej nawet aktywny rząd niewiele zdziała w państwie biernych, wyczekujących, sparaliżowanych w swej woli obywateli. Dlatego, przy najgorliwszem nawet popieraniu intencji rządu, nie pytaj ciągle, bezmyślnie, w kółko, co rząd robi lub robić zamierza, ale spytaj przedewszystkiem samego siebie: co ty sam robisz i robić zamierzasz?

I w jasnej, zdecydowanej odpowiedzi na to walne py-

tanie znajdziesz bez żadnej wątpliwości początek wyjścia z obecnego defetyzmu, marazmu i impasu.

Bo w państwie nowoczesnem, cywilizowanem, rząd nie jest i nie może być po to, aby wszystko za wszystkich myślał i robił i aby wszystkim i na wszystko... dawał pieniądze.

A zresztą, jakimże to sposobem może rząd państwa udzielać aż tak daleko posuniętej pomocy materjalnej, jakiej pragną obecnie wszyscy, jaka stała się wprost już alfą i omegą całego naszego życia gospodarczego i społecznego? Jeżeli nie ma sięgnąć do sztucznej, a w rezultacie swym zawsze katastrofalnej metody nadmiernej fabrykacji banknotów, to może wspomagać jednych tylko zapomocą wyciągania odpowiednich środków od innych obywateli. W pewnym, ograniczonym stopniu jest to możliwem i moralnie usprawiedliwionem. Zamożniejsi obywatele winni łożyć na potrzebujących pomocy. Taka akcja, poniekąd „wyrównawcza", jest jednem z zadań nowoczesnego państwa i odpowiada zupełnie ideologji chrześcijańskiej.

Ale jeżeli posuniętą zostanie zbyt daleko — aż do ustawowego rujnowania jednych obywateli na rzecz drugich? Jeżeli jedne kategorje obywateli szturmują wciąż i wciąż o pomoc rządową, która w danych warunkach może im być udzielona tylko drogą coraz większego przeciążania ogółu świadczeniami normalnemi i „kryzysowemi"? Ostatecznym rezultatem aż tak daleko posuniętej pomocy i ingerencji państwowej może być i musi być tylko „wymiana ubogich", czy wogóle potrzebujących, między poszczególnemi warstwami obywateli, przy wzmagającym się coraz bardziej etatyźmie, który wszędzie i zawsze przynosi ze sobą coraz większy moralny i materjalny upadek społeczeństwa. A więc tak pojęta pomoc państwowa, najeżona coraz gorszym, prawdziwie tragikomicznym przymusem, robi tyle, że wczoraj zamożny staje się dziś nędzarzem, a wczorajszy bankrut otrzymuje dzisiaj jakiś drobny zastrzyk ożywczy, który, notabene, na dłuższą metę zwy-

kle nie jest w stanie mu dopomóc. Ale ogólna ilość nędzy nie zmniejsza przez tę wymianę w państwie, a przeciwnie, zwiększa się przez samą sztuczność tego procederu, gdyż pomoc państwowa z natury rzeczy często niedość krytycznie obciąża jednych i niedość krytycznie wspomaga drugich.

A etatyzacja psychiczna społeczeństwa i niewiara we własne siły takie już zrobiła postępy, że obywatele często nie chcą inaczej mówić ze sobą, jak tylko za pośrednictwem rządu i w żadne prywatne nie wierzą przedsięwzięcie, o ile w niem takiego czy innego udziału rząd nie bierze! A ponieważ żaden rząd na świecie nie byłby w stanie tak szeroko pojętym postulatom „etatyzmu prywatnego" zadość uczynić, więc stąd ciągłe u nas rozczarowania, wyrzekania na rząd, defetyzm, apatja i stan poprostu beznadziejny.

Rozumiemy, że jest źle w danych warunkach sytuacji światowej i naszej polskiej rzeczywistości. Ale w „dawnych dobrych czasach", gdy źle bywało, to ludzie właśnie tembardziej podawali sobie ręce, wysilali wspólnie swe mózgi i brali się ze złem za bary. Wszak logicznem jest chyba, że w epoce dobrobytu stosunkowo mniej głowić się i łączyć i pracować wspólnie trzeba, jak w okresach kryzysku i nędzy. Obowiązuje to zarówno w życiu publicznem, jak i prywatnem. Ale dziś dzieje się przeciwnie. Jakoś wywróciły się po wojnie światowej najoczywistsze postulaty logiki i „zdrowego rozsądku". Bo wydajność energji, pracy, inicjatywy, zapału i solidaryzmu wysiłków uzależnia się dzisiaj zgóry, z zasady, od postulatu dobrobytu. Najpierw ma być dobrze, a potem weźmiemy się do pracy i pokażemy, co umiemy! — oto naczelna, dość powszechnie uzgodniona ideologja powojennej epoki.

Zdaje mi się, że powinno być wprost przeciwnie. Wszak już stare przysłowie mówi, że potrzeba jest matką wynalazków. A historja wykazuje, że jednostki i ludy tężeją i organizują się najlepiej w walce z przeciwnościami. Życie beztroskie, łatwe, miękkie, wygodne — osłabia. Im gorzej więc jest w danej epoce, w danem państwie, tem

większe, wdzięczniejsze i skuteczniejsze pole ma przed sobą tężyzna i inicjatywa prywatna. Na dotkliwe potrzeby i ciosy odpowiedzią winna być wzmożona aktywność, a nie kapitulacja, dojutrkowanie i apatja. Tak, a nie inaczej, rozumiemy sprawę. A jeżeli chwilowy ustrój państwa pod względem różnych jego norm politycznych, gospodarczych, czy społecznych, jest dla danego społeczeństwa w danych warunkach niekorzystny, jeżeli szereg ustaw, rozporządzeń, czy praktyk administracyjnych, czy organizacji różnego rodzaju, stanowi wyraźną przeszkodę dla pomyślnego rozwoju stosunków, to dane społeczeństwo ma przecież wszelką możność hamulce te stopniowo a konsekwentnie znieść czy zreformować. Jest to właśnie walnem zadaniem zarówno odpowiedniego nastawiania i nacisku opinji publicznej, jak i współpracy z rządem.

Ale, jakże tu myśleć o jakiejkolwiek planowej akcji w tym kierunku, jeżeli nawet wyższe sfery inteligencji pogrążone są w defetyźmie i etatyźmie, nie chcą żadnego programu, a nawet kapitulują z tak podstawowej zasady indywidualnego dobrobytu, jaką jest w pierwszym rzędzie prawo własności?!

Cóż więc robić? — słyszymy ciągle pytanie. Ależ samo to pytanie jest już w sobie katastrofą! Bo dzielny człowiek, któremu źle się dzieje, takich pytań nie zadaje. Ale uwzględniam, że przechodzimy ciężki kryzys nerwowy, że zbiegiem długiego szeregu przyczyn społeczeństwo wpadło w pewien stan psychicznego zamroczenia. I dlatego odpowiadam, chociaż odpowiedź na tak banalne pytanie oczywiście tylko banalną być może.

Ale najpierw krótka dygresja — niezbędna jako przesłanka.

Gdyby zapytał mnie ktoś całkiem obcy, nieznający zupełnie polskich stosunków, jaka jest w obecnej dobie najwybitniejsza, najbardziej typowa ze wszystkich cech charakteru moich rodaków, to, gdybym uznał za wskazane dać

mu odpowiedź, rzekłbym bez wahania: lekceważenie bliźniego.

Tak — w tem leży najpowszechniejsza dzisiaj wada zwłaszcza inteligencji polskiej, a zarazem największy hamulec jakiegokolwiek racjonalnego startu w kierunku naprawy. Lekceważenie drugiego i okazywanie mu tego lekceważenia, a przytem oczywiście swej rzekomej wyższości, stało się dzisiaj prawdziwą plagą wszystkich wyższych sfer polskiego społeczeństwa. Cierpi na tę wstrętną chorobę wielu, którzy jakiekolwiek, choćby śmiesznie drobne dzierżą stanowiska, przesadzając tysiąckrotnie swą rolę i znaczenie. Cierpi na nią także wielu, którzy żadnego określonego stanowiska, ani zadania nie mają. Cierpią ludzie osiwiali i doświadczeni, z wielką szkodą i dla własnej pracy i dla społeczeństwa; cerpią młodzi, którzy niczem jeszcze nie mogą się wykazać, a zato dużo jeszcze wosku mają na dziobie. Gdzie się zwrócisz w życiu publicznem, czy nawet prywatnem, wszędzie widzisz przed sobą jakiegoś małego wielkiego, czy wielkiego małego człowieka, który puszy się i nadyma, jak żaba z bajki i spogląda na cię zgóry, albo nawet i wcale nie spogląda, aby „zmiażdżyć cię“ swą wyższością. Widać wyraźnie, że okazanie ci lekceważenia jest jakgdyby najważniejszym celem każdej myśli i słowa, każdego ruchu i gestu takiego człowieka. Uchowaj Boże, żeby najlepszy twój przyjaciel dostał jakąś posadę! Choćby to najskromniejsza była posada, to już napewno zgóry traktować cię zacznie. Uchować cię Boże spotkać kogoś, kto przewyższa cię wiekiem o dwa lata, rangą o jeden stopień, mieszkaniem o dwa pokoje, majątkiem o dwie morgi lub rodowodem, o dwuch przodków starszym!

Żadna na serjo współpraca z takim człowiekiem nie będzie ci możliwą, bo on ani jej, ani ciebie na serjo nie potraktuje. Zgóry, z zasady! A ponieważ takich bliźnich znajdziesz tysiące i tysiące, więc jasnem jest, że z tego właśnie powodu żadna skuteczna inicjatywa, żadna planowa,

na serjo prowadzona i skoordynowana praca publiczna, ani racjonalna walka z obecnym kryzysem także nie jest możliwą. Ludzie nie chcą poprostu współdziałać i —koniec!

Jest to epidemiczne, do absurdu u nas doprowadzone lekceważenie bliźniego oczywiście tylko symptomem słabości danych sfer i ludzi. Jest to jakiś paralityczny snobizm, który, poniżając z jednej strony ludzi, o włos młodszych, czy stanowiskiem o włos niższych, wyszukuje równocześnie i płaszczy się przed każdym, o włos wyższym rangą, czy majątkiem, czy znaczeniem, czy choćby nawet tylko jakiemś przejściowem stanowiskiem. Jest więc w istocie swej wyrazem dziwnego snobizmu nie w górę, lecz w dół, poczuciem własnej nicości, która dla swego podtrzymania stara się gnębić jednych, a kłaniać innym, od których spodziewa się „podparcia".

Że w takich warunkach trudno coś zrobić, to rzecz oczywista. Wiecznie personalja i personalja, a nic dla samej sprawy. Jeżeli ludzie jeszcze gdzieś czasem się schodzą, to nietyle dla załatwienia sprawy — bo programu nie mają — ile przedewszystkiem, aby otrzeć się rękawem o prawdziwych lub wyimaginowanych dygnitarzy, upoić się tym haszyszem i wyrabiać sobie „wysokie stosunki", które, notabene, jak codzienne nieraz wykazuje doświadczenie, nie na wiele im się potem w praktyce przydadzą.

Oto pozornie niby drobna, ale w głębszej istocie kapitalna i aż nadto realna, codzienna przeszkoda zaktywizowania i zorganizowania inteligentnych sfer społeczeństwa do walki z kryzysem materjalnym, ustrojowym i moralnym. Chcąc więc ruszyć na serjo z miejsca i cośkolwiek trwałego w jakimkolwiek kierunku zbudować, a przynajmniej zapoczątkować, trzeba wpierw koniecznie tę walną przeszkodę — lekceważenie bliźniego — stanowczo podważyć. ośmieszyć i z naszego życia publicznego usunąć. Wówczas dopiero stosunki między ludźmi łatwiej się nawiążą, miejsce „komedji ludzkiej" zajmie produktywna rzeczowość i jakaś celowa, skoordynowana praca stanie się możliwą. Wszak

z armją, w której każdy szeregowiec za wodza się uważa i ma sobie za jakiś punkt honoru innych lekceważyć, kampanji wygrać niepodobna!

A teraz do pytania: co robić?

W danych, konkretnych warunkach, w jakie zabrnęliśmy z tysiąca przyczyn po wojnie światowej, praca i dążenia każdego muszą bezwarunkowo podwójnym iść torem.

Jeden tor — to zwykła, codzienna walka o chleb powszedni, to pospolita praca zawodowa, prowadzona w tych warunkach i tymi środkami, jakie obecnie są dane i dostępne, a więc w ramach istniejących urządzeń i ustroju. Ta praca, to ów codzienny t. zw. „nawał zajęć“, które stanowią dla każdego zwykłe, stereotypowe pensum dnia.

Ale ograniczenie się do takiego codziennego pensum zawodowego wystarczałoby naogół tylko w bardzo normalnych warunkach ustabilizowanego ustroju i dobrobytu, w których więc nie byłoby specjalnej potrzeby myślenia o jutrze. Gdy państwo polskie zabezpieczy definitywnie swą egzystencję zdobyciem naprawdę mocarstwowego stanowiska, otrzyma jakiś stały, racjonalny, korzystny dla wszystkich ustrój polityczny i gospodarczy, gdy odkładać zaczniemy większe oszczędności z nadmiaru zysków z pracy — wówczas wystarczy, ogółem biorąc, tylko skrzętne wykonywanie przez każdego obywatela jego codziennych zadań zawodowych, a maszyna państwowa biec będzie regularnie i bez większych wstrząsów po jednolitym torze. Ale w warunkach obecnych, z jakimi całe państwo, jak i każdy poszczególny obywatel, zmagać się musi, załatwianie jedynie tylko zadań codziennych stanowczo nie wystarcza, a nawet — właśnie przez brak pewnej szerszej koordynacji celów, przez brak jakiejś wspólnej, ogólniejszej platformy i programu — grozi coraz większą jałowością poszczególnych wysiłków i zabrnięciem w impas coraz beznadziejniejszy.

Trzeba więc koniecznie, aby na drugim torze, na drugim planie, poza dorywczą pracą codzienną, rozwijała się

jakaś planowa, bardzo systematyczna i możliwie skoordynowana akcja polityczno-gospodarcza, zmierzająca do stworzenia lepszych norm i podstaw egzystencji, do usunięcia szkodliwych haseł, doktryn, ustaw i innych hamulców. Trzeba koniecznie i to już jak najrychlej, zaraz, bez wahania, rozpocząć tę pracę „na drugim torze“, z myślą nie o dzisiejszych, dorywczych interesach, ale o jutrze, gdyż to jutro przyniesie nam właśnie ową „rzeczywistą rzeczywistość“ w stosunkach publicznych i prywatnych i rozstrzygnie o losach państwa i jednostki bez względu na dzisiejsze, dorywcze sukcesy czy niepowodzenia zawodowe, któremi wszyscy aż tak nadmiernie się przejmują, że o jutrze myśleć nie chcą i — jak wielu twierdzi — nie mogą.

I ta właśnie praca na drugim torze i planie stanowić winna właściwy temat i przedmiot polityki narodowej w szerokiem tego słowa znaczeniu. Nie drobne, efemeryczne perypetje dnia i konjunktury, ale to, co jutro będzie. Powinna budować nam stopniowo i niewzruszenie silne fundamenty, na których dorywcze, nieskoordynowane, bezplanowe życie codzienne mogłoby zacząć osiadać. Ileż to razy słyszy się lament w różnych zespołach, że taka czy inna akcja planowa nie została podjęta przed kilku laty! Uniknęłoby się dzisiaj wielu przykrych lub nawet groźnych sytuacji! Słusznie, ale wówczas wrodzony duch anarchiczny społeczeństwa polskiego, niechętny naogół wszelkiej systematycznej pracy programowej na nieco dłuższą metę i to epidemiczne lekceważenie bliźniego, o którem wyżej była mowa, uniemożliwiły podjęcie takiej akcji i zabezpieczenie się zgóry przeciw rujnującym skutkom dojutrkowania.

Błędem zaś jest wszystkich inteligentnych sfer społeczeństwa, a zwłaszcza sfer politycznych, że przedmiotem swej polityki, swego politycznego zainteresowania, czynią przeważnie właśnie owe codzienne, efemeryczne interesy, trudności zawodowe i postulaty. Tych bowiem żadne politykowanie zasadniczo nie usunie, a jeżeli zdoła nawet usunąć chwilowo lub załagodzić niektóre z nich, to zjawią się

wnet inne, jeszcze gorsze i w ten sposób doraźne z dnia na dzień „politykowanie“ lub „gospodarowanie“ kręcić się będzie młynkiem, jałowo, bez końca i końca.

Natomiast realna, prawdziwie owocna myśl polityczna, czy gospodarcza — pozostawiając pospolite trudności i zadania dnia raczej przemyślności prywatnej — zwrócić się winna z całą mocą i z całem zainteresowaniem do realizacji owych podstawowych zadań na drugim planie. A od tej właśnie pracy nie wolno nikomu wymawiać się „nawałem zajęć“ codziennych! Taka wymówka, zresztą codziennie słyszana, jest samobójczą, jest dowodem, że ten, kto jej używa, nie rozumie istoty sytuacji i nie dorósł do wysokości zadania nawet w swym codziennym zawodzie.

Stąd rada: p r z e s t a ć p o l i t y k o w a ć, b o d z i s i a j n i e c z a s y i n i e w a r u n k i p o t e m u, ale zabrać się do jakiejś planowej pracy politycznej i gospodarczej, z wytyczeniem dobrze określonych zadań i celów, wzbudzić odpowiedni ruch i nastawienie w opinji publicznej i skierować tem samem myśl rządów i sejmów w pożądanych przez społeczeństwo kierunkach.

W ten sposób wdroży się stopniowo coraz szersze warstwy na tory konkretnej pracy politycznej, która jest czemś całkiem odmiennem od codziennego, partyjnego „politykowania“. A taka praca, z określonym celem w różnych dziedzinach, musi bez żadnej wątpliwości pomyślne wydać rezultaty — z siłą najpierw kropli, potem coraz bystrzejszego strumienia, który drąży lub poleruje skały. Trzeba tylko mieć na oku rzecz i cel, a nie personalja, które wszelką celową akcję zawsze tylko trują i hamują. Niech o to nie chodzi, kto planuje i pracuje, ale co planuje, nad czem pracuje i jak pracuje? W tem cała tajemnica sukcesu. A więc: mniej snobizmu, mniej bezkrytycznego oklaskiwania słów mistrzów, a więcej objektywizmu, którego wymaga imperatywnie dzisiejsza sytuacja i rozwój cywilizacyjny niemal już połowy XX-go wieku!

A konkretnych programów, zadań i celów zaiste szukać nie trzeba w istniejącym nawale najpilniejszych potrzeb i problemów dzisiejszej Polski — zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Od reformy konstytucji do reformy ustroju gospdarczego, od najdonioślejszych celów zagranicznych i zbudowania Polsce dokoła jakiegoś „bloku bezpieczeństwa“, aż do spraw narodowościowych i wyznaniowych i wielu, wielu innych, pierwszorzędne zadania cisną się poprostu do ręki i każdemu myślącemu i aktywnemu człowiekowi otwiera się najszersze pole do inicjatywy i konstruktywnej pracy. Powiem więcej: im gorzej się dzieje, tem, niestety, szersze i wdzięczniejsze otwiera się każdemu pole działania, tem skuteczniejszą będzie napewno każda objektywna, zdecydowana i skoordynowana inicjatywa. Tylko nie bać się, nie gnuśnieć w jałowem wyczekiwaniu. w śmiesznym oportuniźmie i jeszcze śmieszniejszym strachu przed czemś nieznanem!

Nie miejsce tu na systematyczne wyliczanie tych przeróżnych, całkiem konkretnych, ściśle określonych zadań i celów, które stoją obecnie przed nami. Wie o nich dobrze każdy i każdy też mógłby dorzucić do nich sporą wiązkę własnej inicjatywy, dodać przynajmniej parę punktów do ogólnego programu. Zresztą, jeżeli chodzi o pewien start początkowy, to grono pisarzy i działaczy, współpracujących z wydawnictwem i akcją „Naszej Przyszłości“, wdrożyło już oddawna piórem, słowem i czynem chyba dostateczną na początek ilość aż nadto doniosłych i konkretnych zadań, rozciągniętych w szerokim wachlarzu niemal na wszystkie najważniejsze dziedziny naszego życia publicznego. Wyszczególnione zostały w odezwie, zamieszczonej na czele poprzedniego tomu wydawnictwa. W obecnym tomie, dwudziestym piątym, a więc poniekąd jubileuszowym, podkreślamy raz jeszcze te pięć punktów tymczasowego programu, które są już w pełnym toku realizacji, a do których każdy polityk lub człowiek gospodarczy może dodać dalsze. Wszystkie one wymagają tylko odpowiednio

silnego poparcia przez naprawdę myślące sfery społeczeństwa.

Zwracamy również uwagę na ogłoszony też w poprzednim tomie nasz projekt konstytucji. Jakkolwiekby go ktoś osądził w swym krytycyźmie, to w każdym razie znajdzie tam cały szereg tez i podniet programowych, a wśród nich zwłaszcza hasło „prawa do uczciwego zarobku", które rzuciliśmy przeciw utartym przez demagogję tendencjom proletaryzacji jednostki. Hasłem tem, wcielonem w rzeczonym projekcie w cały szereg konstytucyjnych norm fiskalno-gospodarczych, wypowiadamy walkę nowoczesnej wprawdzie, ale już starzejącej się tezie państwa-molocha, która przez nadużycie pojęć patrjotyzmu dąży do zniszczenia istotnej treści państwa, t. j. jednostki. Już to jedno hasło, w konsekwentnej swej realizacji na wszelkich polach, powinno skupić koło siebie wszystkich obywateli, którzy mają coś do stracenia i zarazem wszystkich, głębiej myślących patrjotów, którzy powinni rozumieć, że państwo, niwelując i proletaryzując obywatela i odbierając mu przez to naturalną podnietę do twórczej pracy, niszczy swe własne podstawy i swą rację bytu.

Proszę przyłożyć tę zasadę, ten program, praktycznie a konsekwentnie do całego naszego ustawodawstwa i nastawienia opinji w zakresie gospodarczym, społecznym i fiskalnym, a roboty będzie wbród dla wszystkich i na długie lata!

A jest to robota, którą dzisiaj bardzo skutecznie można prowadzić, bo samo życie staje się na całym świecie jej sprzymierzeńcem, wykazując ad oculos katastrofalne skutki doktryn radykalnych, fiskalizmu i etatyzmu.

Ale na początku musi być zawsze wola — silna, zdecydowana wola, świadoma swej racji i swych celów. Wola ta, emanując z tych czy innych środków intelektu, które inicjatywę i tężyznę wykażą, wstrząsnąć powinna zgnębionem, apatycznem społeczeństwem, przerwać błędne koło oportunistycznego, jałowego politykowania, zostawić w ty-

le różne, zaplątane w skomplikowanych formułkach autorytety i stłumić wszelkie niemęskie uczucia bezradności, defetyzmu i biernego wyczekiwania.

Patrzmy trzeźwo na sytuację, bez różnobarwnych okularów partyjnych, ale nie dajmy opanować się psychozie „wschodniego lęku". Nie wmawiajmy w siebie, że jakimś systemem planowego milczenia dokonamy wielkich rzeczy dla państwa, doczekamy się cudów! Tych bowiem w życiu publicznem nigdy nie było i nie będzie.

Jest w kraju źle, bo ludzie, nadmiernie pogrążeni w codziennych interesach, nie chcą widocznie, aby lepiej było. Twierdzimy stanowczo, że gdy tylko zdecydowana wola i niemniej zdecydowana myśl programowa w społeczeństwie się ujawni, to pomyślne wyniki nie dadzą czekać na siebie.

I dlatego powtarzamy z naciskiem naszą dewizę: Do góry — sursum corda!

Jan Bobrzyński.

WYCHOWANIE A RELIGIJA.

W życiu mojem umysłowem zagadnienia pedagogiczne zajmowały nader skromny kącik. Trochę się zastanawiałem nad niemi w latach pierwszej młodości, ale brałem je ze strony „romantycznej“. Mieliśmy za soba straszną klęskę 1863 roku, myśl o ratowaniu Ojczyzny przewodniczyła młodzieńczym naszym marzeniom; jedni, nieliczni, romantycy czynu, snuli nadal plany zbrojnego powstania, inni, nierównie liczniejsi, odkładali to na daleką, nieokreśloną przyszłość. Czyż po świeżych, a krwawych i okrutnych doświadczeniach, w chwili, gdy carat wytężał i skupiał wszystkie siły swoje w rusyfikacyjnym terrorze, nowa walka orężna nie naraziłaby na nowe i tym razem może śmiertelne ciosy?

Pod wpływem tego powszechnego wówczas przeświadczenia pociągał nas program pracy organicznej; należało wychować i przygotować „nowych ludzi plemię“.

Kształciłem się w gimnazjum mińskiem. Mińsk był wówczas głuchą jeszcze prowincją, którą dopiero koleje żelazne miały połączyć ze światem. Pomimo to gimnazjum stało na wysokim stosunkowo poziomie; w gronie nauczycielskiem, obok kilku zawodowych rusyfikatorów, był także szereg niepospolicie wybitnych fachowców, których później, w Krakowie, nieraz z sympatją wspominaliśmy, prof. Napoleon Cybulski i ja, rozmawiając o latach szkolnych, wspólnie w Mińsku przeżytych. Cybulski szczególnie wysoko cenił matematyka Woroncowa i przyrodnika Samojłę, w mojej zaś pamięci nadzwyczaj żywo wraziła się postać nauczyciela łaciny i greki, Niemca, Mikołaja Andersona.

Anderson oddawał się z zapałem studjom językoznawczym i z zapałem nas w tę dziedzinę wtajemniczał. Jego

prace w zakresie porównawczego badania języków indo-europejskich i ugro-fińskich zdobywały mu powszechne uznanie w świecie naukowym*); do dziś dnia jest zaliczany do najznakomitszych inicjatorów tej gałęzi językoznawstwa. Wkrótce też przeniesiono go na katedrę uniwersytecką w Kazaniu. Od Andersona dowiadywałem się o pierwotnym indo-europejskim języku, który usiłował odtworzyć August Schleicher — o życiu i obyczajach, o kulturze naszych praojców Aryjczyków, na którą rzucały światło wspólne językom tym wyrazy. Zapalała się wyobraźnia moja i pędziła gdzieś, aż na płaskowzgórze Iranu; tam odnajdywałem wspólną Irańczyków i Słowian kolebkę, stamtąd wyszli nasi słowiańscy przodkowie. Opuszczając pierwotne siedziby swoje, musieli jednak mieć wyrobione już wyobrażenia jakieś i wierzenia — i tu mój romantyzm językoznawczy podawał rękę romantyzmowi patrjotycznemu. Ażeby wychować naród, trzeba poznać jego charakter, ażeby go poznać, trzeba sięgnąć aż do źródeł narodu; dopiero wtedy zdołamy stworzyć p e d a g o g i k ę n a r o d o w ą p o l s k ą.

Z rojeniami temi w głowie zapisałem się, po złożeniu matury, na wydział filologiczny. Prędko jednak przekonałem się, że rojenia moje były tylko rojeniami, że językoznawstwo porównawcze nie było, jak sądziłem, owym kluczem, otwierającym wnętrze duszy narodu; pożegnałem się więc z „pedagogiką narodową", przerzuciłem się do literatury i historji, zachowując nadal nastawienie psychologiczne. Pedagogika została poza obrębem prac moich.

Dopiero niedawno zwrócono uwagę moją na książkę p. Jerzego Ostrowskiego „Żywa Szkoła" (1927). Przeczytałem ją, odświeżyła dawne moje wrażenia. W jednym z rozdziałów początkowych autor powołuje się na słowa St. Szczepanowskiego, które i ja niegdyś silnie odczuwa-

---

*) „Studien zur Vergleichung der Indogermanischen und Ugrofinnischen Sprachen" (Dorpat, 1879).

łem, że „przyszłość narodu polega na wyrobieniu rasy dzielniejszej, wykształceńszej, mężniejszej od ras innych narodów“, że przeto zadaniem szkoły jest wychowanie charakterów, ale zadania tego — słowa p. Ostrowskiego — szkoła nie wypełnia, „nie wpływa na życie, nie przoduje życiu, nie podnosi go, nie tworzy postępu“, a tylko „podąża za życiem i to — opieszale“. I gdyby tylko to, ale szkoła opycha całą masą wiadomości, które nie dają się przetrawić; „osiem do dziesięciu godzin pracy na dobę — pisze autor — głęboki rozłam pomiędzy życiem a nauką, wstręt do nauki i szkoły, ciągłe rozdrażnienie nerwów, ciągła depresja, wywoływana obawą złego stopnia i wreszcie olbrzymi procent tych niedostatecznych stopni“. W rezultacie, zamiast charakterów, wydaje szkoła całe zastępy „pseudointeligentnych niedołęgów życiowych“.

Wszystko to jest słuszne i usposabia sympatycznie do autora. Tem skwapliwiej szukam w jego książce odpowiedzi na dręczące nas wątpliwości. Widzimy, że maturzyści są dziś gorzej przygotowani do szkół wyższych, niż było przygotowane pokolenie, do którego należę; ojcowie zaś nasi, choć mniej od nas umieli, to jednak, co umieli, umieli lepiej, niż my; podobnież dziadowie w stosunku do ojców. Nasuwałby się stąd wniosek o przeciążeniu: jak żołądek, tak mózgi mogą być napchane niestrawnym pokarmem. Ale oto z ust doświadczonych pedagogów słyszę nieraz, że nietylko przeciążenia niema, lecz uczą za mało, programy szkolne powinny być pod niejednym względem rozszerzone. Milknę, nie ośmielając się wystąpić z własnym poglądem; zaglądam do książki p. Ostrowskiego i z radością stwierdzam, że on także jest zdania, iż zasób wiedzy (w szkole) należałoby znacznie zredukować (str. 70). „Cała treść życia człowieka na ziemi — mówi on — zawiera się w tworzeniu nowych wartości“. Niechże szkoła dopomaga temu. W każdej jednostce jest instynkt twórczy (str. 90), który jak najintensywniej kształcić trzeba. Instynkt ten zaś wypływa z przyrodzonych człowiekowi skłonności i na

tych skłonnościach przyrodzonych musi oprzeć się etyka (str. 72).

Stajemy tu przed zasadniczem zagadnieniem o stosunku etyki do religji. Co autor o tem powie? Odpowiedzi szukamy jednak daremnie, autor poprzestał na kilku pogardliwych uwagach, których treścią jest zasadnicze, nie dające się usunąć przeciwieństwo między etyką a religją chrześcijańską, istotę bowiem chrystjanizmu stanowi wyrzeczenie się wszelkich skłonności (str. 75)). Więc „wyrzeka się chrystjanizm skłonności miłosnych, uznając tłumienie ich za ideał", wyrzeka się skłonności poznawczych, głosząc ubóstwo umysłu przy potędze wiary, wyrzeka się dążności do dobrobytu, do współzawodnictwa, do poczucia istnienia i wzrastania swego ja (str. 76). Słowem, etyka chrześcijańska dąży do unicestwienia osobowości ludzkich, „to też konsekwentny chrześcijanizm jest niemożliwy do przyjęcia dla ludzkości". Etyka chrystjanizmu, dodaje autor w innem miejscu, jest w zgodzie z naszem polskiem niedołęstwem i dlatego „tak łatwo przyjęła się na miękkim gruncie charakteru naszego" (str. 91).

Czyli, ze stanowiska etyki, opartej na naturalnych skłonnościach człowieka, skłonności te rozwijającej, dającej im ujście i tem samem „wzmagającej radosne samopoczucie mocy", religja, mówiąc krótko a dobitnie, jest niebezpieczeństwem, niebezpieczeństwem nie dla jednostki tylko, lecz dla narodu, staje bowiem wpoprzek ideologji, która po odzyskaniu niepodległości powinna zapanować w narodzie, a „ideologją tą jest radosny wzrost poczucia mocy własnej, intensywności i potęgi własnego istnienia, radosna samowiedza każdego obywatela, indentyfikująca dążności narodu z dążnościami własnemi".

W słowach tych mamy polskie odbicie kierunku wychowawczego, który zwyciężył we Francji pod nazwą laicyzmu, a pod hasłem école laique, t. j. szkoły, z której usunięto nauczanie religji. Podłożem laicyzmu francu-

skiego była sekciarska, zaciekła nienawiść do religji pod pozorem, że stojąc na autorytecie, miażdży ona indywidualizm człowieka. Nienawiści tej u polskiego laicysty nie dostrzegamy; jest on poprostu człowiekiem, pozbawionym zmysłu do religji; nie rozumie jej, nie jest w stanie wczuć się w jej istotną treść. Dostrzegł jej ascetyczny ideał i zaniepokoiło go, że poskramianie wrodzonych skłonności sprzeciwia się tej radości życia, którąby on chciał wpoić młodzieży; zdało mu się, że pokora jest jednoznaczna z wyrzeczeniem się godności własnej, a posłuszeństwo — poniżaniem siebie (str. 76).

Pedagogiem nie jestem i nie leży w zamiarze moim szczegółowy rozbiór „Żywej szkoły". Nie przeczę, że niektóre spostrzeżenia jej autora są trafne, trafną jest np. uwaga jego, że etyka chrześcijańska, stawiając ideał, dostępny tylko garstce wybrańców, rozmija się nieraz z zadaniem swojem, zmusza człowieka przeciętnego do kompromisów z sumieniem, a tem samem w zetknięciu się z życiem realnem modyfikuje się znacznie, życie przechodzi nad nią do porządku i najwyższe jej postulaty lekceważone są jako skrajności. Czy jednak wynika stąd, że można nieliczyć się z ideałem chrześcijańskim i religję odrzucić jako balast zbędny i nieraz szkodliwy? Nad tem jednem chcę się tu zastanowić.

Laicyści francuscy i autor „Żywej książki", pomimo nieco odmiennych punktów wyjścia, dochodzą do tego samego wniosku o konieczności unikania przymusu w wychowaniu: usunąć należy wszelkie wpływy, któreby spaczyć mogły naturę wychowanka i przeszkodzić spontanicznemu rozwojowi i rozkwitowi jego naturalnych skłonności; szanować przeto trzeba jego wolność i godność; prowadzić go, ale tak, „aby prowadzony uważał i czuł, że idzie sam". Nie jest to zadanie łatwe, ale ułatwia je to, że pojęcie dzielności, bohaterstwa, honoru, są, zdaniem autora, „głęboko wrośnięte w psychikę chłopca" (str. 77). Mamy więc dopomagać mu w rozwinięciu wrodzonych cnót. „Ale czy dopo-

maganie to—słusznie zapytuje O. Laberthonnière [1])—nie ma cech interwencji, czy nie jest ze stanowiska uczucia niepożądanem wtrącaniem się nauczyciela do jego życia? Czy, obok „wrodzonych cnót", niema także w dziecku wrodzonych skłonności? Czy wychowawca nie powinien działać tak, „ażeby dziecko stało się tem, czemby stać się nie umiało, pozostawione samo sobie?" W jakiekolwiek pięknie brzmiące słowa ubierzemy czynność pedagogiczną, nie obejdziemy się bez autorytetu [2]). Miejmy przeto odwagę wyznać, że wychowywać znaczy wykonywać władzę i żądać posłuszeństwa. Powiadają, że wystarczy odwołać się do sumienia i rozumu wychowanka; jest to nonsens. Gdyby bowiem dziecko miało sumienie i rozum, na które powołać się można i któremi mogłoby się kierować, to wychowanie stałoby się rzeczą niepotrzebną (son éducation ne serait pas à faire, elle serait faite).

Ale w jaki sposób ma się objawić autorytet wychowawcy? Rozwiązanie problemu tego nie da się ująć w formule jakiejś czy formułach. Jedno jest niewątpliwe, że autorytaryzm musi być liberalny, innemi słowy, wychowawca powinien mieć serce szerokie i umysł wnikliwy, powinien stanowczość umieć łączyć z giętkością, dostosowującą się tak do warunków, jak do osób. Niech się przejmie tą starą prawdą, że ile jest wart człowiek, tyle jest warta jego metoda, wartość zaś człowieka nie na tem polega, co on mówi, lecz na tem, czem jest — „dusza, to wszystko". Pamiętać powinien wychowawca, że nie jest indywidualnością, afirmującą się przeciw innym indywidualnościom, ale jest „duszą, przez którą Bóg idzie, duszą, co się otwiera i wychodzi z siebie, ażeby dotrzeć do głębi innych dusz i niosąc im Boga, podnosić je i ożywiać" [3]). Wychowawca, świadomy zadań swoich, ani odda dziecka jego „naturalnym

---

[1]) „Essais de philosophie religieuse. — Théorie de l'éducation" (Paris, Bloud) 1903.

[2]) ib. s. 242.

[3]) ib. s. 254.

skłonnościom", ani usiłować będzie uczynić je posłusznem sobie narzędziem; on się zidentyfikuje z tymi, których mu powierzono; ich nędzę, błędy i grzechy ciężyć na nim będą, jakgdyby sam był za wszystko odpowiedzialny; strofując ich i karcąc, żądając wysiłków, czuć się będzie sługą, bratem, ojcem, nie zaś przedstawicielem doktryny jakiejś, czy instytucji, działając bowiem w imieniu doktryny czy instytucji, nic łatwiejszego, jak zatracić troskę o żywe dusze i te żywe dusze brać jako rzeczy, jako martwe przedmioty do urobienia według pewnej określonej modły. Zadanie zaś wychowawcy jest wręcz odmienne — nie rozkazywać, nie gwałcić, lecz bronić dziecko przeciw anarchji miotających niem popędów i pożądań, przeciw własnemu jego egoizmowi, w którym od urodzenia jest ono więzione i bronić tak, aby, czując nad sobą serdeczną opiekę i myśl, autorytetowi tej myśli chętnie się poddawało. Nie da się to osiągnąć bez trudu, ale nie zapominajmy, że wychowanie apostolstwem jest, nie zaś nauką—„apostolstwem, prowadzącem człowieka na wyżyny jego boskich przeznaczeń, ażeby zaś apostołem być, trzeba wierzyć, miłować, trzeba umieć radośnie dźwigać ciężkie nieraz brzemię prac i ofiar, których wymaga życie dla innych".

Myśli te nie są traktatem o wychowaniu, nie znajdziemy w rozprawie O. Laberthonnière'a konkretnych i szczegółowych wskazań praktycznych, ale cenne są jako świadectwo, jako wyraz nastroju, czy stanu duszy, przejętego posłannictwem swojem kapłana, który sam był wychowawcą młodzieży. Płyną one z głębi Chrześcijaństwa, chrześcijańskiego poglądu na przeznaczenie człowieka, albo „chcąc uniknąć dwuznaczności, powiedzmy lepiej — cytuję słowa O. Laberthonnière'a — że są one katolicką teorją wychowania".

Katolicyzm bowiem, to „wielka organizacja społeczna, która, biorąc ludzkość taką, jaką jest w swej przyrodzonej nędzy, do tego dąży, aby ją wyzwolić i zbawić". Zbawienie zaś to „wolność prawdziwa i zupełna"; zbawiać

siebie, to „rosnąć w prawdzie i dobroci“. Wychowywać i zbawiać innych, to „ułatwiać im wydobywanie się z doczesnej zmienności, z jej pożądaniami i namiętnościami, ażeby doskonalili się i rośli w prawdzie i dobroci“.

Nie jest więc katolicyzm cezaryzmem duchowym, tyranją jakąś, jak sądzą wrogowie, co go nie znają i nie wolno — słusznie i pięknie dodaje autor — wyłącznie na nich składać odpowiedzialności za tak błędne mniemanie, skoro sami obrońcy katolicyzmu nieraz mówią i działają tak, jak gdyby religja ich była autorytetem, stawiającym sobie za cel poskromienie wszelkiej inicjatywy i energji duchowej, fasonowanie ludzi z zewnątrz, „tresowanie ich na kształt zwierząt“...

...„W porządku moralnym i religijnym niema katorżników i niema również rentjerów, czy żebraków, żyjących z cudzej pracy; prawda nie jest czemś, co się poprostu bierze lub otrzymuje; prawdę zdobywać trzeba“. Wojowaniem jest żywot człowieka na ziemi, walką ducha z materją, opanowywaniem materji. Dopóki zaś jesteśmy tu, na ziemi, absolutna doskonałość i absolutna prawda nie mogą być naszym udziałem. Szukamy wszyscy i ci, co nauczają i ci, co są nauczani; tylko szukanie (l'attitude de la recherche) jest zgodne z wiarą prawdziwą, albowiem wiara nie jest wiedzą i rozkoszą posiadanej wiedzy, wiara jest stanem duszy w jej pielgrzymce ku Bogu. Przypomnijmy cudownie głębokie słowa Pascala: Tu ne me chercherais pas, si tu ne m'avais déjà trouvé.

Główną uwagę poświęcił autor nauczaniu religji. Nauczać Chrześcijaństwa, mówi on, trzeba po chrześcijańsku, czyli w duchu Chrystusowym, który jest duchem miłości i wolności; nikt Chrześcijaninem nie jest sam z siebie, nikt nie będzie wbrew własnej woli. W wykładach należy być szczerym, aby szczerością budzić zaufanie ucznia, nie obawiać się wątpliwości, któreby w nim powstać mogły; taka obawa świadczyłaby o braku wiary w prawdę Chrześci-

jaństwa, jak gdyby Chrześcijaństwo ulatniać się miało i niknąć, jak złudzenie, w miarę zbliżania się do niego. Są niezawodnie ludzie rutyny, katolicy z przyzwyczajenia, których katolicyzm nie jest wiarą, lecz raczej zabobonem, który oni jako tako dostosowują do upodobań i zajęć swego leniwego życia. Tacy nie przejdą nigdy przez żaden kryzys, ale religja ich, obojętna i bezmyślna, nie wiele jest lepszą od otwartego buntu pysznych niedowiarków [1]). „Kto zanadto się obawia niebezpieczeństw błędu — pięknie powiedział O. Lacordaire — ten za mało obawiać się będzie niebezpieczeństw obojętności". Nie o różnicach między wiarą prostaczka, a wiarą filozofa mówić trzeba, lecz o różnicach między wiarą żywą, a wiarą martwa. Czyja zaś wiara jest żywą, ten o doktrynie przeciwnika mówić nie będzie z wysokości, ani jej przekręcać, aby ją sarkazmami i pogardą deptać, przeciwnie, pamiętać bedzie, że nie jest ziemia miejscem dla łatwych tryumfów, ale areną jest walk i moralnego zdobywania tego, czego nam brakuje, abyśmy tem z innymi dzielić się mogli. Zadanie wychowawcy katolika polega na tem, aby przygotowywać i wywoływać w duszach wewnętrzne i nadprzyrodzone zetknięcie się z Bogiem. W tym celu niech stara się wykazać słowem i przykładem, że Objawienie chrześcijańskie niczem innem nie jest, jak wyrazem, w nieskończenie rozmaitych postaciach, miłości Bożej, która schodzi do nas, aby nas, z mroku i nędzy naszej wyciągać. „Ale gdzie są i czy są [2]) — pyta on — wychowawcy tego apostolskiego typu? Nie wiem. Ale to wiem, że wszelka pedagogja, oparta nie na ideale chrześcijańskim, jest frazeologją pustą i kłamliwą i że do niczego w wychowaniu nie dojdziemy, jeśli ci, co koło tego chodzą, nie będą się czuli przez ideał ten wznoszonymi ponad ziemię (soulevés de terre par cet idéal) i jeśli, przewidując, wiedząc, że na wysokość

---

[1]) op. c. s. 278 — 9.

[2]) „Théorie de l'Education", por. s. 106 — 107.

tę wzbić się nie zdołają, nie będą pomimo to usiłowali choć cokolwiek do niej się zbliżyć".

W osobie O. Laberthonnière'a mamy filozofa o mistycznym kierunku myśli. Mistycyzm, to antyteza racjonalizmu; dla mistyka Prawda jest przedewszystkiem przeżyciem wewnętrznem, nie zaś systemem, który ktoś komuś przynosi i narzuca; prawda narzucona ujarzmia, prawda przeżyta wyzwala — wyzwala z niewoli zmysłów i prowadzi w głębie życia z Bogiem i w Bogu. O. Laberthonnière'a mam szczęście znać bliżej; zaliczam go do najgłębszych myślicieli współczesnych, jest wspaniałym typem myśliciela, myślenie stanowi wyłączną treść jego życia. Idzie przez świat, nie słysząc rozgwaru świata, z oczami zamkniętemi na zmienną rzeczywistość, na wszystko, co przechodzi i ginie w przepaściach czasu — idzie zapatrzony w rzeczy wieczne, z marzeniem wielkiem i świętem o Kościele Bożym, o społeczności Chrystusowej, łączącej członków swoich wspólnością jednej myśli i jednego celu, przy poszanowaniu duchowej autonomji każdej jednostki: in certis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas — czyli synteza jedności i wolności.

Umyślnie zestawiłem, jako dwa przeciwległe bieguny, dwa pojęcia o religji: kapłana-filozofa, który niegdyś kierował zakładem wychowawczym — i pedagoga, który o religję tylko się otarł, nigdy w jej istotę nie zajrzawszy. Tam religja, jako najwyższy wyraz najczystszych i najwyższych aspiracji — tu „jako unicestwienie natury i osoby człowieka", „pokora, posłuszeństwo, wiara w autorytet, bierność, uniżanie się, zaparcie się godności osobistej, poskramianie skłonności naturalnych, wyrzekanie się wszystkiego. . ." *).

Dla O. Laberthonnière'a i dla autora „Żywej szkoły" niema miary wspólnej; tamten chciałby duszę wychowan-

[1]) op. c. por. str. 75 — 76 i s. 80,

ka podnieść religijnie, temu chodzi o urobienie charakteru poza religją, nawet przeciw religji, której wpływ może być, zdaniem jego, szkodliwy. Ale „czy można bez religji urabiać charaktery?" — zapytuje Fr. W. Förster w dziele, stanowiącem syntezę uprzednich, długoletnich, pedagogicznych doświadczeń jego i badań [1]).

...„Czemże jest charakter, jeśli nie inicjatywą ducha przeciw światu zewnętrznemu, uniezależnieniem woli od zmysłów, wzniesieniem się duszy ponad dyktature chwili". Czy jednak takie uruchomienie życia duchowego możliwe jest bez wyraźnej świadomości swego pochodzenia i przeznaczenia? „Zanim zrozumiemy, co czynić mamy, musimy wpierw wiedzieć, czem jesteśmy". Rozsądnie uzasadniać moralność i jej przepisy nie jest rzeczą trudną, ale „uzasadnienie moralności a inspiracja moralna, sa to dwie, całkiem odmienne rzeczy". — Czy do inspiracji moralnej, porywającej nas ponad wrodzony egoizm, ponad skłonności nasze i nałogi, jesteśmy zdolni, my, Europejczycy?

Patrzę wokoło siebie, zastanawiam się nad tem, co widzę, tak w życiu prywatnem, jak w życiu publicznem i nieraz w chwilach zwątpienia zapytywałem, czy nie tkwi jakaś niedostępna rozumieniu naszemu tajemnica w tem, że ciężar dźwigania wielkiego ideału chrześcijańskiego spadł właśnie na nas, najmniej do tego powołanych? I nie jest to moje tylko wątpienie: Ktokolwiek obcował, pisze Förster, z wykształconymi Indusami, czy Azjatami ze Wschodu, kto poznał ich życie, ich obyczaje, ten nie mógł nie stwierdzić, że choć nierównie wznioślejsze i bogatsze sa ideały, które my głosimy, oni w postępowaniu swojem stoja znacznie wyżej od nas. I czy nie da się to samo powiedzieć o prawowiernych, starozakonnych żydach? Czy nie większa, niż u nas, panuje u nich zgodność między nauką a życiem? Czy nie są oni w niejednym wypadku bliżsi ducha

[1]) „Religion und Charakterbildung" (Rotapfel Verlag), por. s. 9.

Chrystusowego, niż wielu, wielu Chrześcijan? [1]). Pójdźmy wstecz, w przeszłość; czy starorzymska h u m a n i t a s nie uszlachetniała natury człowieka? Tak, musimy, wyznaje Förster, stale liczyć się z tem niebezpieczeństwem, że ideał nasz właśnie dlatego, iż tak wysoko jest ponad nami wzniesiony, nie jest w stanie objąć całości życia we wszystkich jego zakresach. Tę samą myśl spotkaliśmy w „Żywej szkole". Ale czy stąd, że ideał chrześcijański jest tak wysoki, tak trudno dostępny, mamy go się wyrzec i gdzieś, wśród starych, niepotrzebnych rupieci umieścić, a etykę na „skłonnościach naturalnych" budować? Nie, nigdy! Z duszy wyjął mi Förster zdanie, że chcąc myśl swoją z brudów życia zmyć i ją pogłębić, zacząć trzeba od Schopenhauera. Ten dopiero jest wielkim wychowawcą; on nas gruntownie wyleczy z płytkości optymizmu, który widzieć nie chce, z jaką siłą owe „naturalne skłonności" ciągną nas wdół, jak się czepiamy i podle trzymamy zewnętrznej, zmysłowej strony życia. Ale Schopenhauer stoi poza Chrześcijaństwem. Czytajmy więc także księgę Hioba: „Jedno uzupełnia drugie: jedno i drugie nas nauczy czuć i myśleć po chrześcijańsku, przygotowywać nasze własne odrodzenie duchowe" [2]). Pesymizm, oczywiście nie w potocznem znaczeniu wyrazu, ale pesymizm, jako filozofja, wiążąca w jedno byt i cierpienie, jest wielkim a dobroczynnym czynnikiem życia [3]).

Nie zaprzeczyłby Förster słowom p. Ostrowskiego, że „pojęcia dzielności, bohaterstwa, honoru, wrośnięte są w psychikę chłopca". Jest — mówi on — w naturze ludzkiej wrodzona szlachetność, do której apelować można, ale, niestety — dodaje — tylko na krótką metę i ani spostrzegamy, jak nagle i szybko wszystko to się kończy [4]). Pe-

---

[1]) ib. s. 372 — 4.

[2]) ib. s. 363,

[3]) Por. M. Zdziechowski: „Walka o duszę młodzieży". (Wilno. 1927 r.).

[4]) Sehr plötzlich hat das alles ein Ende, op. c. str. 151.

dagog francuski, J. Deherme, socjalista z przekonań, jeden z założycieli uniwersytetów ludowych, gorliwie w ciągu lat długich propagował moralność świecką i oto w starości wyznać musiał, że „bez Boga nie da się zbudować żadna rzetelna i skuteczna moralność; filozofja krytyczna wysuszyła nam serca i wszystko to, co nam dziś podają, jako moralność niezależną, naukową, racjonalną i pozytywną, jest tylko parodją moralności“ [1]). Czy socjologiczne jakieś, albo higjeniczne względy mogą być dostatecznem wędzidłem dla popędów płciowych? Idźmy dalej: Czy gadanie o jakiejś solidarności, obejmującej przeszłe i przyszłe pokolenia, o długu wdzięczności, zaciągniętym u przodków, wystarczy, aby życie nasze utrzymać na wyżynach bezinteresownego służenia bliźnim? Albo czy wystarczy, jako czynnik wychowawczy, podniesienie państwa do Absolutu, przed którym nawet sumienie milknąć musi? Czy kult taki nie pozbawia państwa — pyta Förster w jednej z ostatnich swoich prac — jego najgłębszej podstawy moralnej? [2]) Jedna jest Prawda absolutna i jeden absolutny cel i w interesie państwa leży, aby posiadało jak najwięcej obywateli, przejętych tym absolutnym celem, który nietylko nie pozbawia zmysłu do rzeczy z tego świata, ale przeciwnie, im mocniej przejmuje się dusza rzeczami wiecznemi, im bardziej pogłębia się jej treść, tem więcej z siebie daje ona ludziom i życiu. Pomijanie religji w wychowaniu jest utopją optymizmu, który radby usunąć tragedję grzechu pierworodnego, jako natrętne widmo przeszłości. Ale widmo to wciąż wracać będzie, albowiem tylko fakt upadku, odpadnięcia stworzenia od Stwórcy, owa katastrofa pierwotna, którą Kościół określa jako grzech pierworodny, jest w stanie cokolwiek uchylić rąbek zasłony, pokrywającej tajemnicę bytu, cokolwiek wyjaśnić odwieczne, zadręczające za-

---

[1]) Förster op. c. s. 27.

[2]) „Erziehungspraxis“ w Die Zeit (zweites Augustheft 1932).

godnienie cierpienia i zła [1]). Tylko w świetle dogmatu upadku możemy wytłumaczyć to niepojęte zjawisko, że istota, obdarzona rozumem, wolą, sumieniem, stoi w instynktach swoich poniżej zwierzęcia [2]). Weszło dziś w modę głoszenie konieczności uświadamiania dziecka, ale „jeśli uświadomienie to — mówi Förster — nie idzie w parze z potężnym apelem duchowym i nie jest podporządkowane poruszającej sumienie prawdzie religijnej, to służy ono tylko zwiększeniu ciekawości do zakazanego owocu i rozbudzeniu zmysłów; mogę o tem świadczyć z całą pewnością na podstawie długoletnich obserwacji“ [3]). Zachwalana m o r a l e l a i q u e układa przepisy swoje w porządku, nie pozostawiającym nic do życzenia: „leżą przed nami jasne, wyraźne, proste, a pomimo to mamy uczucie, że raczej zachwiały one naszą świadomość moralną, niż ją wzmocniły“ [4]). Ta wyłącznie w życie doczesne wpatrzona moralność, ze wszystkiemi swemi rojeniami o wytworzeniu jakiejś silniejszej i piękniejszej ludzkości ten ma przedewszystkiem skutek, że czyni śmierć straszniejszą jeszcze, niż jest [5]). W samo sedno rzeczy trafił zmarły naczelnik państwa Chińskiego, Juan-szi-Kai, mówiąc do misjonarza amerykańskiego: „Konfucjusz uczy nas, co jest dobre, ale wasz Chrystus daje moc czynienia tego dobra“ [6]).

Wyrazy dzielność, męskość, niezawodnie mają w sobie siłę atrakcyjną; gdzie jest ten chłopak, który nie marzy o tem, że będzie mężczyzną? Ale chcąc w nim instynkt ten pielęgnować, należy wpierw wyjść z nieporozumienia, w którem nas Nietzsche utrwalił, że Chrześcijaństwo jest zwycięstwem niewieścich pierwiastków i cnót nad męsko-

---

[1]) Obszernie o tem M. Zdziechowski: „Pesymizm, romantyzm — podstawy chrześcijaństwa“ Cz. II (Kraków, 1914).

[2]) F. W. Förster, op. c. str. 147.

[3]) ib. s. 147.

[4]) ib. s. 55.

[5]) ib. s. 57, słowa Pawła Bureau.

[6]) ib. s. 137.

ścią i siłą, którą świat starożytny uwielbił w człowieku. Wręcz przeciwnie: Chrześcijaństwo, depczące bestjalskość natury ludzkiej, jest uzupełnieniem starożytności, jest podniesieniem herkulesowego ideału do najwyższej potęgi i „najważniejsze zadanie wychowania leży w przeobrażaniu energji naturalnej w energję chrześcijańską". Chrześcijaństwo bierze Förster krańcowo radykalnie, podkreśla w niem to mianowicie, co w najjaskrawszej stoi sprzeczności ze skłonnościami i z upodobaniami naszemi; esencję nauki Chrystusa widzi w kazaniu na górze. Musimy się wyzwolić „z dostosowywania się do wycia wilków i do połowiczności dzieci tego świata" [1]), z podłego kultu swego ja, jakgdyby to moje ja było środkowym punktem wszechświata. Nie ja, lecz Bóg: jak wyraz ja, pierwszy raz wymówiony przez dziecko, oznacza to, że się zaczyna wyodrębniać od świata zewnętrznego, tak w ustach człowieka dorosłego wyraz Bóg, wymówiony z całem zrozumieniem i przejęciem się jego rzeczywistą treścią, oznacza świadome przeciwstawienie się pierwiastka duchowego naturze zmysłowej, uświadomienie swego pochodzenia i swego przeznaczenia [2]). „Gdy odzyskałem — powiedział Carlyle — utraconą wiarę w Boga, dopiero wtedy poczułem się człowiekiem". Tylko w Bogu i przez Boga dochodzimy do pełni istnienia, tracąc zaś Boga, tracimy siebie, przestajemy być sobą (sind wir selber nicht mehr wir selbst).

Kazanie na Górze nie jest zaprzeczeniem, przeciwnie, najwyższą jest afirmacją osoby człowieka. Ma się rozumieć, że tylko garstka wybrańców pójdzie za takim apelem, natomiast wszystkich podnosi on i „przenosi w górne sfery myślenia o rzeczach ludzkich"; uczy strategji walki ze złem, leczy z podłości pychy, utwierdza w pokorze — tej, która nie jest zrzekaniem się godności osobistej i poni-

---

1) ib. s. 395.
2) ib. s. 182.

żaniem się, jak sądzą ci, co nie mają wyobrażenia o religji, lecz jest stawianiem siebie we właściwem miejscu, rozumieniem, że wiele jest rzeczy na świecie ważniejszych, godniejszych, lepszych, niż moje marne ja. Nie święty jakiś, lecz „poganin" Göthe wysławiał uczucia pokory i czci, jako źródła postępu wewnętrznego: „Żadna nauka nie oczyszcza nas z uprzedzeń ze skutkiem tak korzystnym, jak ta, co poniża pychę a buduje na pokorze; skądże ona przychodzi, jeśli nie z góry?" [1]).

Sofiści wyrzucali platońskiemu Sokratesowi, że z nauki jego o zwyciężaniu siebie wypływałoby, iż kamienie są dla nas ideałami, albo ludzie, od których odleciało życie. Sokrates odpowiedział na to tajemniczemi słowami Eurypidesa: „Skądże wiecie, że życie nasze nie jest śmiercią, a śmierć — życiem?" [2]). Dobrze jest mieć słowa te w pamięci.

Fr. W. Förster nazwał siebie człowiekiem, który ugrzązłszy w negacji, umiał z niej się wydobyć, odnalazł drogę do Chrześcijaństwa i chciałby ułatwić szukającej młodzieży psychologiczne podejście do starych prawd [3]). Tem cenniejsze jest jego świadectwo. Umiejętniej, niż ktokolwiek inny, bo z głębi własnych przeżyć, umiał on wykazać, że jedną z największych iluzji czasów naszych jest mniemanie, iż oderwane od religji myślenie naukowe, któremu są obce prawdy (die Realitäten) życia wewnętrznego, może zastąpić owo światło, które religja niesie [4]).

Kończę tem, od czego zacząłem. Zlekceważenie czynnika wychowawczego, jakim jest religja, zbyt głęboko przeczy memu najwewnętrzniejszemu czuciu i przeświadczeniu, że czem skrzydła dla ptaka, tem jest zmysł religijny u człowieka, ażebym mógł pozostawić bez odpowiedzi

---

1) ib. s. 188.
2) ib. s. 367.
3) ib. s. 367.
4) ib. s. 813.

dzieło o wychowaniu, w którem religję pominięto, wyraz zaś Bóg nie został nawet wymówiony. Tę istotę, zdolną patrzeć w słońce, jaką jest człowiek, zdolną ponad nędze doczesności aż do słońca myślą sięgać, postanowiono o miedzę od nas, w państwie Sowietów, zrównać z istotami, jak wyrażał się Sallustjusz, o głowach pochylonych ku ziemi i posłusznemi brzuchowi (quae natura prona atque ventri obedientia finxit). Pomysł zabicia zmysłu religijnego, zniszczenia religji i zbestjalizowania człowieka przeprowadzają tam z zaciekłą konsekwencją i okrucieństwem, o jakiem nie słyszała historja. To zaś bolszewickie spodlenie myśli przenika do nas i przybiera rozmiary zatrważające.

Krótki czas, który jeszcze tu na ziemi spędzę, chcę poświęcić walce z niebezpieczeństwem, tem groźniejszem, że nie jest ani widziane, ani rozumiane u nas, cały zaś świat polityczny, bez różnicy stronnictw, składa uniżone hołdy potędze, która idei Boga wypowiedziała walkę na śmierć.

Byliśmy przedmurzem Chrześcijaństwa (antemurale Christianitatis) i było to przedmiotem naszej dumy. Dziś, po pakcie o nieagresji, staliśmy się, jak wyraża się jeden z moich znajomych, antemurale bolschevitatis. Czyżby i szkoła miała temu z ubocza sprzyjać? Nie ufając w dziedzinie tej własnym siłom, wolałem wezwać do pomocy dwa równie wielkie, jak wzniosłe umysły, a doświadczone w zagadnieniach pedagogiki — O. Laberthonnière'a i W. Förstera.

Marjan Zdziechowski.

Tak jest — to prawda! Stajemy się, mimo woli i mimo wszelkich przeciwnych apelów, w istocie jakgdyby przedmurzem bolszewizmu. Imponują nam, nawet różnym naszym uczonym, niesłychanie różne „nowinki", czerpiące

swe źródło ze wschodu, zwłaszcza poddawanie prawa własności — tego materjalnie najważniejszego czynnika cywilizowanego ładu i porządku — kaprysom ewolucji konjunktur i wogóle kapitulowanie wobec wszelkich koncepcji, jakie wyłaniają się lub choćby tylko przypuszczalnie wyłonić się mogą w przyszłości. Nie zdajemy sobie sprawy, że tak jaskrawym brakiem zdecydowanych przekonań otwieramy na oścież wrota wszelkim możliwościom. Stąd właśnie największe społeczeństwu zagraża niebezpieczeństwo, bo sami nie wiemy, czego chcemy i do czego dążymy, co jest prawdą, a co fałszem lub kaprysem chwilowej mody i pozbawiamy się wszelkiego puklerza na wywrotowe i amoralne zakusy, które przyszłość na pewno ze sobą przyniesie.

I w takim nastroju kapitulujemy krok za krokiem, pogrążając się w coraz większą bierność i defetyzm, coraz mniej zdolni także do wychowywania młodszych pokoleń. A wobec tego nie wystarcza gołosłowne twierdzenie, że się jest „katolikiem"!

Redakcja.

REFORMA ROLNA.

Rozwój nowoczesnej gospodarki we wszystkich działach produkcji powołał przedewszystkiem do życia postępowe metody organizacji warsztatów wytwórczych, a w szczególności wskazał, ze względów ekonomii kosztów administracyjnych, na konieczność powiększania tychże warsztatów do określonego minimum wszędzie tam, gdzie wytwarza się masowy produkt, będący na współczesnym stopniu kultury przedmiotem codziennej potrzeby.

Wytwarzanie zaś masowego produktu codziennej potrzeby, a więc produktu, który przy niezbędnej obfitości i maksymalnej jakości, winien odznaczać się również możliwie najprzystępniejszą ceną, zniewala producenta do zastosowania wszelkich sposobów, które sprzyjają dotrzymaniu wymienionych trzech warunków. Stwierdzenie, że wraz ze wzrostem fabryk i zorganizowaniem należytego podziału pracy, powstaje możność dostarczania konsumentom tanich towarów, np. ubrań czy zegarków, doprowadziło do powstania wielkich wytwórni, w których produkcja artykułów masowych jest w kosztach swych możliwie najmniej obciążona balastem zmarnotrawionego czasu pracy i materjału, oraz ciężarami handlowymi, publicznymi i wogóle wszelkimi ciężarami nieprodukcyjnymi. Gdyby nie wspomniana masowa produkcja tanich ubrań, znaczna część niezamożnej ludności chodziłaby znacznie gorzej ubrana, gdyby zaś nie masowa produkcja tanich zegarków, to do szczęśliwych posiadaczy chronometrów zaliczaćby można dzisiaj jedynie najzamożniejszą warstwę społeczeństwa, a co gorsze: cywilizacja, której rozwój w znacznym stopniu zawisł od powszechności „mierzenia czasu", stałaby dzisiaj o wiele, wiele niżej!

Masową produkcję rolną zastosowano już oddawna

wszędzie tam, gdzie temu sprzyjały warunki przestrzenne, a nie przeszkadzał ustrój społeczny. Nie miejsce tu na analizowanie współzależności istnienia wielkich warsztatów rolnych i masowej produkcji owoców ziemi od takiego czy innego ustroju stosunków społecznych i nie miejsce tu na przegląd historyczny, temat to bowiem wszechstronnie już opracowany i znany. W wyniku ruchów pracowników ziemi w celu uwłaszczenia tak zwanej u nas warstwy chłopskiej, ujawniła się tendencja do rozdrabniania wielkich warsztatów rolnych i tworzenia karłowatych, samodzielnych warsztacików. Tendencja ta, jak wiadomo, ma za źródło szaleńczy niemal pęd ludności, pracującej na roli, a rozmnażającej się szybko i pozbawionej siłą faktów rodzinnego zagona, do posiadania ogrodzonego opłotkami, własnego kawałka roli, z własnym na tej roli dachem nad głową. Jest to naturalny, pierwotny instynkt, przygasły znacznie u ludności miejskiej, żywotny jednak bardzo u ludności wiejskiej, instynkt, dla którego zaspokojenia nie wahano się poświęcić we wszystkich, bez wyjątku, państwach wyższych interesów gospodarczych i tworzyć błędnych teorji, mających wykazać, że właśnie drobne gospodarstwa rolne są najracjonalniejszymi warsztatami pracy.

Dla zaspokojenia tego głodu ziemi rozbija się coraz to dalsze obszary, należycie zagospodarowane.

Dzisiaj jednak i nauka i doświadczenie lat w zakresie kultury rolnej, dają inne już wskazówki co do kierunku, w którym zdążać winna reforma rolna. O ile produkcja niektórych odmian roślin (ogrodowizny) i zwierzat domowych (niektóre gatunki drobiu) w małych gospodarstwach, gdzie jest do dyspozycji nadmiar rozporządzalnych jednostek pracy w stosunku do rozmiaru warsztatu rolnego, może się jako tako opłacać, to mały warsztat rolny jest dopuszczalnem praktycznie wykorzystaniem wspomnianego czynnika. Gdy zaś chodzi o produkcję innych roślin (zbóż chlebowych) i zwierząt (zwłaszcza bydła rogatego), to produkcja ta najlepiej opłacać się może jedynie w wielkich war-

sztatach rolnych, posiadających odpowiednie urządzenia (elewatory, stacje weterynaryjne i t. d.), o których w małych warsztatach nie może być mowy.

Stąd poszło, że o ile bolszewicy w okresie pierwszym, t. j. w okresie burzenia dawnego ustroju, dopuścili do rozproszkowania wielkiej „burżujskiej“ własności ziemskiej pomiędzy chłopstwo rosyjskie, to w okresie drugim: budowy nowego ustroju, przedewszystkiem postawili za zasadę regeneracji — w ręku publicznem — wielkich warsztatów rolnych. Inna sprawa, jak się do tego zabrali i inna rzecz, że fałszywe założenie społeczne i gospodarcze doktrynerstwo, a wreszcie brak znajomości psychologji współczesnego chłopa rosyjskiego i lekceważenie doświadczenia dziejów przeszkodziły im we właściwem ujęciu zagadnienia. Fakt jednak jest niezaprzeczalny: w sposób logiczny i technicznie przemyślany wskrzesili latyfundja, wielkie warsztaty rolne, które — przy właściwej organizacji gospodarczej — jedynie mogłyby być zdolne odpowiedzieć stawianemu im wymaganiu, t. j. być: wielkiemi, wydajnemi i ekonomicznemi fabrykami chleba i mięsa! Organizacja sowchozów szwankuje jednak, gdyż do ich obrobienia spędza się ludność, pozbawioną wolności osobistej, która pracuje niechętnie i sabotuje urządzenia i pracę, organizacja zaś kołchozów niedomaga, gdyż dawni właściciele drobnych gruntów postawieni są w kołchozach na równi ze sobą, bez względu na wniesiony do kołchozu udział (kawał gruntu, inwentarz i t. d.) i bez względu na wydajność wnoszonej pracy. Pozatem w sposób bezwzględny władza pozbawia kołchozy owoców ich pracy, tak, że pierwiastek niewolnictwa, podobnie, jak w sowchozach, deprymuje ludność i odbiera jej bodźca do pracy.

Lecz to są ujemne strony sowieckiej organizacji, a strony dodatnie? Każdy rolnik wyjaśni, ile to np. w Polsce setek tysięcy hektarów zajmują same miedze, dzielące drobne działki gruntów i ile z tej przyczyny istnieje skrawków różnych nieużytków, jakie to szkody z punktu widze-

nia racjonalnej gospodarki rolnej ponosi kraj skutkiem okoliczności, że na stosunkowo niewielkim obszarze, choćby jednego tylko powiatu, istnieje pstrokacizna uprawianych odmian zbóż jednego gatunku, hodowanych ras bydła, drobiu i t. d. i t. d. Gdyby więc, zamiast mozaiki karłowatych, zagonowych „gospodarstw" drobno-rolnych, powstała niewielka ilość obszarów o należycie zorganizowanej produkcji i zbycie, wówczas korzyści dla ogólnej gospodarki krajowej byłyby olbrzymie.

Polska pod wpływem pierwszego „wiatru od wschodu", który powiał burzycielsko w czasie rozgrabienia w Rosji wielkich majątków ziemskich, poszła także w kierunku rozdrabniania u siebie większej własności rolnej.

Większą własność rolną obstawiono ustawą o reformie rolnej w ten sposób, aby właściciel nie mógł uniknąć bodaj częściowego wywłaszczenia. Ale i to mało. Obłożono go progresją podatku gruntowego, różnolitymi ciężarami z tytułu posiadania lasów, z tytułu zatrudniania robotników rolnych i t. d. Ustępujące pod naporem specjalnych ciężarów wielkie warsztaty rolne rozsypują się na drobne kawałki. I jakiż rezultat tej „polityki"? Zamiast nielicznych, a więc łatwych do kontroli urzędowej dużych warsztatów produkcji rolnej, opodatkowanych według wysokiej skali, tworzy się rój gospodarstw zagonowych, opodatkowanych według zupełnie innej zasady, a mianowicie wedle niskiej skali. Zwykłe działania: dodawanie i odejmowanie, wykazują, że w sposób zupełnie prawny i prawidłowy zmniejszone zostają wpływy podatkowe — no, a o rezultatach gospodarki z punktu widzenia kultury rolnej lepiej nic nie mówić!

Zresztą rezultat ten: zmniejszenie wpływów podatkowych przez osłabienie źródeł podatkowych — osiągnęła Polska w każdej dziedzinie *). Zamiast zakasać rękawy

---

*) Mowa oczywiście o produkcyjnych placówkach, nie zaś o takich, które żyją i kwitną w związku z upadkiem gospodarczym społeczeństwa, a których wymieniać nie potrzeba.

i odrobić popełnione głupstwa, chowa się w Polsce głowę w piasek, zawodzi się i jęczy, że to wyłącznie wszechświatowy kryzys dotyka Polskę i że gdyby nie ten kryzys, wszystko byłoby w porządku.

Że obecna produkcja rolna Polski nie dosięga ceny opłacalności warsztatów rolnych, to prawda, ale dzieje się to oczywiście nie z powodu nadprodukcji rolnej, bo niema takiej nadprodukcji w kraju, w którym są niedożywieni, bezrobotni obywatele, w którym nie wolno pracować za wynagrodzenie poniżej sztywnej skali „cennika" i w którym za chęć zatrudnienia bezrobotnych płaci się ruinującą grzywnę nadmiernych świadczeń na przymusowe — w wysokiej skali — ubezpieczenia społeczne i progresje ciężarów publicznych. Mimo tego, że dzisiaj produkty rolne nie osiągają należytej ceny, nasza organizacja rolna, dzięki rozproszkowaniu warsztatów rolnych, jest wadliwa i ich produkcja za szczupła, a jutro nasz zbyt produkcji rolnej może być zdeptany, jak słaby owad, w walce takich tytanów, jak Rosja i kraje o wielkiej produkcji rolnej na drugiej półkuli. Jutro, o ile organizacja naszej produkcji rolnej nie będzie dostosowaną do przemian, jakie w centrach rolniczych dokonały się ostatnio, lub jakie zaistniały tam już dawniej, Polska, kraj w zasadzie rolniczy, przestanie wogóle wchodzić w rachubę na rynku zbytu rolnego.

Przyszedł zatem czas na reformę rolną, jednak na inną, niż ta, jaką Polska otrzymała w celu rozparcelowania „obszarów". Czas na reformę rolną, która odpowiada potrzebom gospodarczym nowoczesnego ustroju państwowego. Zasadą przyszłej reformy rolnej musi być s t w o r z e n i e w P o l s c e w i e l k i c h g o s p o d a r s t w r o l n y c h, mogących prowadzić celową politykę produkcji i zbytu, związanych ze sobą wspólną organizacją — względnie organizacjami rolniczo-gospodarczemi — i nadających się do kontroli przez te organizacje, czy też przez władze, w tym celu w kraju istniejące. Tylko takie wielkie gospodarstwa będą mogły pod batutą przyjaznego, a fa-

chowego zalecenia względnie dorady władzy, czy też organizacji samorządowej, prowadzić racjonalną gospodarkę, jak np.: uprawa pewnych standartowych, najkorzystniejszych, z punktu widzenia produkcji i zbytu, gatunków i odmian roślin, hodowla stosownych odmian zwierzat, wyrób standartowych przetworów produktów rolnych, składowanie i transport, dysponowanie siłami roboczemi i t. d. Tylko przy istnieniu takich wielkich „fabryk zboża“, czy „fabryk mięsa“ (żywca), „fabryk“: drewna, jaj, nabiału, pierza, wełny i t. d. — możliwem będzie prowadzić należytą państwową politykę produkcji rolnej, politykę podatkową i eksportową, w razach zaś klęsk ogólnokrajowych nawet reglamentacyjną, która przy dzisiejszym stanie rzeczy bywa często parodją, a niejednokrotnie staje się szykaną produkcji rolnej. Tylko przy istnieniu takich wielkich gospodarstw rolnych możliwem będzie stosowanie pewnej reglamentacji w zakresie kształcenia fachowych sił, spełnianie należytego nadzoru nad stacjami naukowemi i doświadczalnictwem, nad poprawą ras, gatunków i odmian. Przy wszystkiem tem nie może być mowy ani o etatyzacji, ani o jakimkolwiek bezpośrednim przymusie w kierunku powstawania takich gospodarstw. Chcąc wstąpić na drogę reformy rolnej tego rodzaju, nakazanej rozwojem wszechświatowej gospodarki, należy przez stworzenie odpowiednich ram prawnych i organizacyjnych, powołać do życia warunki, które zachęcą rolników do tworzenia wielkich, zbiorowych jednostek gospodarczych, trwania w nich i rozwijania ich.

Jako pierwszy i wstępny warunek, od którego spełnienia zależeć będzie zapoczątkowanie przeobrażenia ustroju rolnego w Polsce na ustrój, nieobawiający się ataków międzynarodowych giełd zbożowych czy innych, należy wprowadzić w życie: a) całkowite i bezkompromisowe zniesienie obowiązującej ustawy o reformie rolnej, b) skasowanie wszelkich ustawowych różnic w ciężarach i ograniczeniach, istniejących w dzisiejszem ustawodawstwie,

które stawiają większych rolników w położeniu, proporcjonalnie mniej korzystnem, aniżeli rolników drobnych. Muszą zaistnieć takie warunki, aby dla rolnika pod względem ciężarów publicznych stało się obojętnem, jak będzie gospodarować: czy jako samodzielny gospodarz na paru zagonach, czy jako udziałowiec wielkiego zbiorowego funduszu. Muszą też być skasowane ciężary, mające charakter i cel bezpłatnego wywłaszczania, a związane z przenoszeniem własności nieruchomej (m. in. podatek spadkowy). Jedynie tylko umiarkowana, sprawiedliwa progresja podatku osobisto-dochodowego i to wymierzanego dopiero od tego, co obywatel (po uiszczeniu się z innych ciężarów prywatnych i publicznych) otrzymuje z tytułu czystego dochodu, może i powinna różniczkować obywateli pod względem obowiązków względem skarbu państwa.

W takich warunkach można dopiero przystąpić do wydawania ram prawnych dla nowej reformy rolnej, nieprzymusowej, która w kraju wolnych i równych wobec prawa obywateli, w kraju swobód konstytucyjnych, przedstawiać się może następująco:

W celu prowadzenia racjonalnej, intensywnej gospodarki wielkorolnej łączą się właściciele działek rolnych, położonych na pewnym obszarze, w rolne spółki udziałowe i tworzą gospodarstwa zbiorowe, w których każdy ze współwłaścicieli ma prawo do takiej części dochodu, jaka odpowiada w proporcji wniesionemu przezeń udziałowi. Każdy ze współwłaścicieli ma prawo do otrzymania pracy rolnej, odpowiadającej jego fachowemu uzdolnieniu w zbiorowem gospodarstwie rolnem, którego jest udziałowcem, *za wynagrodzeniem zmiennem*, odpowiadającem rezultatom rocznej gospodarki. Ponieważ dla prawidłowego prowadzenia każdej produkcji niezbędnem jest uskuteczniania corocznych stałych wkładów, więc i w danym wypadku, aby gospodarka rolna mogła być kontynuowaną, nieuniknione są pewne wkłady, jak: zasiewy i sadzonki, zwierzęta zarodowe, remont i konserwacja budynków i urzą-

dzeń, nawożenie i meljoracja, ubezpieczenia i t. d. i t. d. Stąd dalszy wniosek, że w razie dotkliwych nieurodzajów, które wykluczają normalny lub nawet jakikolwiek dochód i wobec okoliczności, że niektóre rozchody, jak np. wynagrodzenia za pracę wedle skali ruchomej, tylko do pewnej granicy mogą być zredukowane, muszą — wedle zgóry oznaczonego klucza — ulegać skali ruchomej także świadczenia publiczne, jak podatki, ubezpieczenia socjalne, składki na rolny samorząd zawodowy i t. p. Mimo zupełnie dotychczas odmiennego stanowiska zarówno teorji, jak i praktyki skarbowości, jest absurdem wymierzanie i ściąganie podatków wedle sztywnej skali ze źródeł podatkowych, podległych bardzo płynnym kaprysom przyrody i żywiołów. Wprowadzenie zasady zmiennej skali podatkowej i świadczeniowej zastąpi kapryśne dzisiejsze „umarzanie nieściągalnych sum", zależne często od lepszej lub gorszej orjentacji decydującego urzędnika, któremu zresztą zawsze zależy na jak najwydatniejszem ściąganiu „wpływów" podatkowych.

W zasadzie zatem prawie wszystkie części składowe dochodu będą zmienne, z tą jednak różnicą, że niektóre pozycje wcale lub niewiele dadzą się uszczuplić, np. koszta zasiewów i nawozów, wydatki konserwacyjne, płace (ordynarje) najniżej płatnych pracowników rolnych — inne zaś podlegają bądź to zupełnemu skreśleniu (czysty dochód), bądź też znacznej redukcji, stosownie do wartości otrzymanej produkcji (ciężary publiczne). Przy takim rozkładzie współczynników dochodu brutto będzie wykluczonem stawianie tezy „nieopłacalności" gospodarki rolnej, gdyż doprowadzenie do takiego stanu rzeczy jest absurdem ustrojowym; będą wykluczone upadłości najbardziej podstawowych placówek podatkowych, jakiemi są warsztaty rolne, natomiast utrwali się taki stan, że zasadniczy trzon ludności będzie mógł ze spokojem o jutro pracować na czarnej ziemi, a jego względnemu dobrobytowi,

a choćby tylko spokojowi, zawdzięczać będą inne zawody stabilizację stosunków zarobkowych.

Dochód, który pozostanie udziałowej spółce rolnej po opędzeniu wszystkich wydatków, dzielony będzie oczywiście proporcjonalnie do wniesionych udziałów, złożonych z roli, inwentarza martwego i żywego, gotówki lub wreszcie quantum pracy, za którą umyślnie w celu kupienia sobie udziału w spółce nie pobrano — w myśl umowy — wynagrodzenia.

Do praktycznych szczegółów organizacyjnych należeć winny zasady, ustalające, że do spółki należeć mogą rolnicy zarówno wielcy, jak i drobni, gdyż tylko tą drogą wyrobić można niezbędny dla konsolidacji państwa solidaryzm zawodowy i społeczny; że wydzielanie włączonych już działek czy obszarów może być dopuszczalne za odpowiedniem wypowiedzeniem, jednak zwrot może być zastąpiony przydziałem innych, niż oddane spółce, gruntów (na peryferji obszaru gospodarstwa zbiorowego), aby utrzymać zasadę komasacji reszty; że udział swój można za wiedzą i zgodą reszty udziałowców sprzedać każdej chwili innemu rolnikowi; że kontrolę fachową nad gospodarką (uprawą, hodowlą, zakupami, zbytem i t. p.), oraz rachunkową (nad rezultatami gospodarki i wypłatą należytości publicznych oraz prywatnych) prowadzą organizacje samorządu zawodowego pod nadzorem i w myśl instrukcji właściwych władz; że gospodarstwa, luźno pracujące, nie będą żadnymi publicznymi obowiązkami bardziej dotknięte, niż zbiorowe gospodarstwa spółek udziałowych i że jedynie tylko oczywiste korzyści wspólnej gospodarki, a zwłaszcza organizacja pracy i zbytu produktów, będą zachętą do tworzenia spółek; że udziałowcom będzie wolno zamieszkać bądź to we wspólnych domach spółki udziałowej, bądź też we własnych, jednorodzinnych domach na działkach, nie zaliczonych na udział; że obsadzenie wszystkich płatnych funkcji w spółce odbywać się będzie w myśl obowiązujących, właściwych przepisów prawnych i na podstawie

uchwał zarządu spółki rolnej, stosownie do posiadanych kwalifikacji fachowych i nabytego doświadczenia, oraz z zachowaniem najdalej posuniętej oszczędności; że cała gospodarka spółki pozostawać będzie pod kierunkiem odpowiedzialnego za nią wobec władz zarządu; że zarząd decydować będzie pozostawiane mu do swobodnego uznania szczegóły większością głosów, których ilość stanie w prostym stosunku do wniesionych udziałów; że wszelkie uchwały i postanowienia zarządu spółki, jako też pełnego zespołu członków spółki, zarówno odnośnie do spraw personalnych, jak i gospodarczo-finansowych, podlegają statutowo (donioślejsze nawet przed ich wykonaniem) zatwierdzeniu organizacji samorządu zawodowego.

Ta, w zarysach przedstawiona organizacja, wykluczająca jakąkolwiek demagogiczną majoryzację, zapewniająca natomiast swobodę należenia lub nienależenia do spółki rolnej, zapewniająca ponadto intensywne wykorzystanie wszelkich możliwości produkcyjnych i możliwości racjonalnego, korzystnego kupna oraz zbytu w myśl wypróbowanych wskazań ekonomji, winna być wprowadzona przedewszystkiem w obszarach, które przydziela się wysłużonym żołnierzom o charakterze osadników, jako elementowi dyscyplinowanemu i wdrożonemu już w zasady solidaryzmu. Obszary, wydzielane osadnikom, są wprawdzie stosunkowo niewielkie i daleko im wielkością do obszarów, jakie w myśl podanej zasady winny się organizować w celu stworzenia podstaw przyszłej , na masową, a pierwszorzędna produkcję nastawionej gospodarki rolnej, niemniej jednak, jako objekty wzorowe, oddałyby idei wprowadzenia w życie gospodarstw udziałowych kapitalną przysługę.

Przez urządzenie warsztatów rolnych o tak silnej organizacji, gwarantujących, dzięki stosowaniu w nich najwyższej wiedzy i doświadczenia, podobnie, jak dobrze zagospodarowane i wielkie majątki osób pojedyńczych, ma-

ksimum wydajności i ekonomji, możnaby ze spokojem oczekiwać od nich należytej „dziesięciny“ na rzecz sparbu państwa. Po wyeliminowaniu, w myśl naszkicowanej zasady, z obowiązujących ustaw wszelkiego elementu demagogji, powstałby pomiędzy państwem a obywatelem uczciwy stosunek, jak pomiędzy dwoma lojalnymi kontrahentami, a nie jakby pomiędzy wrogim kontrybuentem i bezwolnym, zawojowanym autochtonem — jak to dzisiaj, w codziennej praktyce, nieraz robi wrażenie. Jeżeli dzisiaj ze skarbowego punktu widzenia mowa jest o „ściągalnych“, względnie „nieściągalnych“ kwotach podatkowych, to wiadomo, że w rzeczywistości mowa tu o udanej lub nieudanej egzekucji, która rujnuje i wywłaszcza podatnika. Dzisiaj nie te kwoty nazywane są „ściągalnemi“, które podatnik oszczędny, pracowity i zapobiegliwy m o ż e publicznej ręce zapłacić salva rei substantia, lecz takie, które wynagradzany lepiej, niż w innych działach administracji państwowej, urzędnik skarbowy potrafi wydusić z podatnika, nie bacząc na to, czy warsztat pracy podatnika zdatny będzie potem do dalszej egzystencji.

Ten „system“, o ile chodzi o warsztaty rolnicze, musiałby zatem ustać i być zastąpiony przez system, w którym ściągalnymi pozostałyby jedynie podatki, naprawdę ściągalne, a to byłoby możliwe jedynie po wprowadzeniu proponowanych zasad naszkicowanej powyżej reformy rolnej.

Przewiduję, że w odpowiedzi na niniejszy projekt zabrzmią słowa „doświadczonej“ a „druzgocącej“ krytyki z jednej strony i że spotkam się z „wymownem milczeniem“ z innej strony. Wiem jednak również, że nie zostanę sam na placu, bowiem w kołach rolników zupełnie umiarkowanych, dalekich od marksizmu i demagogji, rzecz będzie potraktowana życzliwie z ołówkiem w ręku, oraz poddana rozwadze i analizie głównie od strony p s y c h o l o g j i dzisiejszej, bardzo powoli chłonącej oświatę, masy drobnych rolników.

Andrzej Zawadzki.

INFERIORITAS CATHOLICA W AMERYCE.

Religijność amerykańska stanowi dla Europejczyka, a może także i dla samego Yankesa, zagadkę zawiłą. Z jednej strony opanowuje ona niejako życie publiczne, wszędzie rzuca się w oczy — i w poczekalniach kolejowych i w pokojach hotelowych, zarówno przy otwarciu kongresów, nie wyłączając naukowych, jak przy rozpoczęciu bankietów. Bluźnierstwo karze się, jako straszny występek, pornografję ściga się zapamiętale, zaprowadza się prohibicję, a z drugiej strony: obojętność, czy niewiara miljonowych rzesz, wychowanie bezreligijne, przestępczość, jakiej drugiej nie znajdziesz na świecie, bandytyzm, lekceważenie życia ludzkiego, pijaństwo, nienawiść wyznaniowa, nietolerancja wobec niższych ras. Obok szczerej prostoduszności, purytański faryzeizm i zimna, iście protestancka obłuda. Czara religijności amerykańskiej na oko piękna, a przypatrzeć się bliżej: pełno w niej skaz.

Analogicznie przedstawia się i katolicyzm amerykański. Stanowiąc najpotężniejszy zespół religijny, kipiąc młodzieńczą siłą przedsiębiorczości i twórczości, wznosząc coraz wspanialsze świątynie, szkoły, lecznice, przytułki, zakładając coraz liczniejsze parafje, objawia jednak na tle całego społeczeństwa amerykańskiego tyle słabości i niższości kulturalnej, a wewnątrz tyle braków pod względem zrozumienia zasad chrześcijańskich, iż czasem budzi więcej obaw, niż nadziei. Obraz religijności, a zwłaszcza katolicyzmu amerykańskiego, występował dotąd w „Rocznikach katolickich“ może w zbytnim plenerze, jednak prawda histo-

ryczna wymaga, by obok światła oddać i cienie, słowem, jak najwierniejsze odtworzyć zwierciadło. Poza przewspaniałą fasadą niebotyku religijności amerykańskiej kryją się głębokie rysy, szerokie szczerby, walą się całe piętra w gruz i pył. Wystarczy tylko stwierdzić, że na 123 milj. mieszkańców przeszło połowa — to bezwyznaniowcy, nie przyznający się do żadnej denominacji religijnej, a już zdobywa się jakieś pojęcie o tej o pomstę do nieba wołającej obojętności i niewierze. Nie można tych 60 czy 70 milj. nie chodzących do kościoła (church no - goers) nazwać niedowiarkami, bo większa część chowa jeszcze jakąś wiarę w sercu, jak wykazały wywiady; ale świadczą one o tem wymownie, że chrześcijaństwo cofa się tu ciągle na szerokiej linji, a neopoganizm prze gwałtownie naprzód.

Życie religijne tem prędzej ulatnia się w szerokich kołach, że wyznanie większości podlega ciągłemu rozstrzępianiu i rozproszkowywaniu. 30 czy 40 miljonów protestantów rozpada się na 167, według innych nawet na 350 sekt, z których niejedne z małą liczbą członków niemal niewidoczny wiodą żywot. Oto, co głoszą nagie liczby: 93 sekty mają mniej, niż 10.000 zwolenników, 23 mniej, niż 1.000, a tylko 5 sekt ma więcej, niż miljon, a największa, metodystów, 8 miljonów. Życie w kościołach protestanckich zamiera coraz więcej, zwłaszcza odkąd rozpanoszyły się samochody, którymi większa część ludności urządza sobie wycieczki do miast większych, czy na camping wśród przyrody. Zupełnie martwych, t. j. zamkniętych kościołów protestanckich liczy się na dziesiątki tysięcy, nierzadko odprzedaje się je katolikom, a wtedy dość często przewozi się je na inne miejsce. I nie dziw! Garstce różnowierców trudno utrzymać w porządku budynki kościelne. Toć są w Stanach takie miejscowości, np. w Pensylwanji, gdzie w miasteczku farmerskiem z 1.573 mieszkańcami są aż cztery kościoły i jedna bóżnica. Pastorzy traktują zajęcie swoje, jak czystej wody business i w najdziwniejszy sposób starają się ludzi pociągać na nabożeństwa. Stugębna

i stuoka reklama spieszy tu często z pomocą. Oto, jak jeden ze znawców życia amerykańskiego opisuje to wszystko:

„Gdy nie pomagają ogłoszenia stałe w czasopismach, gdy niewiele skutkują wywieszane na świątyniach zapowiedzi i znaki świetlne, gdy koncert muzyki religijnej nie ściąga wiernych, nie zaciekawia zwykły kaznodzieja, to szuka się wyjątkowych mówców, zaprasza się do wygłaszania odczytów w świątyniach ludzi świeckich, ludzi niezwykłych. Bodajby popularnego cadyka sprowadzić, bodajby gwiazdę filmową namówić, byle tym z przeciwka krzykaczom adwentystom, badaczom Pisma Św., czy pokutnikom z jaskini Dawida, nie dać się zakasować“!...

„U baptystów na rogu, po pięknym wykładzie o aeroplanach, kawa z prawdziwemi amerykańskiemi „pajami“ (ciasta owocowe). We środę, o dwie ulice dalej, u metodystów obiad za jednego „kwodra“. jakby w Polsce za złotówkę. Obiad niesłychany: kurczęta, szparagi, lody, mizerja, świeże selery i słynny amerykański „grevy“, sos generalny, zdolny nawet zardzewiałego „Forda“ nasmarować — wszystko to naznaczone przez uprzejme parafjanki i przez też parafjanki, przy odpowiedniej strawie duchowej, przy rozstawionych stołach podawane“.

Jedynym silnym, klamrą autorytetu zwartym, bezwątpienia najpotężniejszym zespołem religijnym, to katolicki. Według Official Catholic Directory za r. 1930 było wszystkich katolików 20.091.593 (według obliczeń nieurzędowych blisko 25 milj.), a rozdzielali się na 103 djecezje i 12.475 parafji. Liczba parafji wzrosła w ciągu roku o 62, a liczba księży o 939; razem z zakonnymi (8.852) było ich 27.854. Otwarto 10 nowych seminarjów duchownych, tem samem było wszystkich 145, a liczba studentów wzrosła o 1.316. Wacław Gąsiorowski stwierdza: „Kościół rzymsko-katolicki w Stanach Zjednoczonych w stosunku do innych wyznań wyrasta na nielada potęgę“.

Jednak głębsze wejrzenie w stosunki kościelne nasuwa rozmaite wątpliwości. Fala liberalizmu wdziera się

w szeregi wiernych, fala amerykanizmu ogarnia i kadry duchowieństwa. Bystrzy badacze doszli do wniosku na podstawie porównawczej statystyki, że katolicy miast zdobywać, tracą. Według O. Elliota Ross'a, mimo wielkiej liczby konwertytów, których liczy się rocznie na 40.000, mimo, że liczba urodzeń przewyższa trzykrotnie liczbę zgonów, mimo, że przyrost jest pięć razy większy, niż u niekatolików, jednak wiernych przybyło w ciągu r. 1930 tylko 13.391, czyli zaledwie nieco ponad $^1/_{10}\%$. Z tego wynikałoby, że katolicy w ciągu jednego roku stracili około pół miljona. Wprawdzie drobiazgowe obliczenia Geralda Shangenessy usiłują obalić wywody O. Ross'a o cofaniu się katolicyzmu w Stanach i z optymizmem głoszą jego postęp. Bądź co bądź, katolicyzm nie stanowi jednak tej potęgi w społeczeństwie, a tem mniej w państwie amerykańskiem, jakby się tego po jego sile liczebnej spodziewać można. Ogarniając warstwy biedniejsze i mniej wpływowe, opierając się o rzesze emigrantów, dość świeżych, nie mając dosyć rozpędu i przedsiębiorczości w zdobywaniu stanowisk odpowiedzialnych, stanowią katolicy, mimo zwartej swojej organizacji to, co już w Europie, a szczególnie w Niemczech, zwie się inferiotas catholica.

Z drugiej strony należy jednak większej winy tego niedomagania szukać po stronie protestanckiej, czy protestanckim duchem owianej większości. Dzięki niej panoszy się tu, mimo emfatycznie ogłaszanej tolerancji, którą poręcza wyraźnemi słowy konstytucja państwowa, obłuda nietolerancyjna. Pewnie, że katolicy cieszą się, mimo rozdziału Kościoła od państwa, wielką swobodą w wyznawaniu przekonań religijnych, ale w życiu społecznem traktuje się ich niemal jako drugorzędnych obywateli. Rzuci się im jakieś dostojeństwo, to wtedy nie cały płaszcz, ale tylko strzęp z niego. To też nietylko nie znajdziesz katolików w odpowiedniej liczbie po urzędach, zwłaszcza w wyższych, ale otwarcie stwierdzić należy, że katolicyzm szkodzi Yankesom w robieniu karjery. Statystyka tutaj bynaj-

mniej nie kłamie! Na 43 urzędników w „oddziale państwowym“ jest tylko 3 katolików. W stolicy, w Waszyngtonie, wśród 60.000 urzędników państwowych jest katolików 7%, podczas gdy na całą ludność przypada tutaj 17%. Żaden z gubernatorów 48 stanów nie jest katolikiem, a w służbie dyplomatycznej, po wycofaniu się ostatniego, nie było w r. 1932 już żadnego katolika. W Izbach znikoma liczba: na 435 tylko 35 — na 96 senatorów tylko 6 katolików, zato masońskich posłów 304, senatorów 65, mimo, że wolnomularze w państwie stanowią liczebnie nieco tylko ponad jedną dziesiątą katolików. W Najwyższym Sądzie jest tylko jeden katolik i pozatem w sądownictwie wogóle niesłychanie mało znachodzi się katolików. Gorzej jeszcze! Mr. Williama Donovana nie dopuszczono do gabinetu tylko dlatego, że był katolickiego wyznania. „The New World“ zarzuca Wilsonowi zaprowadzenie tego zwyczaju, by katolikom odmawiać wstępu do gabinetu, zato przyznaje, że na inne urzędy wstępu im nie bronił.

Dziwną tą polityką dwulicowości wobec katolików kieruje się i Hoover. W tym samym miesiącu październiku 1930 r. śle telegramy gratulacyjne na zjazdy katolicki i luterski; szósty zjazd narodowy eucharystyczny w Omaha wita jako pożądaną manifestację uczuć i wyraża swoje uznanie dla wysokiej wartości „ideałów religijnych i duchowych“, a w swojem piśmie, skierowanem 30 października 1930 r. na obchód 400-nej rocznicy augsburskiej, obraża inne wyznania, osobliwie katolickie. To też John Bourke, generalny sekretarz czołowej organizacji katolickiej (National Catholic Welfare Conference), dał na to „luterskie“ pismo publiczną odpowiedź, w której prezydentowi otwarcie wytknął sprzeniewierzenie się przysiędze urzędowej.

Nie dziw więc, że zgodnie z przewagą tych tradycji protestanckich kwestje religijne i przy wyborach wielką odgrywają rolę, że obłuda purytańska i zaciekłość sekciarska, głupia i ograniczona, święcą wtedy swoje tryumfy. Wiadomo, że w r. 1926 poważnym rywalem Hoovera był

Alfred Emanuel Smith (ur. 1873 r.), z roznosiciela dzienników sprężysty gubernator stanu nowojorskiego. Kiedy Smith zyskał 15 milj. głosów, na Hoovera padło 22 milj., z tego 5 milj. od katolików, reszta od niekatolików. Mimo to pozostanie faktem, że katolicyzm Smitha uważało wielu za przeszkodę. Przeciwnicy przekonali szerokie koła ludowe o niebezpieczeństwie wyboru katolika, głosząc m. in. bałamutnie, że Smith, wybrany na prezydenta, zamierza przedłużyć tunel, budowany pod rzeką Hudson, aż do Watykanu w Rzymie! Iście amerykańska fantazja u plotkarzy sekciarskich i iście amerykańska naiwność tłumów, przyjmujących takie wieści, nawet po kościołach protestanckich, za dobrą monetę.

I przy tegorocznych wyborach wystąpi kwestja religijna bezwątpienia z całą siłą. Kandydować będzie znowu Al. Smith, jako przedstawiciel partji demokratycznej, a oprócz niego — o dziwo! — także ksiądz katolicki, Rev. James Cox, jako przedstawiciel tej sławnej „Jobless Party", czyli partji bezrobotnych *). Ciekawy to typ kapłana nowoczesnego. Dawniejszy górnik, kształcił się jako stypendysta w seminarjum pittsburskiej djecezji, z której się wywodzi; potem kapelan wojskowy, który na polach Francji zdobył sobie niesłychaną popularność między żołnierzami, poświęcił się w ostatnim czasie z zapałem opiece bezrobotnych. Dokoła jego parafjalnej świątyni, Old At. Patrick w Pittsburgu, powstało z baraków osobne miasto bezrobotnych. Ponieważ w tej pstrokatej i niespokojnej gromadzie nie było ładu, uproszono ks. Cox'a na burmistrza. Miasto to, zaopatrzone w nowoczesne urządzenia, nazwano Shantytown; zarazem setki tysięcy znalazły, dzięki komitetowi, kierowanemu przez ks. Cox'a, ciepłą zupę, czy koszyczek z żywnością, czy coś z ubrania, czy węgiel, sło-

---

*) Artykuł niniejszy wydrukowany został jeszcze przed terminem listopadowych wyborów, kiedy — jak wiadomo — zwyciężyła kandydatura Roosevelta. (Przyp. Red.).

wem, zapomogę i pokrzepienie zarazem. Dzięki sprężystej organizacji zdołano nawet uruchomić w początkach stycznia 1932 r. demonstracyjny pochód bezrobotnych do stołecznego Waszyngtonu. 25-tysięczna ta armja pod wodzą księdza, protestująca przeciwko upośledzeniu najbiedniejszych, wstrząsnęła opinję amerykańską, zwróciła na siebie uwagę całego świata. Jakkolwiek, poza obietnicami Hoovera, niewiele uzyskano, jakkolwiek i wniosek armji bonusowej, t. j. zrzeszenia dawniejszych wojaków, wręczony przez ks. Cox'a 9-go czerwca 1932 r. senatowi, nie znalazł łaski w oczach bogatych panów i cała wyprawa armji bonusowej smutnie się skończyła, ks. Cox rąk nie opuścił. Przeciwnie, krótko po swoim marszu na Waszyngton ogłosił w Pittsburgu wobec 50.000 bezrobotnych swoją kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wtedy to złożył wobec współpracownika „Daily Express" i to sławne, oryginalne oświadczenie: „Świat przybity jest do złotego krzyża. Jeśli finansów nie zaprzęgnie się do rozwiązania zagadnienia gospodarczego na świecie, wtedy koniec z naszą cywilizacją. Mężowie, którzy pojechali za ocean, by walczyć o zabezpieczenie demokracji, oddali swoje życie daremnie... Za zezwoleniem mojego biskupa, za poparciem i za podnietą wszystkich rozsądnie myślących obywateli, zwracam, jako kandydat do krzesła prezydjalnego Stanów Zjednoczonych, uwagę moich współbraci amerykańskich szczególnie na złą wolę i egoizm międzynarodowej finansjery".

„Jobless Party" uchwaliła 25 sierpnia 1932 r. na swoim dorocznym zjeździe w St. Louis wysunąć kandydaturę ks. Cox'a na prezydenta. A kiedy prasa angielska roztrąbiła wieść, że przedsięwzięcie to śmiałego księdza popiera Watykan, natrafiła na twarde dementi ze strony „Osservatore Romano". Nawet w Ameryce sporo katolików nie pochwala dążeń wielkiego reformatora gospodarczego. Tyle jednak przyznają chyba wszyscy, że samarytańskie zasługi ks. Cox'a są ogromne i że jest to wprost

opatrznościowy mąż dla Ameryki, bo rzesze miljonowe chroni od grozy czerwonego niebezpieczeństwa. Pewnie, że kandydatura, mimo, że rozkołysana nadzieją na 17 milj. głosów, nie przejdzie, ale piastun jej chyba wywalczy lepszą przyszłość nieszczęśliwym rzeszom.

Wnikając głębiej w polityczne upośledzenie katolików, zauważy się, że sporo winy jest też w ich niższości kulturalnej. Mimo bogatego i rozgałęzionego szkolnictwa, katolicy w wielkiem obozowisku naukowem i literackiem mieszkają niemal pod namiotami ciurów. Jeszcze na polu badań historycznych zaznacza się pewien ruch, ale w dziedzinie filozofji, czy teologji, wychodzą tu przeważnie dzieła o charakterze naukowo-popularnym. W literaturze pięknej nie znajdzie się żadnej gwiazdy o blasku pierwszorzędnym. Przeciwnie, twórczość katolicka w ostatnich latach stale podupadała. Obliczono, że na każde 227 książek, wydanych w ciągu r. 1930, tylko jedna była katolicką. Kiedy jeszcze w r. 1926 katolicy wydali około 300 książek, to w r. 1930 ledwie 150 autorów ogłosiło swoje dzieła, do tego połowa z nich nie żyje w Stanach Zjednoczonych.

Nawet prasa zawodzi! Pewnie, że w każdem znaczniejszem mieście mają katolicy, którzy w trzech czwartych mieszkają w miejskich skupieniach, swoje pisma, ale gdy chodzi o wpływowe, z szerokim zasięgiem czytelników, pierwszorzędne, to bodaj, czyby się jakie znalazło! Najpoważniejsze „The Commonweal, a weekly review of literature, the art and public affairs", wydawane w Nowym Jorku przez „Calver Associates", oraz „America", jezuicka, to tylko tygodniki, stojące wprawdzie niemal na poziomie europejskich tygodników, ale bijące tylko około 60.000 egzemplarzy, co na 25 milj. katolików jest chyba niewiele.

Jednak, mimo wszystkie niedomagania i niedociągnięcia, zaznacza się u katolików jednak pewien, choć słaby postęp. Dla poparcia i rozbudowania prasy katolickiej działają szczególnie Catholic Press Association i osobny wydział prasowy w „N. C. Welfare Conference", stojący

pod protektoratem pittsburskiego biskupa, ks. Hugh Boyl'a. Jako miesiąc werbunkowy upatrzono sobie każdorazowy luty i dzięki tej akcji, szczególnie wytężonej w ostatnich latach, udaje się cały szereg katolickich pism przy życiu utrzymać w tym okresie przesilenia.

Więcej jeszcze tryumfalnych zdobyczy widzi się na polu szkolnictwa. Wprawdzie połowa dzieci katolickich uczęszcza do szkół państwowych, bezwyznaniowych, podziwiać jednak trzeba, że katolicy zdobyli się na szkoły dla 2.662.000 młodzieży, które utrzymują rocznym kosztem 290 milj. dolarów. Mimo ciężkich czasów liczba szkół rośnie: w latach od 1928 do 1930 przybyło 300 nowych. A kto widział te szkoły-pałace, ze wszystkiemi nowoczesnemi urządzeniami, ten mógłby coś opowiadać o nakładzie ogromnych sum, jakich wymaga zbudowanie choć jednej. W ciągu r. 1931 rozbudowano cały także szereg uniwersytetów katolickich; taka wszechnica Duguesse wydała na dobudowanie nowego skrzydła 750.000 dol., St. Louis otwarło nową szkołę dziennikarską, Notre Dame wyłożyło na instytut techniczny 300.000 dol., Georgetown kończy swoją wspaniałą budowę, Marquette rozpoczęła budowę wydziału medycznego i t. d. i t. d. Dodać jeszcze należy, że w 167 kolegjach i wszechnicach katolickich studjowało 114.000 młodzieży pod kierownictwem 7.520 profesorów.

Powoli zdobywają sobie katolicy i w życiu państwowem przynajmniej tu i owdzie należne prawa i przywileje. Tak przy otwarciu parlamentu odmawiał w r. 1932 kapłan katolicki modlitwę publiczną. Był to wypadek historyczny, bo stało się to pierwszy raz w dziejach Stanów Zjednoczonych. Na placu zaś publicznym w Waszyngtonie odbierał prezydent Hoover piękny pomnik kard. Gibbons'a od Rycerzy Kolumba, a pamiętną uroczystość zagajał apostolski delegat, arcyb. Fumasonic-Biondi. Uwiedzeni statystyką i zbyt różowym optymizmem, skłonni byli rozmaici pisarze w ostatnich latach do śmiałych twierdzeń, że Stany Zjednoczone są na drodze do katolicyzacji. Tymczasem

właśnie statystyka, trzeźwo oglądana i odarta ze złudnych obsłonek, upośledzenie katolików, miljonowe tłumy nowopogańskie, przewaga wpływów i tradycji protestanckich, straty katolików na rzecz liberalizmu, ostrzegają przed oddawaniem się niepewnym nadziejom. Tyle pewne, że zespół katolicki stanowi zwartą potęgę, ale wytężyć musi wszystkie siły, by nie ustępować ze stanowiska i nie ulegać naporowi nowoczesnego pogaństwa.

Ks. Nikodem Cieszyński.

ZWIĄZKI ZAWODOWE.

Gdy w końcu XVIII wieku rozpoczęła się w Anglji wielka rewolucja przemysłowa, która rozpowszechniła użycie maszyn i w ten sposób zabiła zupełnie chałupnictwo i drobny przemysł ludowy, zauważyć się dały wielkie zmiany w ugrupowaniu się ludności. Robotnicy wiejscy, pozbawieni pracy z powodu obracania ziemi ornej na pastwiska dla owiec i wprowadzenia maszyn do uprawy roli, szukali masowo zarobków w nowopowstających fabrykach, dokoła których tworzyły się w szybkiem tempie osady i miasteczka. W pośpiechu budowano bardzo niedbale, z charakterystyczną w owej epoce, zupełną ignorancją w sprawach higjeny, czystości i podstawowych potrzeb normalnej egzystencji ludzkiej. Ulice były wąskie, domy razem stłoczone, z małemi podwórkami, bez słońca i powietrza. Mieszkania ciasne, nigdy nie wietrzone, ale nawet i tych było za mało wobec ciągłego napływu nowych mieszkańców, tak, że przeludnienie było straszne i całe rodziny gnieździły się w suterenach, norach i t. d. O brukach i oświetleniu miasta mowy nie było, śmiecie wyrzucano na ulicę, wody często brakowało, lub tak była zanieczyszczona, że choroby infekcyjne szerzyły się w sposób zastraszający. W dodatku budynek fabryczny był tak samo sklecony pośpiesznie lub przerobiony z jakiejś starej szopy i higjeniczne warunki miał fatalne. Ludzie ze wsi, przyzwyczajeni do słońca i powietrza, nie mogli się czuć dobrze w takiem otoczeniu i szukali pociechy w jedynie dostępnej rozrywce — alkoholu. Nikt się nimi nie interesował, bo to nikogo nie obchodziło. Nawet do 1835 r. żadne z tych nowopowstałych miast nie miało magistratu lub podobnej instytucji, któraby się zajęła utrzymywaniem porządku na ulicy. Robotnicy w fabrykach narzekali na konkurencję ko-

biet i dzieci, których praca kalkulowała się dużo taniej. Z początku sprowadzano sieroty z przytułków, ale w 1802 roku wyszło rozporządzenie, ograniczające pracę tych ostatnich i zastąpiono je dziećmi robotników, którzy dla zarobku nawet czteroletnie posyłali do fabryki. Zdarzały się ciągłe wypadki, nieraz śmiertelne, gdyż przy prymitywnych urządzeniach żadne środki ostrożności nie były zachowane. Ale nawet w owych czasach istniały fabryki wzorowe, naprzykład w Szkocji zakłady Roberta Owena w New Lanark. Są to jednak wyjątki, a rząd wogóle nie wtrącał się w te sprawy wcale.

W połowie XVIII wieku grupa wykwalifikowanych robotników utworzyła pierwszy związek zawodowy, który jednak nie przetrwał długo, bo rząd wydał prawo, zabraniające zrzeszać się w celu organizowania strajków, kontrolowania płac, godzin pracy i t. d. Wobec tego rozpoczęły się rozruchy, szczególnie z chwilą wprowadzenia maszyn i prawie każda inowacja w przemyśle wywoływała niezadowolenie i bunty. Pomiędzy 1780 a 1800 ciemne masy, podbudzane przez agitatorów, demolowały urządzenia i nawet paliły fabryki. W 1830 zbuntowali się nawet robotnicy rolni, ale rząd tak energicznie zabrał się do uśmierzenia rozruchów, że się nigdy w tej formie więcej nie powtórzyły. Pod wpływem dzieł Adama Smith'a i Malthus'a rząd hołdował pod koniec XVIII wieku zasadzie, zwanej „laissez faire" i wszystkie dotychczasowe prawa, krępujące swobodę jednostki, zostały odwołane.

Dopiero około 1814 krawiec londyński, Francis Place, rozpoczął agitację na korzyść trade unionów i uzyskawszy poparcie członka parlamentu, Józefa Hume, wznowił je w r. 1825. Na razie entuzjazm był szalony i powstał nawet projekt zorganizowania „Wielkiego Narodowego Związku Złączonych Trade Unionów", który z początku liczył około miljona członków, lecz marnował pieniądze i siły na mnóstwo drobnych strajków. W rezultacie stracił swój autorytet tak całkowicie, że został zamknięty w 1835.

Niektóre poszczególne związki zawodowe wprowadziły następnie jakieś tajne obrzędy przy przyjmowaniu członków i rząd wytoczył im proces na zasadzie prawa o konspiracji. Sześciu robotników ze Stowarzyszenia Pracowników Rolnych koło Dorchester skazano na wygnanie, co zniechęciło innych i cały ruch podupadł zupełnie na przeciąg 20 lat.

Wtedy wielki wpływ na sprawy ekonomiczne zaczęli wywierać tak zwani Humanitarjanie, których główny przedstawiciel, Lord Shaftesbury, prowadził intensywną kampanję, aby ustanowić rządową kontrolę nad warunkami, panującymi w fabrykach, co się ogromnie przyczyniło do poprawy stosunków. W 1833 wyszło prawo, zabraniające używać do pracy dzieci poniżej 9 lat; trochę starsze mogły pracować 48 godzin tygodniowo, a pomiędzy 13 a 18 rokiem 69 godzin tygodniowo. W 1844 tę samą ilość godzin zastosowano w pracy kobiet, a w 1847 wprowadzono 10-godzinny dzień pracy nawet dla mężczyzn. Obecnie więc robotnik miał się dużo lepiej, niż za czasów chałupnictwa. Jedynie w górnictwie warunki były opłakane, ale i tu rząd naznaczył do ich zbadania komisję, której raport wywołał olbrzymie wrażenie i doprowadził do zakazu używania kobiet i dzieci do pracy pod ziemią.

Od 1850 zaznacza się zmiana w polityce rządu i dawne „laissez faire" zastąpione zostaje coraz większą kontrolą państwa nad stosunkami, panującymi w przemyśle. Inna grupa myślicieli, tak zwani „Utylitarjanie", zajęli się specjalnie warunkami życia w miastach i wymogli, aby parlament wyznaczył w 1835 komisję dla opracowania prawa o wprowadzeniu miejscowych samorządów, „Local Self Government", które wpłynęły ogromnie na podniesienie stanu zdrowotnego i kulturalnego ludności miejskiej. Jedynie małe miasteczka samorządu nie otrzymały i pozostały w zaniedbaniu.

W ten sposób rząd podniósł znacznie swój autorytet, bo zwiększył swe wpływy w sprawach ekonomicznych

i przemysłowych. Robotnicy przywykli odwoływać się do jego opieki i pomocy, a pracodawcy do jego rady i informacji. Warunki życia i pracy powoli poprawiać się zaczęły. Choroby zaraźliwe, które były plagą średniowiecza, znikły prawie zupełnie, dzięki postępom higjeny i medycyny, „standard of living“ podniósł się ogromnie, dając masom lepsze pożywienie, wygodne mieszkania, pisma, książki, rozrywki i t. d.

Tymczasem Trade Uniony wegetowały nędznie, bo robotnicy odnosili się do nich z nieufnością, a pracodawcy i społeczeństwo z niechęcią lub nienawiścią.

Pomiędzy 1850 a 1875 kilku zdolnych i dzielnych ludzi utworzyło grupę zwaną „Junta“, składającą się z najbardziej wykwalifikowanych i dobrze zarabiających robotników, płacących wysokie składki na fundusz zapomogi w razie choroby lub bezrobocia. Strajki były źle widziane, a wszelkie konflikty z pracodawcami załatwiane pokojowo. Wkrótce „Junta“ zyskała wielkie wpływy w społeczeństwie dzięki rozsądkowi, wielkim zaletom charakteru i talentowi organizacyjnemu tych pięciu ludzi z Allanem William na czele.

W ostatnim dziesiątku XIX stulecia rzesze niewykwalifikowanych robotników, któremi dotychczas nikt się nie zajmował, więc żyły w bardzo marnych warunkach, stworzyły tak zwany „New Trade Unionism“, któremu udało się w 1889 zmniejszyć czas pracy z 12 do 8 godzin dziennie dla robotników w gazowni londyńskiej. Od tej chwili datuje się jego rozwój, ale metody, stosowane przez zarząd, różnią się znacznie od dawnych. Pod wpływem prądów socjalistycznych główną bronią stają się strajki i konflikty z pracodawcami są na porządku dziennym.

Rada związków zawodowych w Manchesterze podała projekt zwoływania co roku Kongresu, czyli Zjazdu delegatów wszystkich istniejących Trade Unionów, dla dyskutowania nad ważniejszemi zagadnieniami życia robotników. Na razie związki londyńskie przyjęły ten projekt bardzo

ozięble, ale później w obronie interesów, zagrożonych przez nowy akt parlamentu, zgodziły się zwołać konferencję w Londynie w 1871. Odtąd Kongres zbiera się co roku i gdy pierwszy składał się z reprezentantów zaledwie 118.000 robotników, w 1919 przedstawiał już blisko 5.500.000 robotników.

Już od 1868 zdarzało się, że robotnicy mieli w parlamencie jednego lub dwuch przedstawicieli, głosujących zwykle razem ze stronnictwem liberałów. Ale wielu leaderów Nowego Trade Unionizmu hołdowało zasadom socjalizmu i poczęło nalegać, aby utworzyć własne stronnictwo i dążyć do uzyskania w Izbie Gmin jak największej liczby reprezentantów. Starsi robotnicy nawet słyszeć o tem nie chcieli, ale młodzi zebrali się w 1893 w Bradford i pod przewodnictwem leadera szkockich górników, Keir'a Hardie, utworzyli Niezależną Partję Pracy (Independent Labour Party), która jednak narazie żadnej politycznej roli nie odegrała. W 1899 Kongres Trade Unionów w połączeniu z Independent Labour Party podały projekt założenia stałego Komitetu pod nazwą Labour Representation Committee, którego pierwszym prezesem był Ramsay Mac Donald, dzisiejszy premjer. Dopiero w 1906 Komitet przybrał oficjalnie nazwę Labour Party.

Socjaliści zorjentowali się szybko, że Trade Uniony były dla nich bardzo wygodnym terenem do opanowania, chociażby dlatego, że rozporządzały zasobną kasą, z którejby czerpać mogli na wybory do parlamentu i opłacanie swych reprezentantów, bo posłowie do 1911 żadnych djet poselskich nie pobierali. Jeszcze w 1871 Trade Uniony głosowały na konserwatystów, ale gdy w 1901 wybuchł strajk na kolejach i towarzystwo kolejowe podało do sądu Związek kolejowy, domagając się od niego odszkodowania za poniesione straty — i wygrało, popłoch powstał w szeregach robotniczych. Obawiając się, że nadal zawsze w razie strajku będą musieli płacić wysokie odszkodowanie, wszyst-

kie Trade Uniony postanowiły przyłączyć się do Labour Party, biorąc odtąd czynny udział w życiu politycznem kraju.

W 1908 Izba Lordów orzekła, że opłacanie posłów do parlamentu z funduszu związków zawodowych jest niezgodne z prawem i od 1911 Izba Gmin wyznaczyła swym członkom po 400 funtów rocznie. W 1913 nowe prawo pozwoliło jednak Trade Unionom robić ze swymi pieniędzmi, co im się podoba, i wszystkie zaczęły zbierać fundusze na cele partyjne.

Ostatnie kilka lat przed wojną przyniosły nowe zmiany w organizacji Trade Unionów, polegające na grupowaniu się kilku małych związków w jedno większe zrzeszenie. Ruch ten, znany jako „Industrial Unionism“, po wojnie rozwinął się bardzo, łącząc wszystkich pracowników, związanych w jakikolwiek sposób z danym fachem, w jedną olbrzymią organizację, podzieloną na mniejsze grupy, stosownie do swego zajęcia. Naprzykład w 1918 trzynaście związków zawodowych, związanych z przemysłem budowlanym, utworzyło „The Federation of Building Trade Operatives“, którego centralny komitet składał się z dwóch przedstawicieli każdego pomniejszego związku. W ten sposób znaczenie i wpływy Trade Unionów wzrosły i doprowadziły do zmniejszenia godzin pracy i podwyższenia wynagrodzenia, stosownie do mniej lub więcej pomyślnego stanu danego przemysłu. Wiele Trade Unionów zajęło się podniesieniem poziomu oświaty wśród mas, urządzając dla swych członków odczyty, kursa wieczorowe i t. d.

Rok 1920 był okresem największej pomyślności i liczba robotników, należących do związków zawodowych, sięgała 6.000.000. Ale gdy zaczęło się bezrobocie i przyszła fala strajków, szkodliwych w najwyższym stopniu, nietylko dla interesów państwa, ale i samej klasy robotniczej, autorytet Trade Unionów ucierpiał znacznie. W 1926 Kongres Trade Unionów proklamował strajk powszechny i przemysł i transport brytyjski zamarły na cały tydzień,

przynosząc nieobliczalne straty, w następstwie czego parlament wydał prawo, uznające powszechne strajki za nielegalne. Wtedy dopiero postawa leaderów uległa radykalnej zmianie. Gdy w 1927 niektórzy pracodawcy zaprosili ich na naradę, w celu ułożenia warunków możliwej współpracy, spotkali się ze zrozumieniem i pokojowym nastrojem. Duch zgody zapanował w przemyśle. Niestety, nie na długo.

Agitacja komunistyczna sieje zamęt w szeregach robotniczych, nie szczędząc pieniędzy na swą destrukcyjną robotę. Kontrakcja jest o wiele za słaba, bo mało jest jednostek, któreby chciały poświęcić czas i energję na zwalczanie nieprzyjaciela na terenie jego największej aktywności, to jest właśnie w związkach zawodowych.

Jeżeli działalność Allana Williama zaznaczyła się dodatnio i „Junta" przyczyniła się do unormowania warunków w przemyśle, to i dziś ludzie, obdarzeni silną wolą i darem porywania tłumów w imię idei i dobra powszechnego, mogliby zdziałać wiele dla uspokojenia umysłów i usunięcia ich z pod zgubnych następstw socjalistycznej ideologji.

Już w 1891 Papież Leon XIII w encyklice swej „Rerum Novarum" zwrócił baczną uwagę na konieczność tworzenia organizacji zawodowych, którym ówczesne państwa były bardzo przeciwne. Tem większe znaczenie miały więc słowa Ojca Świętego, że: „związki pracowników są konieczne i przysługuje tym ostatnim pełne prawo ich tworzenia, państwo zaś, zabraniając im tej swobody, podważałoby własne swoje podstawy, skoro tak samo, jak one, z jednego pochodzi źródła, mianowicie ze społecznej natury ludzkiej".

Leon XIII niejednokrotnie powracał do kwestji robotniczej, której też i Pius XI poświęca dużo uwagi. O poważnych pracach episkopatu w związku ze wskazaniami Stolicy Apostolskiej można się dowiedzieć z wydawnictwa:

„La Hierarchie Catholique et le Problème Social depuis l'Encyclique Rerum Novarum". Obecny Ojciec Święty w encyklice Quadragesimo Anno przypomina, że Leon XIII nakazywał zwrócić baczną uwagę na obronę słabych i biednych, ponieważ „warstwy bogate, dostatkami obwarowane, mniej potrzebują opieki państwa. Klasy natomiast ubogie, pozbawione ochrony, jaką daje majątek, szczególnie tej opieki potrzebują. Dlatego państwa powinny pilnem staraniem i opieką otaczać wszystkich pracowników najemnych".

W Małopolsce jeszcze w 1906 powstał Polski Związek Zawodowy Katolickich Robotników w Krakowie, co wywołało wielkie niezadowolenie wśród socjalistów. Nie mogąc przeszkodzić utworzeniu się związku, usiłowali rozbijać zgromadzenia i teroryzować działaczy katolickich, co jednak nie zdołało osłabić ich zapału i energji. Pierwszy zjazd Polskiego Związku Zawodowego Katolickich Robotników odbył się 19 maja 1907 r., a wzięli w nim udział delegaci przeszło 30 grup z Galicji i Śląska Cieszyńskiego, liczących razem około 3.000 członków.

Rok 1912 był bardzo ciężki dla młodej organizacji wskutek zastoju w przemyśle. Wybuch wojny bałkańskiej jeszcze pogorszył sytuację, tak, że tysiące robotników przez szereg miesięcy pozbawionych było pracy i Związek musiał im przychodzić z pomocą. Jednak w następnym roku stosunki zmieniać się zaczęły na lepsze. Na konferencji w 1913 powzięto w Krakowie uchwałę, aby stworzyć jedną chrześcijańską, polską, bezpartyjną i niepolityczną organizację robotniczą pod nazwą: Polskie Zjednoczenie Zawodowe Chrześcijańskich Robotników i powołać Radę Nadzorczą, złożoną z przedstawicieli robotników, duchowieństwa i innych warstw obywatelskich.

Wojna światowa przyniosła zupełny upadek całej organizacji i dopiero w 1918 odbyła się w Krakowie konferencja duchowieństwa w sprawie związków robotniczych, na której postanowiono je intensywnie popierać, aby przypomnieć społeczeństwu, że nie sami socjaliści są reprezen-

tantami robotników, bo chrześcijański robotnik ma też swoich przywódców i swoje organizacje.

Gdy powstała wolna i niepodległa Polska, Zjednoczenie Zawodowe Chrześcijańskich Robotników rozciągnęło swą działalność na były zabór pruski i Kongresówkę, rozwijając się coraz pomyślniej. W chwili założenia liczba członków nie przekraczała 2.500, w 1921 dosięgła poważnej cyfry 25.000, a w późniejszych latach stale wzrastała.

Byłoby bardzo pożądane, aby jaknajszersze rzesze robotników grupowały się w chrześcijańskie związki zawodowe, ale, aby ich praca była owocna i pożyteczna dla kraju, muszą wybierać na przywódców ludzi mądrych, stojących prawdziwie na wyżynach duchowych, a nie schlebiających złym instynktom mas dla karjery i dogodzenia własnej ambicji.

A społeczeństwo musi takich ludzi wychować.

Marja Zabiełłowa.

Istotnie, byłoby wielce pożądanem, aby chrześcijański pogląd na pracę, reprezentowany w odpowiednich zrzeszeniach, przeciwstawiał się potężnie doktrynie Marksa. Jest to koniecznem z różnych punktów widzenia, moralnych, społecznych, gospodarczych i politycznych, tak już chyba dzisiaj oczywistych, że zbędnem byłoby je powtarzać. Ale praktycznej realizacji tego doniosłego postulatu stoi przedewszystkiem pewien organizacyjny szkopuł na drodze.

Powszechnie się dzieje, że każda akcja publiczna albo zagarniętą zostaje przez jakieś stronnictwo polityczne, albo sama na stronnictwo się zamienia. Tak też stało się u nas z chrześcijańskim ruchem robotniczym, który w praktyce zamienił się na polityczne stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji i przez to kompletnie został wypaczony.

W zaczątkach swych Chrześcijańska Demokracja miała być wiernym wyrazem encykliki Rerum Novarum.

Ale w rzeczywistości, dążąc do wpływów na arenie sejmowej, przyjęła szybko wszystkie cechy stronnictwa i to stronnictwa, w codziennem swem działaniu bardzo nieraz radykalnego. Przed paru laty spowiadał nam się jeden z wybitnych jego przywódców, że agenci wyborczy Chrześcijańskiej Demokracji muszą na wiecach licytować się niestety nawet z komunistami w hasłach radykalno-wywrotowych, aby zwerbować potrzebną ilość głosów wyborczych!

Oczywiście, w takich warunkach wzniosła idea chrześcijańskiego światopoglądu na pracę staje się prostą komedją demagogiczną i nie może zwalczać socjalizmu, skoro musi z nim iść w radykalistyczne zawody. Zamiast łagodzić, zaognia tylko walkę klas.

Na podstawie więc tego, zresztą nietylko w Polsce zrobionego doświadczenia, twierdzić możemy, że idea chrześcijańskich związków robotniczych, czy wogóle Chrześcijańskiej Demokracji, tak długo będzie w praktyce skarykaturowaną i nieszczerą, a nawet wprost szkodliwą, dopóki egzytsencję swą i cele opierać będzie na ambicjach wyborczych. Skuteczna, uczciwa akcja chrześcijańskiego poglądu na pracę nie może żadną miarą być wtłoczona w ramy jakiejkolwiek organizacji partyjno-politycznej, bo inaczej utopi się odrazu w absurdzie i demoralizujących praktykach powszechnego głosowania. Jak sam katolicyzm cierpi przez wywieszanie go na sztandarze wyborczym, tak cierpieć musi na tem i Chrześcijańska Demokracja.

— Ależ — wtrąci ktoś — chrześcijańskim zasadom pracy potrzeba koniecznie reprezentacji parlamentarnej!

Oczywiście, że trzeba, ale nie wprost, nie w formie posłów jakiejś „chrześcijańskiej partji pracy, czy robotniczej“. Parlamentaryzm bowiem taki, jaki jest obecnie, z całą swą komedją „woli ludu“ i bezkrytycznego głosowania, raczej obniża i wypacza każdą doniosłą akcję społeczną, niż ją podnosi. Żądza mandatów i walka wyborcza psują dobre obyczaje — to nie ulega najmniejszej kwestji. Stąd pozwalamy sobie wyrazić stanowcze zdanie, że wszelka donio-

ślejsza akcja ideowa, jeżeli chce naprawdę osiągnąć swe cele i mieć głębszy i trwały wpływ na społeczeństwo, powinna wyrzec się bezpośrednich mandatów sejmowych i kampanji wyborczej. Nic na tem nie straci, przeciwnie, tem większą będzie miała siłę i wpływy, bo pozostanie niezależna i swobodnie będzie mogła się rozwijać.

REDAKCJA.

Z DZIEJÓW BEATYFIKACJI KRÓLOWEJ JADWIGI.

W dalszym ciągu naszej akcji propagandowej o beatyfikację królowej Jadwigi zamieszczamy interesujący i ważny w tej sprawie artykuł p. Józefa Czarneckiego, jednego z wybitniejszych współautorów naszego pisma. Artykuł ten, ogłoszony niedawno w Przeglądzie Katolickim, z przyjemnością podajemy tu in extenso.

REDAKCJA.

Podjęta przez grono, skupione wokół „Naszej Przyszłości“, myśl beatyfikacji królowej Jadwigi zasługuje na bliższe omówienie.

W poprzednim mym szkicu p. t. „Królowa Jadwiga“ dałem charakterystykę historyczną i psychologiczną tej pięknej postaci. Obecnie chcę omówić, na podstawie dokumentów, to wszystko, co stanowić może podstawę procesu beatyfikacyjnego.

Nie ulega wątpliwości, że w oczach swych współczesnych, a także najbliższych potomnych, Jadwiga poczytywaną była za osobę świątobliwą i czcigodną, a nawet pośredniczkę łask Bożych.

Świadectw tego rodzaju mamy wiele.

Jeden z opatów żegańskich, współczesny królowej, takie wystawia świadectwo: „Teraźniejsza królowa polska, pełna dobrych uczynków, Bogu, nie światu, służy, pokorę czyni, nie wie, co pycha, mistrzów i innych uczonych a pobożnych ludzi przywoływa z dalekich do siebie stron, pracując niepoślednio nad zbawieniem własnem i drugich“.

O poważaniu, jakiem cieszyła się Jadwiga, świadczy głos papieża Bonifacego IX. W odpowiedzi na zaproszenie na ojca chrzestnego mającego się narodzić dziecięcia pa-

pież pisze własnoręcznie dwa listy. Jeden do Władysława, najmilszego w Chrystusie syna, drugi do Jadwigi:

W tym ostatnim liście czytamy:

„Oznajmujemy twej królewskiej Mości, że, zważywszy w umyśle naszym szczerą i pełną pokory przychylność, jaką ku nam i Kościołowi rzymskiemu twoja królewska Mość okazujesz i zawsze okazywałaś, wstępując chwalebnie w ślady twych sławnych poprzedników, poczuwamy w sercu naszem wdzięczną ku tobie życzliwość, a jak zawsze, tak i obecnie szczególną chcemy ci dać poznać łaskę i przychylność“.

Wyraziwszy zgodę na zostanie ojcem chrzestnym, papież pisze dalej:

„Przyczem upominamy waszą królewską Mość, abyś króla, małżonka twego, w którym, jak wiemy, położona jest cała nadzieja królestwa i krajów tamecznych, twemi zdrowemi i rozumnemi nie przestawała wspierać radami i nakłaniać, aby trwał w chwalebnej, jak dotąd, ku nam wierności i przychylności i coraz więcej ją w sobie pomnażał, a zbaczających z drogi wiary i należnego nam posłuszeństwa starannie naprowadzał“...

Długosz w Dziejach Polski (księga X) takie pochwały składa Jadwidze:

„Tej pobożnej i błogosławionej niewiasty świętość okazała się nawet po śmierci i dotąd się między nami okazuje, a bezwątpienia i w potomnych wiekach, mimo stygnące w sercach ludzkich cnoty, okazywać się będzie. Za jej bowiem przyczyną i przez jej zasługi umarli wracają do życia, chromi chodzą, ślepi widzą, niemi odzyskują mowę. Opętani od czarta z niemocy się wyzwalają, chorzy i rozmaitemi nękani cierpieniami pociechę i zdrowie otrzymują“.

W całem społeczeństwie powszechne było przeświadczenie o świątobliwości i cnotach Jadwigi, kwalifikujących ją na ołtarze świętych.

W kronikach pełno jest wzmianek o cnotach i świątobliwości Jadwigi. Joachim Bielski wspomina o cudach, dzie-

jących się u grobu królowej. Bernard Wapowski w Dziejach Korony i W. K. Litewskiego stwierdza, że zwłoki Jadwigi zażywały kultu relikwji, jak wszelkie święte szczątki.

W katalogu rękopisów kapituły krakowskiej, sporządzonym przez ks. Polkowskiego, jest wzmianka: „Spis cudów Jadwigi, Polskiej Królowej“ z dopiskiem „w okładce pergaminowej“. Dokument ten, rzeczywiście bezcenny, zaliczony był do t. zw. „Libri ecclesiae“. Niestety, dotąd niezdołano go odszukać *).

O świątobliwości Jadwigi wymownie świadczy podanie, zanotowane przez ks. Jaroszewicza, o nędzarzu z Biecza. Królowa zwiedzała raz ufundowany tam przez się kościół i szpital. Wśród chorych był jeden, którego rany cuchnęły w sposób niesłychanie odrażający. Do niego właśnie zbliżyła się Jadwiga, aby naprawić zaniedbanie służby, i poczęła go opartywać.

Nagle okrzyk podziwu wyrywa się z ust obecnych. Oto ciało nędzarza staje się niezwykle jasnem. W oczach płonie niebiański blask.

— Ktoś ty? — pyta Jadwiga.

Lecz w tejże chwili postać ta rozwiewa się bez śladu. Inny wypadek, to wskrzeszenie chłopca kotlarczyka, który się utopił. Na martwe ciałko rzuciła królowa swój niebieski kontusik i oto dziecię po chwili zaczęło się poruszać. Ów kontusik potem przechowywał jeden z krakowskich cechów, aż w zawierusze różnych wojen zaginął.

Przy trumnie zmarłej królowej działy się również cuda. Czuwający słyszeli śpiewy niewidzialnych chórów, w powietrzu czuć było jakąś woń przedziwną. Do trumny cisnęły się tłumy. Wśród nich była także jakaś niewiasta z chorem dziecięciem. Śmiertelna bladość powlekła już twarzyczkę dzieciny. Zrozpaczona matka zbliża się do trumny. — Królowo, uzdrów mi dziecię! — błaga. I nagle dziecina ożywia się, wykwitają rumieńce.

*) Pruszcz Piotr Hijacynt: Forteca monarchów. O. Jaroszewicz, Redemp.: Matka Świętych Polska. Również Szujski.

— Cud, cud! — wołają obecni.

Nad trumną zmarłej królowej w dzień pogrzebu, 15-go sierpnia, przemówił ks. Stanisław ze Skarbimierza, wychowanek praskiej akademji, sławiąc tak jej cnoty:

„To niech będzie dla nas pociechą, że gdy nam żal, że tak cnotliwa umarła, przynajmniej cieszyć się możemy, że taką była żyjąc, że tak żyła, że sława jej nigdy na ludzkich ustach nie zamrze, bo ona jest, jak w Bogu ufam, w niebie umieszczona i w sercach chrześcijańskich. Imię jej zapisane jest w księdze żywota. Boską była jej dusza i dlatego uleciała do Królestwa Bożego".

„Widzieliśmy, jak pięknego była lica, jak szlachetnego rodu, jeszcze piękniejszych była postępków. Lubo wysokiej godności, jak była w duchu pokorną. Widzieliśmy, jak stawiała kościoły, zdobiła ołtarze, jak czciła biskupów i księży; z jaką pobożnością przyjmowała ubogich, jak chętnie każdemu przystęp dawała, jak nikomu nie ubliżyła, jak łagodna, niewielomówna była, jak się gniewać nie umiała".

Ciało królowej złożono w pobliżu ołtarza, gdyż powszechna panowała pewność rychłego przeprowadzenia beatyfikacji, co dać miało okazję do uroczystego obrzędu otwarcia trumny.

Grób Jadwigi gromadził wciąż tłumy wiernych, błagających królowę o orędownictwo i pomoc w cierpieniach. Nie napróżno. Dziać się poczęły liczne cudowne uzdrowienia, które tembardziej powiększały nadzieję ustanowienia przez stolicę Apostolską nowej patronki polskiej.

Po jakimś czasie przybył na wizytację do Krakowa arcybiskup gnieźnieński, Wojciech Jastrzębiec. Zwrócono się doń z prośbami, aby podjął dzieło kanonizacji Jadwigi. Arc. Jastrzębiec cieszył się, jak to można poznać z listu papieża do Władysława Jagiełły, *) życzliwością i dobrą opi-

---

*) List z 5 maja 1399 r. w sprawie chrztu spodziewanego potomka. W tym liście Bisk. Jastrzębiec został mianowany legatem papieskim na te uroczystości.

nią u Ojca św. Rokowano więc sobie, że w jego rękach spoczywająca akcja pomyślne przyniesie rezultaty. Rzeczywiście też Stolica Apostolska upoważniła Arcybiskupa do podjęcia oficjalnej akcji w kierunku gromadzenia dowodów i świadectw świątobliwego życia królowej i cudów, za jej pośrednictwem sprawionych.

Arcybiskup do należytego wypełnienia tego poważnego zadania powołał Komisję, złożoną z duchownych i świeckich dostojników. Należeli do niej kanclerz Zbigniew Oleśnicki, biskup, dziekan i oficjał krakowscy, opat z Tyńca i wielu innych.

Rozpoczęto gromadzenie dokumentów, a także zbieranie składek na nieodzowne koszta. Ofiarność na ten cel była już przedtem niezwykła, gdyż wszystkim pilno było ujrzeć Jadwigę w rzędzie świętych pańskich.

Niestety, przygotowująca się przeciw Krzyżakom wyprawa, wymagająca wielkich zasobów, pochłonęła również zebrane na cele procesu kanonizacyjnego pieniądze. Tak więc i po śmierci Jadwiga „zrezygnowała" z własnej chwały na rzecz dobra narodu.

Również niefortunny los spotkał zgromadzone dokumenty. Zachował się tylko jeden z nich, stwierdzający dwa cuda pośmiertne z r. 1419.

Oryginał, spisany po łacinie 30 września 1426 r., włączony był do kodeksu dypl. katedry krakowskiej. Pierwszego odpisu dokonał ks. dr. Piekosiński, który ogłosił drukiem. Polski przekład jest dziełem ks. Biskupa Bandurskiego *).

Z tego przekładu podajemy tu wyjątki, charakteryzujące całą kwestję:

„Wojciech z Bożej łaski — zaczyna się dokument — św. gnieźnieńskiego Kościoła arcybiskup, prymas, przewielebnemu w Chrystusie Ojcu, panu Zbigniewowi Oleśnickiemu, z tej samej łaski bratu i współbiskupowi naszemu kra-

---

*) „Jadwiga, święta królowa na polskim tronie".

kowskiemu i jego in spiritualibus wikarjuszowi, tudzież wszem wobec i każdemu zosobna, tak rzeczonej katedry, jak i innych Kościołów kolegjackich, opatom w Tyńcu i Mogile, a także przełożonemu miechowieckiemu zakonu św. Benedykta, Bernarda i szpitala grobu pańskiego i wszystkim innym prałatom i kanonikom, doktorom i mistrzom Kościoła, djecezji, o których się już powiedziało i jeszcze powie, zasyła pozdrowienie i to, co się z pozdrowieniem łączy, prosząc, by dali wiarę niezachwianą temu, co niżej napisano".

Oto „przez Waszą Braterską Mość i rzeczoną kapitułę wiernie i jasno zostało nam opowiedziane, jako przedziwny Bóg, w świętych swoich czyniąc cuda i stwierdzając dziełami, owocu chwalebnego użyczył zwłokom, czyli ciału i relikwiom pani naszej Jadwigi"... ...„ku niewymownej chwale i czci swojego imienia i dla opieki zbawiennej rzeczonego królestwa raczył zasługom samej królowej pani, godnym tego, jak pobożnie wierzą, tę łaskę udzielić, iż ona, jak za życia słynęła mnogością cnót i pobożnych dzieł, tak niemniej po szczęśliwem zejściu z tego znikomego świata poczęła jaśnieć licznymi cudami i o czem rozgłos publiczny i znakomite świadectwa ludzi wiarygodnych istnieją, tak, iż ci, którzy pobożnie wierzą, że przez zasługi i opiekę rzeczonej pani uwolnieni zostali od rozlicznych rodzajów chorób i nieszczęść, na znak ocalenia i uzdrowienia składali bardzo wiele znaków, tak zwykłe świece i innego rodzaju vota dokoła jej grobu składają"...

Dalej sam Biskup Jastrzębiec stwierdza od siebie, że gdy był „w mniejszych święceniach" i pełnił urząd kanclerza, „co do wspomnianej królowej i doświadczenia jak najdokładniej wiedzieliśmy i teraz wiemy, że spełniała przeróżne uczynki miłosierdzia, cierpliwości, postów, wigilji i niezliczonych pobożnych dzieł" *).

---

*) Por. Soliloquium de transitu Hedvigis Reg. Pol. Skarbimierz Stanisław.

Na świadectwo tego postanowiono spisać ten akt, co też się „działo i dano w Krakowie, w kapitule kościoła krakowskiego, w poniedziałek 30 września, w porze m. w. tercji roku Pańskiego 1426, za indykcji czwartej, w dziewiątym roku pontyfikatu najświątobliwszego w Chrystusie Ojca i Pana naszego z Bożej łaski papieża Marcina V. Obecni byli przytem przewielebny w Chrystusie ojciec, pan Jan, arcybiskup lwowski i czcigodni mężowie etc.".

Dekret mianuje dalej komisarzy i notarjuszów do badania i notyfikowania zaszłych cudów na terenie „państwa krakowskiego" i całej prowincji gnieźnieńskiej.

W gronie tych komisarzy znalazł się także Stanisław de Skarbimiria, ów kaznodzieja natchniony na pogrzebie Jadwigi, jej wychowanek, na którego kształcenie w Pradze łożyła z własnej szkatuły.

Jako notarjusze całego aktu występowali: Wojciech Othyra de Luthome, publiczny, królewski notarjusz i Stanisław de Uście, kleryk krakowskiej djecezji, królewski notarjusz.

Jako pierwszy cud dokument opisuje, na podstawie zeznania z dnia 30 czerwca 1419 roku, cudowne uzdrowienie Jana z Bejsce w djecezji krakowskiej. Chorował on na przewlekłe owrzodzenie nóg. Gdy nic już nie skutkowało, uczynił ślub pielgrzymki do grobu królowej Jadwigi z prośbą o uzdrowienie. „Wkrótce po wyrzeczeniu ślubu począł odczuwać wzrastające polepszenie, ból złagodniał, a nazajutrz począł bez trudu chodzić".

Drugi cud dotyczył Jana Kobylańskiego, uzdrowionego z przewlełej febry po uczynieniu ślubu nawiedzenia grobu błogosławionej Jadwigi królowej.

Niestety, mimo takich przyczynków, akcja beatyfikacyjna wkrótce utknęła.

Wewnętrzne przemiany ustrojowe odsunęły na dalszy plan tę sprawę. Biskup Jastrzębiec zmarł, a kanclerz Zbigniew Oleśnicki zajął się walką z królem.

To też o Jadwidze zapomniano. Nie przypomniano

o niej sobie nawet w chwili zabiegów o kanonizację królewicza Kazimierza Jagiellończyka, którego za staraniem brata jego, Zygmunta Starego, zaliczono w poczet świętych 1521 roku.

A przecież tłumy pobożnych cisnęły się stale do relikwiarza Jadwigi. Trzeba było w końcu odnowić grób, rażący swem opuszczeniem. Dokonano tego w roku 1517. Lecz starań kanonizacyjnych już nie wznowiono.

A przecież chwała cnót i cudów Jadwigi nie wygasła do szczętu. Liczne są tego dowody.

Jan Elgot tworzy kazanie in recommendationem Hedvigis reginae, przepisane przez św. Jana Kantego i znajdujące się dotąd w Bibljotece Jagiellońskiej.

Grzegorz z Sanoka wychwala w płomiennych epitafjach tę, co jako „ogniwo, sprzęgła Litwina pospołu z Polakiem, w zgodne przymierze dwu państw łącząc niezgodną ich waśń; ślepej nawale pogańskiej do światła tem drogę wskazała. Rosą zaś była nędzarzom ubogim, Kościoła podporą. Znała ją szlachta z jej łask — z czułej opieki lud". „W niej cierpliwości był wzór, bo nie wiedziała, co żółć". Nasza królowa Jadwiga, to „gwiazda Polaków zaszczytna", „ze swej stolicy, Krakowa, pod stropy gwiaździste wzleciała".

Tenże Jan Elgot, słynny profesor Almae Matris Jagiellonensis, w kazaniu o znikomości rzeczy ziemskich i skarbieniu łask nieba, przytaczając Jadwigę, jako wzór cnót, powiada:

„Sama, według wiarogodnych świadectw wszelakiego rodzaju, dobrymi czynami jaśniała w oczach wszystkich, jakgdyby jakimiś świetlanymi promieniami, matką była dla ubogich, opiekunką sierot, założycielką szkół; była chromemu — nogą, a ślepemu okiem, a przeto, jako balsam pachnący, wpośród ludu wonność roztaczała i ręce jej mirrą ociekały, co i w naszych czasach okazywać się nie przestało".

Świadczy to, że cuda działy się ustawicznie przy jej grobie lub za jej sprawą.

Poeci nie zaniedbali również postaci Jadwigi. Wespazjan Kochowski wspomina o niej z entuzjazmem. Juljan Ursyn Niemcewicz opisuje wyrzeczenie się Jadwigi, jej też poświęca jeden dramat. Józef Szujski naśladuje go w roku 1860. Podobnie Felicjan Faleński. Wreszcie Stanisław Wyspiański tworzy niedokończony, niestety, dramat.

Oto, jak w interpretacji wielkiego poety przemawia do Jadwigi Anioł:

Będziesz dla Polski złotą różą,
Gwiazdą w szafirów skłonie,
Łzy, co dziewczęce szczęście burzą,
We skarb zawrzeją w łonie
i za lat setki,
skoro już wymrą wszyscy tu przytomni,
Jeszcze ten naród w litości dla ciebie
o tych łzach twoich dziecka — nie zapomni.

Jak widzimy, wiek XIX zaczyna się znów interesować postacią Jadwigi. Naród nasz, dźwigając się moralnie z klęski, szuka oparcia w najświetniejszych chwilach swej przeszłości dziejowej. Historycy, zastanawiający się nad przyczynami upadku Rzplitej, poczynają również zgłębiać okres rozkwitu polskiej potęgi. Nic dziwnego, że ich uwagę musiała pociągnąć postać Jadwigi, której pojawienie się rozpoczyna nową, najświetniejszą epokę dziejów polskich *).

---

*) Jako materjały historyczne służyć mogą: Długosz Jan: Dzieje Polski, tom X; Skarbimierz Stanisław: Soliloquium de transitu Hedvigis, Reg. Pol.; Szajnocha Karol: Jadwiga i Jagiełło, tom IV; Szujski Józef: Dzieje Polski; Załuski biskup: Żywot świątobliwej Jadwigi królowej; Prochaska: Władysław Jagiełło; Koneczny Feliks: Jagiełło i Witold; Gołębiewski Łukasz: Panowanie Władysława Jagiełły; Wapowski Bernard: Dzieje Korony Polskiej i W. Księstwa Litewskiego; Smolka St.: W pięciowiekową rocznicę; Narbutt: Dzieje Narodu Litewskiego; Voidt I.: Dzieje Krzyżackiego Zakonu; Przeździecki Al.: Życie domowe Jadwigi i Jagiełły; Muczkowski J.: Wiadomości o założeniu uniwersytetu krakowskiego; Wiszniewski Michał: Historja literatury polskiej; Kaczkowski Zygmunt: Kobieta w Polsce, studjum historyczno-obyczajowe; Klaczko Juljan: Hedvige, la

Gdy w r. 1900 obchodzono 500-letni jubileusz Almae Matris, ówczesny rektor, Stanisław hr. Tarnowski, kreśląc historję uczelni, taki hołd złożył Jadwidze:

„Po niemowlęctwie, jakiem były dla nas pierwsze lata Kazimierzowej szkoły, stawialiśmy pierwsze nasze kroki pod skrzydłami anioła, tego anioła, co poświęceniem swojem Bogu miljony wiernych, miljonom dusz zbawienie, królestwu swemu dwa wieki potęgi i szczęścia okupił, a kiedy sam do nieba uleciał, przez bramę śmierci — myślą drogą, wolą swoją nas do życia powołał i w siły życia opatrzył".

Następnie przypomniał zasługi Jadwigi ks. Biskup dr. Władysław Bandurski w kazaniu, wygłoszonem w r. 1905 w rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Wydał też odezwę „Zbudźmy Jadwigę!", w której w sposób porywający wzywa do podjęcia starań beatyficyjnych.

Ona, co miljony porwała ku niebu, miljonów tylko zbudzi się wołaniem. Czas podnieść wieko trumny, czas zawołać głosem miljonów:

„Zbudź się, Jadwigo! Czas nagli! Orędownictwa nam Twego i opieki potrzeba! Przewodniczką nam stań się w tej ciężkiej niepewności chwilach.

„Niechaj cały naród ku Tobie wyciągnie ramiona! Niech najpierwsze otoczą Twoją płytę niewiasty polskie i one niech zbudzą cię ze snu!"

„Kobiety polskie!... Miljony was jest na obszarze ziem polskich, litewskich i ruskich; w dłoniach swoich dzierżycie serc drogich miljony; apostołami stańcie się czci królowej Jadwigi, jako ona apostołką była wiary świętej na Litwie i Żmudzi.

---

reigne de la Pologne; Łętowski Ludwik biskup: Królowa Jadwiga, dramat; Caro Jakób: Studjum z dziejów polskich; Bandurski Władysław biskup: Jadwiga, święta królowa na polskim tronie — Kraków 1910; Tarczyc Janusz: Świątobliwa Jadwiga, królowa polska — Warszawa, nakład „Przeglądu Katolickiego" 1912, z przedmową ks. d-ra Zygmunta Skarżyńskiego, datowaną 15 sierpnia 1911 r.

„Ale i tobie, młodzieży polska płci obojga, co tak tłumnie ciśniesz się do podwoi tego uniwersytetu, przez nią odrodzonego, nie przystoi, abyś się dała komukolwiek wyprzedzać w czci dla Jadwigi“.

„Ona nowożytną prawdziwie staje się kobietą i Polski w pochodzie cywilizacyjnym jedyną patronką“.

„Niechaj się zjawią poeci i wsławią tę wielką mowy polskiej miłośnicę, co tyle tłumaczeń na język polski sporządzić dla siebie kazała, bo żadne dźwięki słowa równie miłymi jej nie były, jak polskie.

„Już król wieszczów polskich, ten, który, jak pisze Smolka, „ujrzał światło dzienne na tej samej ziemi, którą ona zdobyła dla Polski swą ofiarą“, naucza, jak czcić, jak kochać Jadwigę.

„A już najliczniej niech otoczy czarną płytę wawelską lud nasz polski, lud wiejski, ten, któremu ona matką była najczulszą. Lud ten, który zdaleka i zbliska śpieszy na Wawel z gorącą modlitwą, aby „podumać nad pomnikiem sławy“.

„Lecz nie dość wołać i pragnąć; działać trzeba, starań i ofiar dołożyć.. A gdy tak wszystkie warstwy i stany narodu czci swej Jadwigi wymowne złożą dowody, duchowieństwo nasze, książęta Kościoła polskiego, nawiązując pracę Jastrzębca i Oleśnickiego, ujmą sprawę kanonizacji w swe dłonie, u stóp Ojca św. ją przedłożą, poprą wieków świadectwem, nowymi cudami i łaskami i najgorętszem całej Polski, a daj Boże, Litwy i Rusi oczekiwaniem.

„I zbudzi się Jadwiga w koronie chwały“.

Przed samą wojną dla sprawy kanonizacji, tak gorąco popieranej, zabłysły nowe widoki. Późniejszy Biskup przemyski, Józef Sebastjan Pelczar, bawiąc w Rzymie w maju 1909 r. podczas uroczystości kanonizacyjnych św. Klemensa Marji Hoffbauera Dworzaczka, miał w sprawie Jadwigi rozmowę z Piusem X.

O jej wynikach informował Lucjana Rydla, autora dzieła „Królowa Jadwiga“.

„Ośmielony wielką Ojca św. dla Polski życzliwością, postanowiłem zaapelować do Jego serca i na audjencji, danej mi 13 maja 1909 r., w te, między innemi, przemówiłem słowa:

„Ojcze święty, my Polacy, tak ciężko zgnębieni, mamy wielu nieprzyjaciół, a tak mało przyjaciół, pośród których Ty jesteś. Potrzeba nam pomnożyć liczbę niebieskich patronów i świeczników duchownych; otóż w wieku XIV mieliśmy wielką i świętą królowę, imieniem Jadwiga, tę, która przyczyniła się głównie do nawrócenia narodu litewskiego, a której proces beatyficyjny, rozpoczęty na początku XV wieku, później, dla braku środków pieniężnych, przerwano. Dziś episkopat polski i cały naród gorąco tego pragnie, aby królowa Jadwiga policzoną została pomiędzy błogosławionych. Racz tedy na naszą pociechę i duchową korzyść pozwolić, by tę sprawę na nowo poruszyć, może tytułem kultu, oddawanego królowej Jadwidze w przeszłości.

„Ojciec święty zapytał mię o rozmaite szczegóły, a potem odrzekł:

— Odnieście się do Kongregacji Obrzędów, a ja tę sprawę w szczególny sposób polecę.

„Cóż teraz robić? — Udowodnić, że religijny kult Jadwigi trwał bez przerwy aż do naszych czasów, będzie rzeczą trudną. Wiemy wprawdzie, że nietylko w XV wieku, ale i później, wiele osób modliło się do królowej Jadwigi, jako do świętej i przy jej grobie wieszało swe wota, które — jak się zdaje — Szwedzi w r. 1655 zabrali. Wiemy, że w publicznych dokumentach nazywano ją świętą i że istniały osobne litanje, wydrukowane w Złotym Ołtarzu Polskim: jedna do bł. księżnej śląskiej, druga do „świętej królowej Jadwigi“. Wiemy, że u stóp krucyfiksu w kate-

drze krakowskiej *) wypisano, że tu modliła się Diva Hedvigis, której to nazwy w Kościele katolickim używa się tylko o świętych. Ale wszystkie te dowody wobec wymagań prawa kościelnego do beatyfikacji są niewystarczające. Słyszę nawet, że w ostatnich czasach parę osób w skutek modlitwy do świętej królowej Jadwigi otrzymało łaski nadzwyczajne, a mianowicie uleczenie nagłe z ciężkiej niemocy; ale czy są to fakta z dziedziny nadprzyrodzonej, mające na sobie widoczne piętno cudów, tego przed dokonaniem dochodzenia orzec nie można. Tymczasem św. Kongregacja Rituum tylko takie fakta i to po dokładnem ich zbadaniu, przyjmuje jako podstawę procesu beatyfikacyjnego, który najprzód w Kurji Biskupiej krakowskiej musiałby być rozpoczęty.

„Nic tedy nie pozostaje, jak modlić się, aby Pan Bóg dał świadectwo wiernej służebnicy Swojej i przemówił ponownie mową swoją, to jest mocą cudów. Czy Polska cała nie mogłaby tego wyprosić, skoro katolicka Francja wyprosiła dwa nowe i niezprzeczalne cuda na stwierdzenie świętości Joanny d'Arc, w r. 1431 na stosie spalonej? Czy już dla nas nieszczęśliwych nie potrzeba takiego kordjału niebieskiego, jakim dla Francji była beatyfikacja Joanny d'Arc?

„Niechże tedy wszyscy Polacy oczyszczają swe serca i modlą się z wielką pokorą, ale i z wielką ufnością, zwracając się z prośbą o pośrednictwo do tej, przed której tronem na Jasnej Górze królowa Jadwiga tak gorąco się modliła i której w darze ornat, perłami szyty, ofiarowała".

Ks. Biskup Bandurski pisze zaś w swem orędziu:

„Na wieść, dolatującą z Rzymu, że Francja ma doczekać się beatyfikacji Joanny d'Arc, poruszyliśmy lat temu pięć potrzebę starania się Polski o kanonizację królowej Jadwigi. Odezwa „Zbudźmy Jadwigę" padła widocznie na

---

*) Legenda głosi, że ku modlącej się u stóp krucyfiksu Jadwidze Chrystus pochylił głowę.

podatny grunt, bo znalazła serdeczny oddźwięk we wszystkich dzielnicach Polski. Zadrgały dusze silniej na odgłos tego drogiego imienia, ze czcią należną wymawianego.

Około płyty Jadwigi zaczął się znowu przerwany ruch kultu i rozbudziła się ufność w jej orędownictwo. Uciekano się do niej w potrzebach, znoszono jej kwiaty i wieńce. Niebawem zjawiły się pierwsze dziękczynne vota, zawieszane nad arkadą obok grobu. Jest ich dotychczas trzynaście (inne, jak np. broszę, ofiarowaną przez robotnice w Łodzi, przechowuje się w skarbcu)".

Czcigodny autor wylicza dalej szczegółowo wszystkie hołdy i pielgrzymki do grobu królowej Jadwigi.

„Pomyślmy — woła dostojny pasterz — że skoro już w wyniku naszych zabiegów Stolica św. na to zezwoli, Jadwidze inna będzie się należała trumna, niż ta drewniana, spróchniała wśród gruzów, w której odnaleziono jej zwłoki w r. 1877.

„Lecz przedewszystkiem trzeba nam cześć i miłość naszej świątobliwej królowej rozniecać w najszerszych warstwach narodu... Niech odtąd dla nikogo w Polsce, nawet dla najmniejszych wieśniaczych dziatek, obcem nie będzie to imię. Kobiet to polskich i młodzieży naszej wdzięczne zadanie.

„Niechże się potworzą po całym kraju komitety w celu zbierania podpisów z prośbą o rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego. Gdy tych podpisów zbierze się miljon, jak owych koron na szkoły kresowe, wówczas biskupi polscy, którzy dziś już tę sprawę uważają za swoją, poprowadzą ją dalej, u stóp Ojca św. pokornie przedstawią, poprą świadectwem wieków, da Bóg, dowodami nowych łask i cudów. Bo cudów Jadwigi potrzeba jeszcze koniecznie i uprosić je może tylko wiara gorąca dusz polskich, ufne w potrzebach i smutkach wzywanie. I przyjdzie czas, że nam Jadwiga odpowie; swego orędownictwa zeszle znak widomy, do ludu swego wdzięcznego miłościwie z nieba wyciągnie ramiona i powiedzie go znowu szlakiem powodzenia i chwały".

Dzisiaj, po latach dwudziestu zaniedbania, podnosimy znów myśl kanonizacji królowej Jadwigi, widząc w tem sprawę, godną dążeń katolickiego społeczeństwa naszego.

Józef Czarnecki.

Komunikat. Wobec rozwoju akcji, prowadzonej od pół roku przez Koło Przyjaciół Naszej Przyszłości, zapomocą wyłonionej specjalnej sekcji, mającej na celu rozpowszechnienie kultu świętobliwej Królowej, jako pierwszej podstawy dla wszczęcia procesu kanonizacyjnego, oraz przygotowanie odpowiednich materjałów historycznych, ukonstytuowała się sekcja ta na posiedzeniu 9-go listopada b. r. jako tymczasowy komitet, celem systematycznego prowadzenia tej akcji w granicach, w których świecka propaganda poprzedzić winna właściwą akcję kanonizacyjną władz duchownych. Ukonstytuowanie tego komitetu tymczasowego, który stopniowo rozszerzyć się ma na szersze sfery obywatelskie, nastąpiło po zapewnieniu przez wspomnianą sekcję Koła bardzo przychylnego sprawie stanowiska miarodajnych sfer duchownych.

Redakcja.

POD WRAŻENIEM TYGODNIA ROLNICZEGO.

Skończył się Tydzień Rolniczy. Trudno przesądzać, jakie będą praktyczne jego wyniki, ale to jedno można w każdym razie na korzyść ostatecznych obrad w Warszawie powiedzieć: że trwały krótko. W ciągu jednej niedzieli mógł każdy delegat usłyszeć, co tam, przy wielkim ołtarzu, o losach rolników stanowią.

Zjechano się tłumnie z całej Polski i uchwalono liczne postualty, które, gdyby choć w części się spełniły, całe rolnictwo uczułoby niezawodnie znaczną ulgę — a w ślad za niem i całe życie gospodarcze.

Niestety, są wśród tych postulatów także i takie, których genezy należałoby szukać chyba tylko w poczuciu rozpaczliwego położenia, w jakiem się rolnictwo znajduje i stąd nazbyt gorączkowego dążenia do wyjścia z impasu. Chwyta się więc w takiej atmosferze także środków, niedość przemyślanych, a nawet — powiedzmy szczerze — nieetycznych, nie bacząc na groźne ich następstwa.

Tak więc, wśród powodzi słusznych dezyderatów, znalazł się jeden, bardzo namiętnie dyskutowany, który nie powinien był wcale znaleźć się na warsztacie obrad Tygodnia Rolniczego. Dezyderatem tym była redukcja długów rolniczych mniejwięcej w tym stosunku, w jakim spadły ceny płodów rolnych, a więc przynajmniej do połowy!!

A żądanie to poparto następującem rozumowaniem:

Rolnik pożyczył przed kilku laty np. 800 zł. na kupno krowy. Ale krowa ta warta jest dzisiaj tylko 100 zł. Wobec takiego spadku wartości niesłusznem byłoby, gdyby całą tę stratę dłużnik ponosił; należy rozdzielić ją np. po połowie pomiędzy rolnika i jego wierzyciela. W ten sposób

i wierzyciel będzie pociągnięty po części do ponoszenia skutków kryzysu i rolnik dozna ulgi. Zresztą, gdyby ten argument niedość przemawiał do przekonania, to jest jeszcze drugi: wzgląd na dobro samego wierzyciela. Pozorny to paradoks obciąć kapitał wierzyciela i mówić o jego dobru! Ale tylko pozorny, bo wszystkie długi, zaintabudowane na dalszych miejscach hipoteki po Towarzystwie Kredytowem, musiałyby odpaść w razie wykorzystania przez to Towarzystwo jego przywileju na wypadek przymusowej sprzedaży danego majątku, wskutek czego dalsi wierzyciele odeszliby z kwitkiem. W razie zaś znacznej, ogólnej redukcji długów coś przecież i dla tych dalszych wierzycieli pozostanie.

Czy jednak przy redukcji długów do połowy nie grozi tym wierzycielom to samo? Oczywiście, że tak, zwłaszcza wobec dzisiejszego, olbrzymiego spadku cen. Powyższe rozumowanie więc błądzi nawet pod względem ściśle rzeczowym. Podobnie mylny jest pierwszy argument. Wszak rolnik, kupując krowę wyłącznie na kredyt w dzisiejszych czasach szybkich wahań wartości, postępował niewątpliwie lekkomyślnie; usprawiedliwia go tylko to, że szedł za duchem czasu, gdy nie bardzo jeszcze wierzono w stałość waluty i doświadczenia inflacyjne dyktowały mu jak najdalej posunięte inwestowanie gotówki w inwentarz i inne objekty realne

Strata więc, którą poniósł na krowie, musi go dotknąć w całości tak, jak każdego innego kupca, który w danej konjunkturze kupił towar stosunkowo za drogo. Kupiec taki musi towar przetrzymać, czekając, aż będzie mógł z czasem wyrównać mniejwięcej stratę. Jest to kwestja intuicji i racjonalnego przewidywania, w które trudno tu wchodzić. Ale w każdym razie jest rzeczą niedopuszczalną, aby chwilowe straty na zakupionym na kredyt towarze, wynikłe z wahań cen, chcieć przerzucać częściowo na wierzyciela.

Takie postępowanie sprzeciwiałoby się wyraźnie etyce chrześcijańskiej, sprzeciwiałoby się także prawom ludz-

kim, opartym na zasadniczem prawie własności, oraz zdrowej logice kupieckiej.

Można w krytycznych warunkach gospodarczych mówić o moratorjum — którego nie wiem dlaczego tak się ludzie boją?! Można mówić o zniżce stopy procentowej, zwłaszcza, że stopa ta dzisiejsza jest istotnie jedną z walnych przyczyn nierentowności rolnictwa, przewyższając nieraz kilkakrotnie wszelką możliwą jego dochodowość. Wchodzi nieraz w granice lichwy, prawem ściganej. Jest wyraźnym objawem wyzysku dłużnika przez wierzyciela. Dlatego słuszną jest rzeczą, że na tym punkcie może i powinien wierzyciel zredukować swe żądania wobec rolnika. Może wierzyciel czekać nawet czas dłuższy na zwrot kapitału, aż warunki na to pozwolą. Wszelkie ulgi i zwłoki są tu możliwe.

Ale wara od redukcji kapitału! Takiego żadania nie wolno stawiać w państwie, dotąd jeszcze — dzięki Bogu — na prawie własności opartem. I dlatego przeciw podobnym tendencjom, które ujawniły się w ciągu Tygodnia Rolniczego, stanowczo musimy się zastrzec!

Pamiętajmy, że nie zawsze jest zbawienną droga najmniejszego oporu. Żądając redukcji długów, a wiec częściowej konfiskaty cudzej własności, kręcimy bicz na siebie samych! Podkopujemy to samo prawo, na jakiem opierają swą egzystencję nasze warsztaty, a które już reformą rolną dosyć zostało naruszone. Pamiętajmy nadto, że największą chorobą naszych czasów jest ogólna nieufność, która przejawia się wszędzie aż nazbyt jaskrawo. Widzimy ją w polityce podatkowej, gdzie najlojalniej nawet sporzadzone zeznania nie znajdują wiary; widzimy ją w przeroście etatyzmu przemysłowego, gdzie pod pozorem tańszej i rzekomo pewniejszej produkcji wytwarza państwo różne towary, nawet codziennej potrzeby, nie mające nic wspólnego z uzbrojeniem i innemi, bezpośredniemi potrzebami państwa; widzimy ją w polityce międzynarodowej, gdzie—mimo wszelkich usiłowań stworzenia jakichś warunków bez-

pieczeństwa, zaufania i współdziałania międzypaństwowego — starodawna rzymska zasada „si vis pacem para bellum“ góruje nad wszystkiem.

Dzięki właśnie tej nieufności i jej konsekwenciom zbliżyliśmy się wszędzie do socjalistycznego w istocie światopoglądu; nauczyliśmy się patrzeć na pracę społeczną, jako na arenę stałej walki o byt; potworzyliśmy nawet różne teorje wolnej selekcji, będące bezpośrednim skutkiem tej walki. Ale zapomnieliśmy przytem o etyce chrześcijańskiej, o konieczności dostosowywania naszych potrzeb do potrzeb bliźniego; produkujemy na ślepo, dla zysku za wszelką cenę, a nie w rozważeniu istotnych potrzeb społeczeństwa, czego wynikiem jest hiperprodukcja.

Chcemy koniecznie widzieć w jednostce bojownika, toczącego ze wszystkimi walkę o byt, chcemy obezwładnić ją mnóstwem gniotących ustaw, a im bardziej jej nie ufamy, tem bardziej krępujemy ją coraz dalszymi przepisami i ciężarami, zapominając przy tem, że każdą, nazbyt krępującą ustawę obejść można drugą ustawą, albo jakimś innym sposobem i że niewzruszonem kryterjum jest tu tylko głos sumienia. Nie strach przed sankcjami karnemi, ale w pierwszym rzędzie głos sumienia winien być podstawą wszelkiej naszej działalności i decyzji.

Być może, że wskutek długotrwałej wojny głos sumienia zeszedł na plan drugi; wyłonił się wskutek tego cały szereg ustaw, krzywdzących i podważających prawo własności, jak np. lex Zoll lub ustawa o reformie rolnej. Ale czas już ostatni wyrwać się z tego moralnego upadku i napiętnować wszystko to, co jest w ustroju państwa i nastroju społeczeństwa niezgodnem z prawem Boskiem i ludzkiem, co sprzeciwia się sumieniu chrześcijanina i prawdziwie cywilizowanego człowieka.

Słyszałem na warszawskich obradach, zamykających Tydzień Rolniczy, że wierzytelności przestały już być dzisiaj nietykalnem tabu; że dzisiejszy „duch czasu“ dozwala, aby tę sprawę „rozważyć“.

Nieprawda! Nigdy żaden duch czasu zezwolić na to nie może, bo redukcja długów — czyli konfiskata cudzego mienia — będzie zawsze zwykłem złodziejstwem. Innej nazwy na to niema! Redukcja długów (mówię oczywiście o redukcji generalnej, nie zaś o sporadycznem postępowaniu polubownem) byłaby kompletnem zaprzepaszczeniem zaufania do rolników. Robiąc raz taki wyłom w uczciwości, musielibyśmy dojść do zasad bolszewickich w nieuchronnej konsekwencji.

Niech nam nie służą za wymówkę żadne przykłady zagraniczne. Nieuczciwość nie może być usprawiedliwiona tem, że ktoś inny jest nieuczciwy! Może się wprawdzie zdarzyć, że bez woli dłużnika mogą się zmniejszyć automatycznie jego długi, gdy mianowicie następuje dewaluacja. Na to jednak liczyć nie można i nie wolno w uczciwości sumienia; nie wolno nawet dać poznać po sobie, żeby się tego pragnęło, bo już to samo podważa kredyt i tak bardzo nikły w Polsce.

Natomiast, o ile chodzi o słuszne ulgi dla dłużnika, to należałoby, poza wypadkami umów polubownych, rozważyć, czy rozszerzenie przywileju Towarzystw Kredytowych ziem b. zaboru rosyjskiego na analogiczne Towarzystwa dzielnicy małopolskiej i poznańskiej byłoby aktem, pożądanym choćby tylko dla samych tych Towarzystw i dla dalszych wierzycieli hipotecznych, nie mówiąc już o położeniu rolnika, któreby w ten sposób znacznie się jeszcze pogorszyło?

O tej sprawie głucho było na obradach Tygodnia Rolniczego, a jest to przecież rzecz pierwszorzędnego znaczenia.

Jak wiadomo, przywileje Towarzystwa Kredytowego w b. zaborze rosyjskim dają mu możność sprzedania zadłużonego majątku na licytacji w dwuch krótkich terminach, na warunkach, stopniowo coraz gorszych dla dłużnika, względnie objęcia takiego majątku na własność przez Towarzystwo. Nie ulega wątpliwości, że przy powszechnem stosowaniu tych przywilejów będzie musiała w dzisiejszym sta-

nie rzeczy większość majątków przejść na własność Towarzystw Kredytowych. Czy to będzie z korzyścią dla samych tych Towarzystw, o tem pozwalam sobie bardzo wątpić!

Dlaczego więc narzucać całej Polsce nowoczesnej przestarzałe zabytki b. zaboru rosyjskiego?! Należałoby raczej owe nadmierne przywileje zmodyfikować na korzyść rolników i innych wierzycieli i zmodernizować pod kątem widzenia pożądanego objektywizmu. Przyniosłoby to prawdziwą ulgę rolnictwu, a dalszym wierzycielom hipotecznym odpowiednie uspokojenie. Sama konwersja, rozważana w czasie obrad Tygodnia Rolniczego, sprawy tej nie rozwiązuje, zwłaszcza wobec śmiesznie niskiego kursu listów zastawnych.

Otóż konstatuję, że cały ten problem tworzył dziwną lukę w warszawskich obradach, nacechowaną jeszcze abstynencją głosów przedstawicieli Towarzystw Kredytowych Ziemskich oraz Banku Rolnego. A ta luka właśnie w sprawie tak doniosłej wywarła na niejednym z uczestników wrażenie, że obrady nie dadzą jednak oczekiwanego rezultatu.

Ale czyż wskutek tego wszystkiego ma rolnik wrócić do swego warsztatu z rezygnacją, że nic się na lepsze nie zmieni? Mojem zdaniem — nie! Rolnictwo nasze przeszło już bowiem zwycięsko niejedną burzę dziejową, a zahartowane w ciągłem zmaganiu się z przyrodą i warunkami rynku zbytu, przetrzyma z pewnością i obecną nawałnicę kryzysu. Zapewne, nawałnica ta zniszczy niejedną słabszą jednostkę, ale musimy trwać w niejakiej pewności, że ogół wyjdzie i tym razem zwycięsko.

Niema wprawdzie na razie jeszcze widoków na konieczną zwyżkę cen, która wzmogłaby rentowność produkcji. Ale jest dla mnie rzeczą oczywistą, że wiecznie trwać to nie będzie, bo zbyt wielka część ludzkości cierpi skrajną nędzę, aby pozostała jej część nie musiała obmyśleć skutecznych sposobów przyjścia tamtej z pomocą. Sposoby te prędzej czy później niezawodnie się znajdą, a wtedy okaże się,

że tak przeklinana obecnie hiperprodukcja nie jest w zasadzie tak wielkiem złem! Ale kardynalnym warunkiem startu w kierunku poprawy jest, aby ludzkość zrozumiała potrzeby bliźniego, porzucając przytem wszelki, zbliżony do bolszewizmu sposób myślenia.

Józef K. Paygert.

Brawo! Oto stanowcze, lapidarne, męskie, a nawskroś uczciwe słowa! Redakcja nasza, stwierdzając niemal wszędzie upadek przekonań, podkreśla z żywem zadowoleniem tak niestety wyjątkowy, zdecydowany głos ziemianina w bezkompromisowej obronie prawa własności i etyki.

Autor powyższego artykułu jest rolnikiem, pracuje istotnie na większym majątku ziemskim, nie wyręczając się nikim. Zna dobrze warunki tej pracy, odczuwa bezpośrednio ciężary, które ją paraliżują i nie jest oczywiście wolny od różnych zobowiązań pieniężnych, jakie nawet sprawną i oszczędna gospodarka dzisiaj ze sobą przynosi. Byłoby mu więc na rękę uwolnić się od tego. A jednak, wbrew chwilowym swym interesom i wbrew ogółowi głosów Tygodnia Rolniczego, nie idzie lekkomyślnie po linji najmniejszego oporu, ale stwierdza odważnie, że każde generalne wywłaszczenie, każda powszechna redukcja wierzytelności, jest poprostu złodziejstwem i to takiem, które w myśl zasady: la propriété c'est le vol! — zbliża nas do bolszewizmu. Autor wie, czem pachną dla nas na przyszłość wszelkie ustawodawcze „ułatwienia", które dla chwilowego ratowania pewnego stanu posiadania lub dla chwilowego ulżenia pewnym stosunkom podważają coraz bardziej poczucie prawa własności i zaufanie!

Dlatego stajemy całkowicie, mówiąc językiem nowoczesnym: stuprocentowo, po stronie Szanownego Autora. Uważamy, że jest tylko jedna moralność na świecie i że każ-

dy, kto prawo własności chce ratować naruszeniem tego prawa, popada — czy chce, czy nie chce—w paradoks bolszewizmu.

I na tym punkcie nie uznajemy ani dyskusji, ani t. zw. wymagań ducha czasu i postępu!

Redakcja.

GRUDZIEŃ 1932

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXVI

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

T R E Ś Ć:

Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA PRZYJACIÓŁ „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI".

Dnia 30-go listopada odbyło się pierwsze wieczorne zebranie obiadowe Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości" w salonach Resursy Kupieckiej w Warszawie, które zgromadziło kilkadziesiąt osób, wśród nich poważnych przedstawicieli sympatyków pisma ze Lwowa, Łodzi, Poznania i Katowic.

Przy końcu wieczerzy zabrał głos Redaktor i dając wyraz zadowoleniu z powodu tak pomyślnego rozwoju Koła ze skromnych początków do obecnego, tak licznego i poważnego zebrania, skreślił w krótkich słowach cele i charakter działalności Koła, podkreślając szczególnie fakt, że wyraźna idea i konkretny program pracy zespalają i rozwijają daleko silniej ten zespół, niż byłyby to w stanie uczynić jakiekolwiek formalne ramy organizacyjne.

Następnie rzucony został na stół dyskusji temat bloku dziewięciu państw środkowo-wschodniej Europy, opracowywany już od roku piórem, słowem i czynem przez specjalną sekcję Koła Przyjaciół pisma. W dyskusji zabierał głos szereg mówców, rozważając tę koncepcję z różnych punktów widzenia, politycznych i gospodarczych, oraz zdając sprawę z obecnego stanu dotyczącej akcji, która znalazła już szerokie echo w prasie zagranicznej. Wielkie wrażenie wywarło zwłaszcza przemówienie sen. Leona hr. Łubieńskiego, który żywo popierając akcję Koła w tym zakresie, oznajmił, że sprawa ogólnego zbliżenia właśnie tych dziewięciu państw, które uwzględnia projekt Koła, była niedawno przedmiotem inicjatywy na pewnej międzynarodowej konferencji w Ostendzie — wprawdzie narazie tylko pod względem gospodarczym — i rozpatrywaną ma być w dalszym ciągu na najbliższym zjeździe w Rzymie.

Tem samem zaakcentowaną została realność i aktualność projektu, wyłonionego na łamach „Naszej Przyszłości“ jeszcze z początkiem bieżącego roku.

Dyskusja przeciągnęła się do północy i zakończyła się postulatem kontynuowania tego rodzaju wieczorów dyskusyjno-sprawozdawczych co pewien czas na gruncie prywatnym. Konkretnym rezultatem zebrania było postanowienie rozszerzenia działającej dotychczas sekcji Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“ dla propagandy koncepcji wspomnianego bloku, przez akces do niej liczniejszych współpracowników, celem wzmocnienia i rozszerzenia tej propagandy.

NIE DAMY ZIEMI, SKĄD NASZ RÓD!

O gospodarczem i politycznem znaczeniu dla Polski naszych kresów południowo-wschodnich, czyli Śląska, niema potrzeby się rozwodzić. Wiemy to wszyscy dobrze i czujemy, że bez tego, stosunkowo niewielkiego, ale kulturalnie i gospodarczo bezcennego skrawka ziemi dzisiejsza Polska straciłaby wiele ze swego mocarstwowego znaczenia, jak również ze swej prastarej tradycji.

Był Śląsk cały niegdyś jedną z najrdzenniejszych ziem królestwa Piastów, narówni z ziemią krakowską i gnieźnieńską. Wszak Gniezno, Poznań, Kraków i Wrocław, to najstarsze twierdze i ostoje dawnego państwa polskiego w okresie — powiedzmy śmiało — największej jego tężyzny rozwojowej!

Późniejsza ewolucja dziejów pchnęła nas bardziej na wschód, przez co straciliśmy „Śląsko“, daliśmy stopniowo zniemczyć się tej ziemi i oderwać się od Polski. Był to gruby błąd historyczny naszych piastowskich praojców. Zaślepieni mirażem „władztwa na wschodzie“, który już wówczas ogarniał umysły tych, którzy losami Polski rządzili, zlekceważyliśmy i zaniedbali jedną z najpiękniejszych ziem naszych i zachodnio-słowiańskich wogóle, do tego stopnia, że nikt jej nam w krwawych walkach nie potrzebował nawet wydzierać. Odpadła właściwie sama, ogarnięta przemożną imigracją germanizmu. Odpadła, jakby przez nas zapomniana, nie mogąc niemieckości stawić czoła wobec rozbicia się na ścierające się wzajemnie księstewka i w braku jakiejkolwiek pomocy ze strony krótkowzrocznej Macierzy.

Napór Niemców na tę ziemię od północnego zachodu, wąską bramą przez Żegań i Głogów, między granicą Wielkopolski a stokami gór czeskich, był właściwie bardzo

sztuczny, jakby nienaturalny. Musieli Niemcy przeciskać się przez tę bramę i potem dopiero rozlewać się szerzej po Śląsku, którego nie dzieliła od reszty ziem polskich żadna naturalna, górska czy rzeczna granica. Ale wszedłszy do Śląska tym sposobem, mogli być Niemcy tamtejsi każdej chwili odcięci od reszty swego imperjum, poprostu jednem zdecydowanem zamknięciem wspomnianej bramy, co w pewnych momentach nie było dla nas zbyt trudnem. To jednak nie nastąpiło — Niemcy śląscy wbili się wąskim, głębokim, wielce niebezpiecznym klinem między słowiańskie ziemie, przerywając główną linję kontaktu między Polską a Czechami i osłabiając przez to oba bratnie narody.

Fakt ten, w całokształcie swym dość niezwykły w dziejach, świadczy tylko o iście słowiańskiej niezaradności i bezprogramowości, która zresztą, z nielicznymi wyjątkami, znamionuje cały późniejszy bieg dziejów Polski, aż do jej upadku.

Ale stało się. Z katastrofy tej ocalały tylko szczątki dawnej polskości Śląska, usunięte stopniowo na ostatni jego kraniec południowo-wschodni, do ziemi opolskiej i cieszyńskiej, gdzie jednak twardo stanęły, trzymając się swej tradycji i wiary i języka i tego skrawka ziemi przez długie wieki, naciskane żelaznym walcem teutońskiej przemocy, techniki i kultury, a zapomniane niemal zupełnie przez Polskę, zmierzającą z fatalistyczną konsekwencją do upadku, a potem pogrążoną w rozbiorach. I właściwie dopiero pieśń, ujęta w rotę przysięgi, powstała w ostatnich latach przed wojną światową, przypomniała ogółowi Polaków o ich prastarem dziedzictwie piastowem w zakątku śląskiej ziemi.

A tak silnym był ten zew, to przypomnienie, że gdy wreszcie zmartwychwstała Polska, „złożona ze wszystkich ziem, zamieszkałych niewątpliwie przez większość polską“ — jak głosiła teza międzynarodowego pokoju — to nie było odrazu żadnej wątpliwości, że conajmniej znaczna część południowo-wschodniego Śląska dziś jeszcze do tych

ziem należy. Nie pomogły międzynarodowe intrygi, rzucane na szalę decyzji przez naszych jawnych wrogów i różnych wątpliwych sprzymierzeńców, nie pomogły buchalteryjne wykazy obcych interesów gospodarczych, rozpanoszonych w ciągu XIX wieku na tym właśnie skrawku ziemi. Nie przeszkodziła nawet niebezpieczna ignorancja stosunków, wykazana przez pewne czynniki zamorskie, które miały pretensję organizować świat na nowo. Polska część Śląska przypadła Polsce (niestety niecała) wobec całkiem widocznej, zdecydowanej woli tamtejszej ludności rdzennej. A przyłączona do Polski po długich dyplomatycznych korowodach, wzmocniła ją odrazu i wzbogaciła znakomicie.

Ale odzyskanie tej części Śląska, ten niezwykle pomyślny dla nas obrót ewolucji dziejowej, nakłada na państwo polskie ważny obowiązek i to podwójny: utrzymania przy niem tej ziemi wbrew wszelkim możliwym w przyszłości zakusom postronnym, oraz podtrzymania na niej tej kultury gospodarczej, jaką odziedziczyliśmy tam w momencie, gdy ziemia ta przypadła w udziale wskrzeszonej do niepodległości Ojczyźnie. Byłoby to bowiem niewątpliwą klęską dla polskiej racji stanu w obliczu zagranicy, gdyby się okazało, że pod polskimi rządami kultura i gospodarka w prowincjach, z pod zaboru pruskiego wyzwolonych, obniża się i marnuje.

Nie sztuka w czasie jakiejś zawieruchy dziejowej, przy chwilowem osłabieniu sąsiadów, zyskać jakieś dobra, jakiś obszar ziemi. Daleko większa sztuka, a zarazem dowód tężyzny państwowo-twórczej, takie dobro utrzymać przy sobie na stałe i w każdym kierunku rozwinąć. Wówczas dopiero można z całem przekonaniem mówić o odzyskaniu danej ziemi.

Dotyczy to wszystkich naszych ziem kresowych, wschodnich i zachodnich, a zwłaszcza tych, które w wysokiej są kulturze, a więc w pierwszym rzędzie Śląska. A nadto w różnych połaciach naszych kresów nieco odmienne stosowane muszą być metody władania, gdyż róż-

ne panują tam stosunki i różne sprawy wysuwaja się na plan pierwszy.

Otóż nie może być dwóch zdań o tem, że specjalnie na Śląsku polskim wysuwa się na plan pierwszy kwestja gospodarcza. Dlatego głównym warunkiem spełnienia przez Polskę jej politycznego zadania na Śląsku i wykazania przed światem zdolności utrzymania i rozwinięcia tego dobra, które jej traktatem wersalskim i późniejszym plebiscytem przypadło w udziale, będzie odpowiedni ustrój gospodarczy i fiskalny całego państwa, sprzyjający pomyślnemu rozwojowi pracy gospodarczej na Śląsku. Rzecz to oczywista, bezsporna, na którą zgodzić się musi każdy mąż stanu, każdy historyk, polityk i człowiek z życia gospodarczego.

Niewątpliwie wielkim jest patrjotyzm śląskich Polaków. Złożyli rzeczywiście niezwykłe w historii dowody swej adhezji do polskiej idei narodowej. Wszak po sześciu wiekach politycznej, kulturalnej i technicznej supremacji niemieckiej na tej ziemi przywrócili ją swej macierzy w bodajże większej jeszcze pełni patrjotycznego uświadomienia, niżby to było możliwem lat temu sto lub dwieście. Z trudnością znalazłby historyk drugi, podobny przykład w dziejach. Ale fakt ten, choć sam w sobie bardzo doniosły, nie wystarcza jeszcze — jak historja nieraz wykazuje — do trwałego zespolenia danej prowincji z jakimś organizmem państwowym. Ewolucja dziejowa ma swoje pewne, żelazne prawa, silniejsze nieraz od najlepszej ludzkiej woli. A prawa te wypływają z pewnych faktów, z pewnego stanu rzeczy.

Nieuchronnym postulatem tych praw historyczno-politycznych jest, aby ludziom w danym kraju dobrze się działo. Obecny realizm obywatelski i gospodarczy wzmocnił jeszcze wszędzie na świecie ten postulat kardynalny. Gotów jest dobry obywatel-patrjota ofiarować w razie potrzeby, w razie chwilowego niebezpieczeństwa, wszystko za Ojczyznę, ponieść dla niej największe ciężary, nawet

konfiskatę znacznej części swego mienia dla ratowania kraju. Ale realizm XX-go wieku nie znosi już stałego, niejako planowego niszczenia dobytku i owoców pracy obywatelskiej przez państwo. Ubi bene ibi patria — to starodawne przysłowie, uważane za wyraz cynicznego utylitaryzmu przez idealistów minionej epoki, nie jest jednak aż tak cynicznem, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Przeciwnie, kryje w sobie głęboką prawdę polityczną, silniejszą od ludzkiej woli i patrjotycznej propagandy.

Wzmogła się po wojnie światowej nadmiernie supremacja państwa nad jednostką. Żyjemy chwilowo i pauperyzujemy się wszyscy pod obuchem różnych doktryn, które, realizowane w ustawodawstwie, dążą mniej lub więcej do materjalnego i moralnego unicestwienia jednostki na rzecz pewnych zbiorowości, a w pierwszym rzędzie na rzecz państwa. Fiskalizm i biurokracja, rozrosłe do niebywałych przedtem rozmiarów, przygniatają, wysysają i paraliżują coraz bardziej twórczość jednostki i owoce jej pracy. A w takich warunkach jednostka, najbardziej nawet patrjotycznie i ofiarnie nastrojona, zwraca się mimowoli przeciw państwu, widząc w niem jakgdyby przeciwnika, z którym walczyć musi, aby się ratować. Jest to rezultat naturalny, organiczny, któremu żadna djalektyka i propaganda nie jest w stanie zapobiec. Ludzie przychodzą stopniowo do przeświadczenia, że ostatecznie państwo jest dla obywatela, a nie odwrotnie i że dlatego nie wolno państwu stale uciskać i pauperyzować obywatela.

Wszak państwo jest stworzone dla obrony i ochrony pewnego zespołu jednostek. To jego cel i sens i racja bytu. Jeżeli im się państwo sprzeniewierzy, jeżeli wyjdzie poza zakres swego właściwego zadania, to staje się nie dobrodziejstwem, ale ciężarem i nie jest w stanie wywierać na obywateli i na obcych, pragnących współpracować w danem państwie, pożądanej siły atrakcyjnej. Bez uznania tej wielkiej, oczywistej prawdy, nie jest możliwa skuteczna polityka, zwłaszcza na kresach. Wszędzie bowiem na kre-

sach toczy się z natury rzeczy organiczna walka między daną ideą państwową a postronnymi zakusami zaborczymi. Jeżeli ten organiczny proces ma zwyciężyć na korzyść danej idei państwowej raz na zawsze, to pierwszym warunkiem jest, aby obywatele kresowi czuli się dobrze w tem państwie. A w dzisiejszych czasach olbrzymiego gospodarczego i technicznego rozwoju obywatel czuje się dobrze tylko w ramach pomyślnego gospodarczego ustroju. Nie może, zdaniem naszem, ostać się na dłuższą metę państwo cywilizowane XX-go wieku, które tę wielką prawdę dla jakichbądź innych względów i doktryn negliżuje, w któremby obywatele stale źle się czuli, w któremby ich praca twórcza, uczciwy zarobek i produktywne zamierzenia miały być stale przez etatyzm, fiskalizm i różne niby demokratyczne, a w gruncie rzeczy demagogiczne doktryny unicestwiane. Tak bowiem pojęty „patrjotyzm" nie znajdzie już szczerych wyznawców na poziomie dzisiejszego cywilizacyjnego uświadomienia i bardzo trzeźwych pojęć nowoczesnych.

Jeżeli więc kresy nasze — nie mówiąc już o centrum państwa — mają stać się silnym murem i ostoją państwowości polskiej, to trzeba szczególnie na nich zrezygnować ze wszelkiego gospodarczego i społecznego eksperymentalizmu i postarać się o taki ustrój, zwłaszcza gospodarczy, aby kresy te stały się atrakcją dla tubylczej ludności i dla obcych żywiołów, a nie areną tarć i sztucznie nasrożonem przedmurzem. Wszak wiadomo, że najsilniejszy mur w końcu się wyszczerbi, a z drugiej strony wiadomo, że korzystne warunki pracy i zarobku najbardziej ludzi przyciągają i najprędzej mogą przejednać nawet przeciwników, wzmacniając przytem znakomicie spoistość i ideę państwową. Nie byłoby lepszej na świecie dla Polski reklamy, jak fakt, że ten i ów Niemiec, Francuz czy Anglik w Polsce zdołał się wzbogacić i dobrze się czuje pod egidą rozumnego, życzliwego, choć stanowczego prawodawstwa naszego.

Respekt dla państwa i korzyść indywidualna — oto dwie kapitalne wytyczne polskiej polityki państwowej, które winny być stosowane na wszystkich naszych ziemiach, a zwłaszcza na ziemiach kresowych. A doktrynerstwo i eksperymentalizm rozbić nas mogą tak, jak niegdyś rozbiły nas krótkowzroczność i anarchja szlachecka. O tem nie wolno nikomu zapominać ani na chwilę, bez względu na to, czy kto z przekonań jest konserwatystą, czy demokratą!

Gdy więc piszę w tej chwili o Śląsku polskim, to tembardziej staje mi przed oczyma nasz dotychczasowy ustrój polityczny, a zwłaszcza gospodarczy, z całem swem brzemieniem najoczywistszych społeczno-doktrynerskich i fiskalnych ciężarów i absurdów, które na każdym kroku kłam zadają tak modnym dziś hasłom Polski „mocarstwowej". I o dziwo! Im dłużej trwa obecny kryzys, im gorsze płodzi rezultaty, im do coraz bardziej niebezpiecznego wpędza nas impasu, im bardziej ogół społeczeństwa skłonnym się staje do przyjęcia wszelkich reform, tem mniej myśli się w państwie o zasadniczej reformie gospodarczej, łudząc się ciągle jeszcze nadzieją, że z dotychczasowym swym ustrojem, w każdym calu nawskroś antygospodarczym, Polska będzie w stanie kryzys jednak „przetrzymać" i na lepsze wejść tory!

Wiemy doskonale, co przyniosło Niemcom swego czasu bezkrytyczne stosowanie hasła „durchhalten"! Niechże nam to stanie w pamięci! Wszak żyjemy w atmosferze oczywistego absurdu: z jednej strony patrjotyczne hasła powszechnego dobrobytu, pracy i oszczędności, z drugiej zaś nienaruszony jeszcze, niezreformowany gmach ustawodawstwa, skleconego w demagogicznym wyścigu radykalizmu w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości, oraz zwiększający się z dniem każdym ciężar świadczeń i ograniczeń, które przygniatają do reszty warsztaty pracy!

Trzeba, zaprawdę, raz skończyć z tą rujnującą antytezą! Dorywczymi środkami ratunkowymi, systemem

„karetek pogotowia“, niepodobna uleczyć organicznej, bo z ustroju pochodzącej choroby gospodarstwa krajowego. Trzeba z tem skończyć, trzeba zmienić do gruntu cały, długi szereg ustaw, rozporządzeń i praktyk gospodarczych, trzeba nadewszystko wywiesić hasło, że uczciwy zarobek jest zasługą dla państwa, nie zaś antydemokratycznym występkiem, a wówczas dopiero będzie można myśleć o takim pozytywnym programie gospodarczym, któryby zdołał młode, wskrzeszone państwo ostatecznie zcementować i wzmocnić.

Nadchodzi — prawdopodobnie — groźny okres, w którym zadecydować będzie trzeba stanowczo, czy ma się iść w kierunku sowieckiego ustroju, czy też wprost przeciwnym. Nie będzie miejsca na lawirowanie i kompromisy. A im wcześniej obierzemy zdecydowany kierunek na prawo, w kierunku zdrowych, realnych zasad gospodarczych, tem wybór ów będzie dla nas łatwiejszym, a nawet — przy pewnej dozie przewidującej energji — będziemy mogli wogóle uniknąć przykrej sytuacji wyboru i bez trudu oprzeć się wszelkim socjalizującym zakusom.

I od tego zdecydowanego kierunku, jaki wytkniemy sobie, póki czas jeszcze, w podstawowych problemach gospodarczych, zależeć będą w bardzo znacznej mierze także przyszłe losy Śląska polskiego. Bo realny polityk nie może lekceważyć faktu, że niewielka swym obszarem ziemia śląska, mimo wybitnego politycznego patrjotyzmu swej ludności, jest jednak najintensywniej ze wszystkich ziem polskich uprzemysłowioną i że w stosunku do jej obszaru największe tkwią w niej kapitały. Stąd, w naturalnej konsekwencji, problemy gospodarcze ważyć będą na niej zawsze więcej, niż na jakiejkolwiek innej dzielnicy państwa o ekstensywnej kulturze. Nie znaczy to, żeby polska ludność kresowa miała oderwać się od polskości. Niemniej jednak niesprzyjający gospodarstwu prywatnemu ustrój państwa, tak eksponowanego politycznie, jak Polska, przynieść jej może na obszarach kresowych w dalszej ewo-

lucji dziejów ewentualnie różne, bardzo niemiłe niespodzianki.

Dlatego powtarzamy to, co nieraz już akcentowaliśmy z naciskiem na łamach tego pisma: Na nic dorywczę paljatywy ratunkowe bez gruntownej reformy ustawodawstwa gospodarczego i fiskalnego w kierunku zdecydowanie korzystnym dla własności prywatnej i możności prywatnego zarobku. Reforma ta jest nam w tej chwili bodajże potrzebniejszą, a conajmniej równie konieczną, jak naprawa Konstytucji.

Jan Bobrzyński.

UŻYTECZNOŚĆ SPOŁECZNA JAKO SUROGAT ZAUFANIA.

Kryzys współczesny złączony jest ściśle z pewnemi tendencjami rozwojowemi, z pewnemi cechami rzeczywistości naszej; wyodrębnienie przeto i ustalenie tych tendencji i tych cech może nam dopomóc w dużym stopniu do zorjentowania się w sytuacji, jaką przeżywamy obecnie.

W artykule p. t. „Ustroje stabilizowane naszych czasów“ *) wskazywałem już na istnienie w świecie zachodnim socjologicznej tendencji bytu ludzkiego do stabilizacji mechanicznej. Te tendencje stabilizacyjne przejawiały się dawniej w antycznym świecie i przejawiają się również obecnie w ten sposób, że świat od różnorodności i ścierania się na tym gruncie rozmaitych indywidualizmów kroczy stopniowo ku niwelacji ducha i ku złączonej z nią jednorodności. W naszych czasach zjawisko to odnajduje swój jaskrawy wyraz we wzrastającem wciąż znaczeniu państwa, jako jednostki zbiorowej, pochłaniającej jednostkę ludzką, jako czynnika, niwelującego wszystkie zdrowe i niezdrowe przejawy osobowości ludzkiej. Nie może poza tem ulegać najmniejszej wątpliwości, że w psychice współczesnej wytwarza się wogóle nastrój, który sprzyja coraz więcej supremacji jednostki zbiorowej nad jednostką fizyczną. Jest to, zdaniem naszem, podstawowa cecha rzeczywistości współczesnej. I tu zamierzamy zanalizować, zbadać, jak się wytwarza podłoże do rozwoju takiego nastroju i w jaki sposób nastrój ten opanowuje niejako jednostkę fizyczną i zakuwa ją w kajdany niewoli jednostki zbiorowej.

Zagadnienie powyższe w najszerszem ujęciu wkracza

---

*) „Nasza Przyszłość“, tom XXIII, wrzesień 1932 r.

niejako w zakres zagadnień metafizycznych, poruszanych przez myśl chrześcijańską już w średniowieczu. Nie czcze i nie próżne były ówczesne spory między skrajnymi realistami w myśl Platona, umiarkowanymi realistami w myśl Arystotelesa, nominalistami wreszcie, którzy negowali zupełnie realny byt idei, a tem samem realny byt wszelkiej zbiorowości. W sprawach tych poruszane było jedno z niezmiernie ważnych zagadnień bytu i współżycia ludzkiego, zagadnienie realnego istnienia jednostek zbiorowych i stosunku ich do jednostek fizycznych. Nie może być obojętnem, czy ludzkość, względnie naród, jako zbiorowość, jako pewna idea, bytem swym pochłaniają całkowicie byt jednostki, czy też sam realny byt tych zbiorowości wytwarzą się dopiero na gruncie harmonijnego współdziałania między jednostkami, czy też wreszcie, w myśl nominalistów, wszelka zbiorowość jest tylko zwykłą arytmetyczną sumą poszczególnych jednostek. Tylko umiarkowany realizm Arystotelesa, uznający byt zbiorowości w łączności poszczególnych jednostek, zgodny jest z chrześcijańskiem ujęciem świata, a tem samem zgodny z prawami bytu, podczas gdy skrajny realizm prowadzi do zupełnego podporządkowania jednostki tej lub innej formie zbiorowości, zaś nominalizm staje się usprawiedliwieniem atomizacji liberalnej.

W naszych czasach sceptycyzmu, panoszenia się wszelkiej sofistyki i kłamstwa, większość ludzi zatraca. niestety, coraz więcej zdrowe poczucie tego, co jest zgodne z prawami bytu: czy uznanie istnienia i praw osobowości ludzkiej w pierwszym rzędzie, czy też uznanie wyłącznych praw jednostek zbiorowych do całkowitego pochłaniania tej osobowości. Ale dla każdego człowieka, który stoi na gruncie zdrowego stosunku do świata, który uznaje przedewszystkiem, że prawa bytu zostały nam zupełnie jasno i niedwuznacznie wyjawione w chrześcijaństwie, dla człowieka takiego nie może być dwóch zdań, że osobowość ludzka jest najwyższym celem stworzenia. Bo w myśl

doktryny chrześcijańskiej każda dusza ludzka posiada dla Boga ogromne znaczenie, nie ludzkość, nie naród, jako jakieś naddusze, ale właśnie każda odrębna osobowość ludzka, ustosunkowująca się indywidualnie do Boga, jako źródła bytu. Świat od najniższych podkładów bytu, gdzie panuje zupełna jednorodność, wznosi się stopniowo do najwyższych przejawów różnorodności właśnie w człowieku. Osobowość przeto i różnorodność w świecie ludzkim zgodne są z prawami bytu, czyli z wolą Boga, natomiast pierwiastek zła w świecie, jako zaprzeczenie tej woli, jako siła, wroga bytowi, skierowuje ludzkość na tory niwelacji osobowości, na tory pochłonięcia jednostki ludzkiej przez jednostkę zbiorową.

Jeżeli zanalizujemy pozatem wogóle dzieje świata, to stwierdzimy ponad wszelką wątpliwość, że wszystko, co zostało dokonane wielkiego w świecie, dokonane było w łonie społeczeństw, opartych na indywidualiźmie. Gdyby nie indywidualny czyn termopilski, to co pozostawiłaby po sobie koszarowa Sparta, która była bez wątpienia typem państwa i społeczności, gdzie jednostka zbiorowa pochłaniała osobowość ludzką? Co za bogaty natomiast spadek dają nam Ateny, które, mimo spaczeń indywidualizmu, potrafiły wytworzyć kulturę ducha i piękna, przemawiającą do nas wciąż, mimo minionych tysiącleci, niepojętym czarem nieśmiertelnego ducha ludzkiego! Cała kultura Rzymu wytwarza się bezsprzecznie również w okresie republikanizmu, a jeżeli rozwój literatury i sztuki zaznacza się tam dopiero u schyłku republiki i w początkach cesarstwa, to przypisać to należy z jednej strony późniejszym wpływom kultury greckiej, a z drugiej temu, że rozwój literatury i sztuk pięknych zda się wogóle zawsze występować z pewnem opóźnieniem w stosunku do duchowego rozwoju społeczeństwa, którego prawdziwym wykładnikiem bywa zawsze przedewszystkiem poziom moralny. Przecież to samo zjawisko spotykamy również w chrześcijańskiej Europie, gdzie renesans literatury i sztuki przypada na okres,

który pod względem moralnym należy określić, jako okres zaznaczającego się upadku etyki chrześcijańskiej.

Stabilizowany okres cesarstwa rzymskiego, okres panowania mechanicznej jednostki zbiorowej, uosobionej w Cezarze, nie zaznacza się tworzeniem żadnych nowych idei, żadnych nowych, rzeczywistych wartości kulturalnych, jest tylko natomiast okresem przetwarzania zdobyczy kulturalnych z dawnego, indywidualistycznego okresu dziejów rzymskich, przedewszystkiem jest jednak okresem, przynajmniej w pierwszych dwóch wiekach, olbrzymiego rozwoju kultury materjalnej, której podwaliny były już założone w okresie schyłkowym republikanizmu rzymskiego. Materjalna kultura Rzymu wzrasta i potęguje się, gdy jednocześnie zanika i ginie zupełnie poczucie osobowości i wolności, które charakteryzowało dawnych Rzymian i miejsce jego zastępuje kult bogactwa i uciech zmysłowych, to znaczy, gdy materja zdobywa przewagę nad duchem. Jeżeli fakt ten ujmiemy z punktu widzenia historjozoficznego, jeżeli nawiążemy go do czasów teraźniejszych, to dojdziemy konsekwentnie do wniosku, że **rozwój kultury materjalnej tylko do pewnego stopnia idzie w parze i sprzyja rozwojowi kultury duchowej, rozwojowi indywidualizmu i wolności, w dalszym ciągu natomiast wytwarza on tendencje antyindywidualistyczne, przygniata stopniowo i niweluje jednostkę, podporządkowując ją wytwarzającej się z biegiem czasu jednostce zbiorowej.**

Wpierw, nim przystąpimy do rozważań nad tem zagadnieniem w odniesieniu do naszych czasów, by wyjaśnić niejako proces przekształcania się społeczeństw współczesnych w jednostki zbiorowe, należy zastanowić się pokrótce nad samem pojęciem jednostki zbiorowej. W świecie zwierzęcym mrówki lub pszczoły, jako indywidua zupełnie jednorodne, złączone siłą instynktu wewnętrznego, stanowią doskonały przykład naturalnej jednostki zbiorowej, powstałej na gruncie zupełnej bezosobowości składających ją indywiduów. Mrówka lub pszczoła nie żyje zupełnie

życiem samodzielnem, osobowem, lecz żyje tylko życiem całego roju lub mrowiska, życiem, ujętem w ramy wzajemnej wewnętrznej zależności. W świecie ludzkim naturalne jednostki zbiorowe można odnaleźć na Wschodzie wyłącznie, gdzie indywidualizm ludzki nie dochodził nigdy do wyższego rozwoju, gdzie jednorodne mniej więcej jednostki, złączone wewnętrznie ze sobą przez wspólne cechy narodowe i wierzenia religijne, roztwarzały się niejako w wytwarzanej przez się jednostce zbiorowej. Za typ takich naturalnych jednostek zbiorowych mogą służyć Indje i Chiny, które, jako takie, przetrwały niezmiennie prawie przez okres całych tysiącleci. Natomiast wrodzony indywidualizm ludzi Zachodu nie dawał nigdy podstaw do tworzenia się naturalnych jednostek zbiorowych; w zachodnim świecie stwierdzamy jednak już od czasów antycznych istnienie procesu przekształcania się społeczeństw w mechaniczne jednostki zbiorowe. Zaś pod mechaniczną jednostką zbiorową będziemy w dalszym ciągu rozumieć taką zbiorowość, w której ludzie ujęci są wyłącznie w stan zależności zewnętrznej, gdy dusze ich nie ciążą zupełnie wzajemnie ku sobie, a nad całokształtem stosunków ludzkich panuje wszechwładnie pewna, wytworzona w biegu historii, amoralna idea, ujmująca zależność zewnętrzną w stałe, niewzruszone ramy. Taki typ mechanicznej jednostki zbiorowej odnajdujemy wyłącznie w świecie zachodnim. Bo na Wschodzie w minionych czasach istniały wprawdzie również jednostki zbiorowe, zbliżone do tego typu, ale podstawę ich istnienia nie stanowiło nigdy panowanie jakiejś wszechwładnej, amoralnej idei, lecz bezwzględne tyrańskie panowanie zwykłych jednostek ludzkich, uosabiających niejako tu na ziemi potęgi nadziemskie. Za typ takich wschodnich mechanicznych jednostek zbiorowych mogą służyć Assyrja i Babilonja, a w nowszych czasach państwa Dżingis-Chana i Tamerlana, które, w przeciwieństwie do naturalnych jednostek zbiorowych, znikły zupełnie z powierzchni ziemi.

Na zachodzie Rzym podbijał ongiś narody orężnie i stwarzał stopniowo związek zewnętrzny przez wtłaczanie ludzi drogą przymusu w system zależności zewnętrznej, w imię wszechwładzy państwa rzymskiego. Ta, ujęta w stałe ramy i unormowana zależność zewnętrzna stała się podstawą ustabilizowanego ustroju Cesarstwa Rzymskiego. Indywidualizm antycznego Zachodu wyczerpał się na gruncie mechanicznego ujmowania coraz to liczniejszych grup narodowych w ramy zależności zewnętrznej, która stwarzała stopniowo wzrastającą wzajemną zależność materjalną, bez żadnej więzi wewnętrznej. Dlatego też gołe władztwo w imię potęgi utworzonej jednostki zbiorowej, w imię Romy, stało się ostatecznie wyłączną podstawą współżycia w uniwersalnem państwie rzymskiem.

Zważmy obecnie. Okres indywidualizmu antycznego przypada na czas surowego ubóstwa, zaś okres panowania jednostki zbiorowej, uosobionej w państwie rzymskiem, nad jednostką fizyczną, przypada na czas nieznanego poprzednio rozkwitu kultury materjalnej świata antycznego i ponownie społeczeństwa, tworzące się na gruzach imperium rzymskiego, wstępują w okres indywidualizmu chrześcijańskiego, ubogie w zasoby materjalne, zupełnie biedne, nie możne. Proces wzbogacania się Europy rozpoczyna się dopiero ku schyłkowi średniowiecza, wzmaga się po odkryciu Ameryki, a do swego szczytu dochodzi w XIX i początkach naszego wieku, przed wielką wojną, które to wieki stały się okresem niesłychanego wprost dotąd rozkwitu kultury materjalnej. Ludzkość zachodnia, dzięki zdobyczom nauki i techniki, opanowuje niejako zewnętrznie świat i może tworzyć w zasadzie niezliczone wprost bogactwa materjalne, o jakich nie śniło się minionym wiekom. I cóż stwierdzamy na tem podłożu? Stwierdzamy wzrastającą równolegle w szybkiem tempie mechanizację człowieka, stwierdzamy groźny zanik zdrowego indywidualizmu, miejsce którego zajmuje coraz więcej gruby egoizm jednostek i narodów, a w związku z tem stwierdzamy w naszych cza-

sach bezsprzeczne tendencje poszczególnych społeczeństw europejskich do przeobrażania się w jednostki zbiorowe, zaś ponad tem wszystkiem górują dążenia, uosobione w kominternie, do przeobrażenia całej już ludzkości w jednostkę zbiorową, w której ludzie, złączeni mechanicznymi, zewnętrznymi więzami na gruncie produkcji i konsumcji wyłącznie, pozbawieni byliby zupełnie wszelkiej więzi wewnętrznej: religijnej, narodowej, rodzinnej i stanowej.

W związku z tą rzeczywistością naszą staje przed nami groźne pytanie, czy zachodni świat nowożytny ma się fatalnie zakończyć w ten sam sposób, co świat antyczny, czy materjalizm i maszynizm naszych czasów mają nieubłaganie przeobrazić współczesną ludzkość w mechaniczną jednostkę zbiorową? Niestety, rzeczywistość zmusza nas do dania twierdzącej odpowiedzi na to pytanie, bo mamy olbrzymią wprost analogję naszych czasów z czasami antycznymi, jedynie drogi rozwojowe nasze i antyczne były nieco odmienne. W antycznym świecie wytwarzała się przez podboje rzymskie zbiorowość, ujęta całkowicie w ramy zależności zewnętrznej, przy jednoczesnym rozwoju kultury materjalnej i bogactw. Uniwersalizacja świata antycznego i rozwój kultury materjalnej były właściwie zjawiskami równoległemi. U nas natomiast rozwój kultury materjalnej na podłożu indywidualistycznem poprzedza właściwie i stwarza dopiero warunki do ujawnienia się procesu uniwersalistycznego, jako stopniowego ujmowania ludzi w ramy zależności zewnętrznej. Ten proces w naszych czasach przybiera wciąż na intensywności i rozwija się w przyśpieszonem tempie. Nie łudźmy się przytem, by rozwój rozmaitych form nacjonalizmu, jaki się zaznacza w naszych czasach, mógł przeciwdziałać realnie szerszemu procesowi mechanicznej uniwersalizacji ludzkości. Bo nacjonalizm współczesny, który właśnie sobie przypisuje tę rolę, to również tylko droga do przekształcenia poszczególnych społeczeństw europejskich w zamknięte jednostki zbiorowe na gruncie niwelacji jednostki; nacjonalizm sam

przygotowuje właściwie odpowiednie podłoże pod przyszły mechaniczny uniwersalizm, łudząc się, że rzekomo mu przeciwdziała.

Obecnie zastanowimy się pokrótce nad drogami, jakiemi zmierzają społeczeństwa zachodnie do przekształcenia się w mechaniczne jednostki zbiorowe. W tym celu musimy sobie przedewszystkiem uprzytomnić, że ujęcie ludzi zachodu w trwalszy system zależności zewnętrznej może mieć miejsce tylko na podłożu panowania nad całokształtem życia jednej wszechwładnej amoralnej idei, niwelującej i usztywniającej wszelkie przejawy życia indywidualnego. W świecie antycznym ideą taką, jak wiemy, było państwo rzymskie, jedyna wówczas kategorja bytu, Moloch, w obliczu którego ginęły wszelkie formy osobowości, zarówno jednostkowej, jak zbiorowej. Cóż zaś jest tym Molochem w naszych czasach, co jest tą wszechwładną ideą, przed którą zanikają stopniowo coraz więcej wszelkie przejawy i prawa osobowości i na podłożu której następuje stopniowe przekształcanie się społeczeństw współczesnych w jednostki zbiorowe? Każdy, głębiej wnikający w życie współczesne i jego przejawy, dojrzy i wyróżni łatwo tę zasadniczo amoralną ideę, ciążącą już oddawna nad całem życiem zachodu, ideę, która, mamiąc i ogłupiając ludzkość, wprowadza ją na coraz to gorsze manowce, na coraz groźniejsze trzęsawiska, z których może nie być już wkrótce zupełnie powrotu. Ideą tą, nie wahamy się tego twierdzić, jest zasada użyteczności społecznej, mechanicznie pojętej. Ta to z gruntu fałszywa idea, działając na podłożu zmaterjalizowanych społeczeństw, oddawna już podminowuje, dezorganizuje i demoralizuje społeczność ludzką, w imię jej zwalcza się obecnie wszelkie przejawy indywidualizmu, dokonuje się niwelacji wszelkich form różnorodności i przygotowuje się tem samem odpowiedni grunt pod utworzenie z ludzkości mechanicznej jednostki zbiorowej, czyli grunt pod mechaniczną stabilizację życia, poprzez ujęcie ludzi w trwalszy system zewnętrznej, mechanicznej zależności.

Narodziny tej idei w obecnem ujęciu są stosunkowo świeżej daty. Wprawdzie pojęcie dobra społecznego odnajdujemy również w chrześcijańskiem ujęciu życia, a średniowieczny podział na stany miał zasadniczo za przewodnią ideę współdziałanie na swój sposób wszystkich dla dobra całości, ale w chrześcijańskiem ujęciu idea użyteczności społecznej łączy się ściśle z etyką indywidualną, opiera się na niej; dobro społeczne winno istnieć w duszy człowieka, jako idea, jako imperatyw wewnętrzny, nakazujący mu czynić tak, by uczynki jego były nietylko nieszkodliwe, ale użyteczne dla społeczności ludzkiej. Natomiast w ujęciu obecnem idea użyteczności społecznej, wyodrębniona ze związku z etyką indywidualną, przeobraża się w jakąś siłę zewnętrzną, gniotącą ludzi, w jakiegoś Molocha, w imię którego dręczy się żywą jednostkę ludzką dla jakiegoś fikcyjnego dobra społecznego, fikcyjnego powtarzamy, bo nikt nie może właściwie określić, na czem polega dobro społeczne poza dobrem, składających społeczeństwo jednostek?

Pomiędzy obecnem ujęciem idei użyteczności społecznej, a ujęciem chrześcijańskiem, istnieje ta sama zasadnicza różnica, jaka istniała między ujęciem państwa w okresie cesarstwa rzymskiego, a poprzedniem ujęciem w okresie zdrowego republikanizmu. W okresie republikańskim państwo było ideą moralną, żyło w duszach poszczególnych obywateli, jako idea, łącząca indywidualnie i duchowo wolne jednostki, natomiast w okresie cesarstwa stało się ono jakąś złowrogą ideą, pochłaniającą całkowicie osobowość ludzką, ideą, w imię której ujęto ludzi w bezduszny system zależności zewnętrznej, bez żadnej więzi wewnętrznej. Dla uwypuklenia stosunku państwa do jednostki w okresie zdrowego republikanizmu rzymskiego przytoczymy tylko jeden fakt z dziejów drugiej wojny punickiej, gdy senat rzymski nie wahał się wyjść na spotkanie konsula, rozbitego zupełnie w bitwie pod Kannami, by podziękować mu za to, że nie wahał się ratować ojczyzny. Czyn konsula nie tylko nie był użyteczny, ale wręcz szkodliwy dla państwa, ni-

mo to spotyka go najwyższe uznanie, jako czyn osobowy, jako czyn patrjotyzmu. Jednostki zbiorowe ujmują natomiast wszystkie czyny z punktu widzenia rzekomej użyteczności, a wódz pobity przypłaca zwykle swą porażkę conajmniej zupełną degradacją, jeżeli nie życiem.

Idea wszechwładzy państwa w okresie cezaryzmu antycznego dawała sama przez się podstawy do organizacji władztwa, do ujęcia ludzi w system zależności zewnętrznej, bo państwo jest właśnie narzędziem do przejawiania się władztwa, natomiast zasada użyteczności społecznej nie może sama przez się tworzyć podstaw do zewnętrznego uzależnienia ludzi i musi mimo wszystko odnaleźć swego realizatora w państwie. Dlatego też w związku z potęgowaniem się tej idei w umysłowości ludzi współczesnych wzmaga się jednocześnie, jak już zaznaczyliśmy na początku, również władztwo państwowe, supremacja państwa nad jednostką. Dlatego też skrajni obrońcy i czciciele amoralnej zasady użyteczności społecznej, bolszewicy, negując w osobie swego duchowego wodza państwo, jako rzekome narzędzie ucisku (Lenin „Państwo i rewolucja“) i pragnąc w zasadzie stworzyć jakieś społeczeństwo bez państwa, oparte na idei ultraużyteczności społecznej, tworzą jednak w rzeczywistości najokropniejsze państwo-potwora, które pochłania bez reszty wszelką osobowość ludzką.

W myśl więc poprzednich wywodów, zasada użyteczności społecznej, mechanicznie pojętej, jest tą podstawową wszechwładną ideą, pod hasłem której dokonuje się obecnie niwelacja wszelkich form osobowości i stopniowe przekształcanie społeczeństw zachodnich w jednostki zbiorowe. Obecnie zbadajmy genezę i ewolucję tej zasady w świecie zachodnim.

W okresie przedrewolucyjnym zasada użyteczności społecznej jest jeszcze obcą mentalności ludzi ówczesnych. Współżycie ludzi i byt społeczeństw opierają się głównie na zasadzie autorytetu, jako czynnika jakościowego, normującego stosunki między ludźmi; ale już w XVIII wieku

tradycyjny indywidualizm chrześcijański słabnie, a wraz z nim słabnie zasada autorytetu jakościowego, zanika również średniowieczna koncepcja dobra społecznego, miejsce której zajmuje racjonalistyczna idea praw jednostki, autonomiczna etyka interesu. Rewolucja francuska wywiesza na swych sztandarach hasła praw jednostki wyłącznie, jednostka zaczyna przeciwstawiać się zbiorowości i zamierza zrzucić z siebie wszelkie więzy, o których tak pompatycznie mówi Rousseau: „Człowiek rodzi się wolny, a wszędzie widzimy go w kajdanach". Ruch ten jest reprezentowany na początku przez burżuazję wyłącznie i wystąpienie tej klasy na arenę dziejów zapoczątkowuje wyraźnie okres, w którym zanika zupełnie prawie idea dobra ogólnego w chrześcijańskiem ujęciu. Wzbogacanie się jednostek i używanie, oto przedewszystkiem zasadnicze hasło burżuazji; okres jej panowania oznacza przeto atomizację społeczeństw europejskich, stopniowe rozluźnianie wszelkich więzi, wytworzonych w chrześcijańskim okresie Europy, ale atomizacja społeczeństw według nieubłaganych praw socjologicznych nie może trwać zbyt długo. Gdy zanikają więzy wewnętrzne, miejsce ich muszą zajmować nowe siły, ujmujące stopniowo ludzi mechanicznie w system zależności zewnętrzny. To też atomizacja burżuazyjna wytwarza w drodze reakcji idee i siły, które obejmują stopniowo we władanie umysły i dusze ludzkie, skierowując społeczeństwa ku zewnętrznemu, mechanicznemu zjednoczeniu. Wyraźny przełom w tym zakresie datuje się od czasu powstania socjalistycznej doktryny Marksa, która atomizacji liberalno-burżuazyjnej przeciwstawia kolektywizację, ideę, która po raz pierwszy wysuwa wyraźnie na czoło życia zasadę użyteczności społecznej, pojętej mechanicznie, jako przeciwstawienie zasadzie indywidualizmu. Bo właściwą treść ideologji socjalistycznej stanowi ingerencja tej lub innej formy zbiorowości w stosunkach gospodarczych w pierwszym rzędzie, a następnie w konsekwencji we wszystkich prawie stosunkach życiowych. Ingerencja ta ma się odbywać właśnie

w myśl zasady użyteczności społecznej, by hamować w ten sposób przejawy złej woli indywidualnej, by poprzez przymusową niwelację indywidualizmu osiągnąć rzekomo maksimum sprawiedliwości i dobra społecznego. Socjalizm odrzuca zupełnie ideę regulowania stosunków społecznych drogą indywidualną, przez stosowanie się jednostek do wymogów chrześcijańskiego porządku moralnego, wprowadza natomiast w grę ciężki walec zasady użyteczności społecznej, który ma rzekomo wyrównać wszelkie nierówności i stworzyć jakąś ogólną, mechaniczną równość i sprawiedliwość.

W tym nowym prądzie, zapoczątkowanym przez marksizm, ujawnił się przedewszystkiem brak zaufania do indywidualnej etyki, do zasady indywidualizmu wogóle wobec okropności eksploatacji robotnika, areną której stała się Europa w pierwszej połowie XIX wieku, w okresie tak zwanego klasycznego kapitalizmu; pozatem jednak socjalizm, jako wytwór ducha semickiego, musiał z natury rzeczy ustosunkować się wrogo do indywidualizmu chrześcijańskiego i przeciwstawić mu zasadę, pozornie dobrą i słuszną, lecz w gruncie rzeczy zgubną, zasadę użyteczności społecznej, jako wytyczną ideę do regulowania stosunków społecznych.

W Europie idea ta w swej skrajnej formie przyjęła postać kolektywizacji, czyli zniesienia prawa własności i uspołecznienia środków produkcji, a w związku z tem ujęcia całokształtu stosunków ludzkich w mechaniczną zależność od grup, uosabiających rzekomo i realizujących zasadę użyteczności społecznej. W praktyce to zrealizowany bolszewizm rosyjski, gdzie fikcyjny kolektyw pochłania całkowicie, bez reszty, jednostkę ludzką w imię monstrualnie pojętego i monstrualnie realizowanego, wyimaginowanego dobra społecznego. Poza tem wszędzie w Europie idea użyteczności społecznej złączona jest ściśle z dążeniami do ograniczenia, jeżeli już nie zniweczenia prawa własności, jako środka i narzędzia do przejawiania się indywidualne-

go ucisku. Co się zaś tyczy Ameryki, to rzecz jasna, że idea użyteczności społecznej musiała tam z natury rzeczy osiągnąć od początku stanowczą przewagę nad ideą indywidualizmu chrześcijańskiego, już z tego prostego względu, że społeczeństwo amerykańskie kształtowało się zupełnie poza wpływami katolickich idei chrześcijańskich. To też idea użyteczności społecznej przenika do gruntu mentalność amerykańską, lecz w przeciwieństwie do Europy, łączy się ona ściśle z bezwzględnem uznaniem prawa własności, ze czcią dla kapitalizmu, jako podstawy i źródła ogólnego dobrobytu. Dla mentalności amerykańskiej nie kolektyw, lecz miljarder jest przedstawicielem zasady użyteczności społecznej. Tak było przynajmniej do ostatnich czasów, gdy poraz pierwszy załamała się u swych podstaw tradycyjna amerykańska prosperity.

Dobrym przykładem, w jaki sposób amerykańska mentalność ujmuje zasadę użyteczności społecznej, może służyć instytucja prohibicji alkoholu. Że system ten szerzy niesłychaną korupcję, że sprzyja potwornej depprawacji jednostki, że wielu ludzi zatruwa się na śmierć surogatami alkoholu, wszystkie te fakty nie interesują i nie obchodzą zupełnie przeciętnego amerykanina. Bo prohibicja zatrzymuje naogół grosz w kieszeni szerszych warstw ludności, czyni przeto tem samem zadość wymogom użyteczności społecznej. Wszystko jest w tym wypadku ujęte pod kątem widzenia dolara, jako kwintesencji dobra społecznego, natomiast indywidualne oddziaływanie prohibicji nikogo nic a nic nie obchodzi. Gdybyśmy, jako drugi przykład, wzięli prawo Lynch'a, to najprostsza analiza tego prawa, czyli właściwie bezprawia, wykazałaby nam u jego podstaw tąż samą amoralną zasadę użyteczności społecznej.

Idea dobra społecznego, wytworzona i ugruntowana w umysłowości amerykańskiej, zgodna jest, jak widzimy, z istniejącym ustrojem kapitalistycznym, innemi słowy ustrój ten jest sankcjonowany przez wszechwładnie panujący kult dolara; dlatego też amerykanizm posiada, w myśl

naszych wywodów z poprzedniego artykułu, w dużym stopniu cechy ustroju ustabilizowanego. W Europie natomiast, jak już zaznaczyliśmy, zasada użyteczności społecznej oznacza przeważnie wrogi stosunek do kapitalizmu, do prawa własności wogóle. Tu możemy wyróżnić naogół trzy kierunki, z których każdy ustosunkowuje się w odmienny sposób do tej tak władnej w naszem życiu zasady.

Pierwszy z tych kierunków pragnie nawrotu do chrześcijańskich ideałów, do chrześcijańskiego ujęcia życia wogóle, a w szczególe chrześcijańskiego ujęcia prawa własności i idei dobra społecznego. Dla ludzi, uosabiających ten kierunek, jest nie do przyjęcia zarówno atomizacja liberalna z jej zachłannym kapitalizmem, jak również panowanie nad całokształtem życia amoralnej zasady użyteczności społecznej, która musi w ostatecznym wyniku przeobrażać stopniowo społeczeństwa w zbiorowość stadową. Kierunek ten liczy, niestety, niewielu stosunkowo obrońców i tonie naogół w olbrzymiej przewadze dwóch pozostałych prądów.

Drugi kierunek uosabiają ludzie, stojący dotąd na platformie racjonalistycznego indywidualizmu, nieszczęsnego spadku wielkiej rewolucji. Ludzi tych można podzielić naogół na dwie grupy. Jedni z nich łudzą się w dalszym ciągu nadzieją osiągnięcia stabilizacji stosunków w świecie drogą rozumnego zbliżenia między narodami i wzmocnienia w ten sposób światowego kapitalizmu. Ludzie ci sa naogół zwolennikami atomizacji liberalnej w zakresie życia gospodarczego, niektórzy z nich propagują nawet nawrót do metod klasycznego kapitalizmu, chętnie widzieliby natomiast w zakresie życia państwowego silne rządy, któreby nadawały sankcję ich metodom i uosabiałyby niejako zasadę użyteczności społecznej w tym zakresie. Drugą grupę w tym kierunku reprezentują ludzie, którzy są zasadniczymi wrogami atomizacji liberalnej i wolności w zakresie życia gospodarczego; stawiają oni w tym zakresie zasadę użyteczności społecznej na pierwszym planie, żądają rozległej ingerencji państwa w sprawach gospodarczych w imię

tejże zasady lub też nawet zupełnego uspołecznienia środków produkcji, są natomiast w zakresie życia państwowego niekonsekwentnymi zwolennikami atomizacji liberalno-demokratycznej, uznają w zasadzie prawa i wolność jednostki i są obrońcami demokracji parlamentarnej. Do grupy tej należą przedewszystkiem przedstawiciele socjalnej demokracji oraz pokrewnych jej ugrupowań.

Trzeci wreszcie ze wskazanych kierunków reprezentują ci, co stawiają amoralną zasadę użyteczności społecznej konsekwentnie na pierwszym planie we wszystkich dziedzinach życia, dążą do podporządkowania tej zasadzie całokształtu stosunków społecznych i w związku z tem odrzucają zasadę osobowości zarówno w znaczeniu chrześcijańskiem, jak racjonalistycznem, dążąc ze swej strony do przeobrażenia społeczeństw w mechaniczne jednostki zbiorowe. Cel ten zamierzają oni osiągnąć drogą całkowitego podporządkowania społeczeństw sobie, jako grupie, uosabiającej rzekomo i realizującej zasadę użyteczności społecznej, tak lub inaczej pojętej, odrzucają przeto niejako samą ideę wolności jednostki, jako coś zupełnie zbędnego i niepotrzebnego. Jeden z głównych przedstawicieli tego kierunku, wódz faszyzmu, nie wahał się nawet rzucić ongiś w świat groźne hasło: ,,Wolność, to trup gnijący". Kierunek ten uosabiają obecnie bolszewicy, faszyści, wszyscy skrajni nacjonaliści, wreszcie w pewnym stopniu wszyscy ci, co stawiają na piedestale państwo wogóle samo przez się, jako rzekome uosobienie zasady użyteczności społecznej. Nad umysłowością tych ludzi panuje już niepodzielnie ta amoralna zasada, różnią się zaś między sobą poszczególne odłamy tego kierunku przedewszystkiem w ujęciu pojęcia społeczeństwa. Dla jednych społeczeństwo stanowi cała niezróżniczkowana masa ludzkości, dla innych rasa lub naród, dla innych wreszcie samo państwo, jako identyczne ze społeczeństwem. Poza tem różnica polega jeszcze na tem lub innem ustosunkowaniu się do zagadnienia kapitalizmu i prawa własności wogóle; jedni odrzucają bezwzględ-

nie to prawo i w zniweczeniu tego prawa dopatrują się niejako kwintesencji użyteczności społecznej, drudzy natomiast dążą tylko do ograniczenia i pewnego zmodyfikowania tego prawa, zgodnie z ogólnie przez nich przyjętą zasada wszechwładzy państwa.

Zaznaczyliśmy trzy główne kierunki praktycznej myśli europejskiej, dotyczące organizacji społecznej, poczynając od tego, który odrzuca zupełnie amoralną zasadę użyteczności społecznej, jako ideę, przeciwną samym podstawom naszej kultury, a kończąc na tym, który tę zasadę stawia w ten lub inny sposób u podstaw współżycia. Poza tem zasada ta opanowuje wogóle coraz więcej umysłowość szerszych kół społeczeństwa, ludzie podpadają coraz więcej pod jej sugestywne panowanie i, sami nie przyznając często tego, przestają stopniowo myśleć kategorjami zdrowego, normalnego indywidualizmu, przestają ujmować przejawy życia z punktu widzenia moralnego, wpadając w zupełny relatywizm, a wszelkie fakty i czyny nasuwają im przedewszystkiem pytanie, jaka może być ich rzekoma użyteczność społeczna?

W imię tej zasady szerzą się i znajdują obrońców najbezmyślniejsze i z gruntu niemoralne teorje i hasła. Eugenika, rozwody, wolna miłość, oddawanie dzieci na wychowanie państwa, zniweczenie prawa własności, a nawet przymus pracy, wszystkie te absurdalne i dezorganizujące hasła znachodzą swych obrońców w imię użyteczności społecznej. Samoniemoralność tych haseł nie obchodzi nic a nic ich obrońców, bo sankcjonuje je zasada użyteczności społecznej, która jest sama przez się czemś zupełnie nieuchwytnem, czemś z gruntu amoralnem, stojącem ponad normalną zdrową logiką i zdrową etyką ludzką. Samo nawet prawo współczesne przestaje już coraz więcej być wyrazem idei sprawiedliwości społecznej w znaczeniu moralnem, lecz staje się coraz więcej czynnikiem fikcyjnej użyteczności społecznej. Jest to słusznem w odniesieniu zarówno do prawa cywilnego, jak państwowego; zwłaszcza

w zakresie tego ostatniego zaznacza się groźny zanik ustalonych pojęć, a sukces grup, które dochodzą do władzy w ten lub inny sposób, stawiany jest obecnie na pierwszym planie, jako czynnik użyteczności społecznej, jako czynnik rzekomej stabilizacji współżycia. Znachodzi tu szerokie zastosowanie znana maksyma: „Zwycięzców nie sądzi się“.

Dla uwypuklenia stanu mentalności współczesnej dobrym przykładem może służyć jeszcze kwestja broni chemicznej, akceptowanej obecnie przez wszystkie cywilizowane państwa świata. Wielu ludzi nietylko przestaje już potępiać wewnętrznie stosowanie tej broni, jako przeciwne zasadom elementarnej moralności, ale sili się nawet wynaleźć usprawiedliwienie dla niej z punktu widzenia użyteczności ogólnej; użyteczność ta ma polegać na tem mianowicie, że dzięki stosowaniu broni chemicznej przyszła wojna może być prędzej zakończona zwycięstwem jednych nad drugimi, innemi słowy, okres tej wojny może ulec tem samem skróceniu. Zaś konsekwentni wyznawcy zasady użyteczności społecznej, Amerykanie, idą jeszcze dalej w tym kierunku, bo obliczyli, że zabicie na wojnie jednego człowieka zapomocą gazów będzie kosztować taniej, niźli zapomocą karabinów i armat. Tu już społeczna użyteczność broni chemicznej staje się zupełnie jasną i niewątpliwą, bo pozwala w tańszy sposób niszczyć swych wrogów. Nie ma już, jednem słowem, nic tak potwornego i ohydnego, przed czem wzdrygałaby się wyraźnie dusza przeciętnego człowieka zachodu i czego nie staranoby się nagiąć do zasady użyteczności społecznej.

A teraz powiedzmy sobie, czy pozostaje już w warunkach takich wielki dystans do konsekwentnej ideologji bolszewickiej? Przecież bolszewicy również tylko w imię zasady użyteczności społecznej od piętnastu już lat mordują, torturują i więżą masowo ludzi, pragną w nich zabić wszelkie uczucia ludzkie, resztki dogorywającego indywidualizmu i w tym celu niszczą religję, burzą rodzine i wprzęgają jednostkę w charakterze nędznego kółka do potwor-

nego mechanizmu produkcji, budowanej bez żadnej przesady na stosach kości ludzkich. A dzieje się to wszystko, powtarzamy, wyłącznie w imię uszczęśliwienia ludzkości, w imię zasady użyteczności powszechnej, która, jak Moloch, postawiona została na ołtarzu, by pożerać bez końca ofiary z istnień ludzkich. Zaś obłąkańczy czciciele tego bożka nie ustępują uporczywie z raz zajętego stanowiska i twierdzą w dalszym ciągu, że zrealizują postulaty zasady powszechnej użyteczności wbrew wszelkim nakazom nietylko już chrześcijańskiej, ale jakiejbądź religji, która wogóle w imię tejże zasady ma być zupełnie wypleniona ze świata.

Idea użyteczności społecznej została u bolszewików w szatański wprost sposób definitywnie wyodrębniona od wszelkich pojęć moralnych, stała się jakąś realna siłą, panującą wszechwładnie nad bytem ludzkim, i przyoblekła się w kształty materjalne, ucieleśniła się, że się tak wyrażę, w potwornej mechanizacji całej wytwórczości, mającej pochłonąć całkowicie, bez reszty, wszelki indywidualny byt ludzki.

Gdy się obserwuje wszystkie działania i poczynania tej potwornej sekty, to człowiek, normalnie i zdrowo myślący, zapytuje siebie, azali są to obłąkańcy, czy też ludzie, opętani przez szatana? Gdy się jednak pozatem widzi i spotyka coraz więcej ludzi zachodniej cywilizacji, przyklaskujących bolszewikom, ludzi, których nie oburzają zupełnie przestępstwa tych łotrów, którym natomiast imponuje ich bezwzględność i brutalność, a przedewszystkiem ich ultraamerykańska skala rozbudowy przemysłu, jako kwintesencja i zrealizowanie zasady użyteczności społecznej, gdy się widzi wciąż wzrastające zastępy takich ludzi, to dreszcz trwogi przenika o same podstawy naszej cywilizacji. Człowiek, jako indywiduum, jako istota duchowa, ginie coraz więcej pod potężnym naciskiem amoralnej zasady użyteczności społecznej, który przeobraża powoli społeczeństwa zachodnie w mechaniczne jednostki zbiorowe.

Bolszewizm, jak zaznaczyliśmy przed chwilą, wyodrębnił zupełnie zasadę użyteczności społecznej od jakiegobądź związku z etyką i ucieleśnił ją w mechanicznym kolektywie, pojęciu sztucznem, wtłaczanem gwałtem w umysłowość nieszczęsnego narodu rosyjskiego. W Ameryce zasada ta została również wyodrębnioną od związku z etyką, ale wyodrębnienie to nastąpiło drogą naturalną, poprzez stopniowe powiązanie idei użyteczności społecznej z amoralnym kultem dolara, przez co zostały stworzone naturalne podstawy do władztwa kapitału nad całokształtem życia, dlatego też państwo jest tu narzędziem kapitalistów, jak w Sowietach jest ono narzędziem partji komunistycznej. W Europie natomiast proces wyodrębniania zasady użyteczności społecznej od związku z etyką i prawem naturalnem dokonuje się obecnie stopniowo w mękach walki między dawnemi a nowemi ideami.

Jak wskazywaliśmy poprzednio, właściwym twórcą i propagatorem na terenie Europy amoralnej zasady użyteczności społecznej był marksizm, który osiągnął jednak swój konsekwentny rozwój jedynie na gruncie rosyjskim, jako głosiciel zupełnej i bezwzględnej bezosobowości. Bo psychika zachodnio-europejska potrzebuje jeszcze uznania chociażby pewnej zbiorowej formy osobowości, narodu, rasy lub państwa. Dlatego też kult zasady użyteczności społecznej przejawia się w Europie zachodniej w takich prądach, które stawiają na piedestale jużto rasę, jużto naród, względnie państwo samo przez się. Mamy tu do czynienia z przedstawicielami trzeciego z tych trzech zasadniczych kierunków, jakie wyróżniliśmy poprzednio w Europie.

Na tem podłożu istnieją obecnie dwa potężne ruchy: jeden z nich, to hitleryzm, a drugi faszyzm. Pierwszy z nich wysunął, jako bożka, rasę germańską, a drugi Italię i oba te ruchy dążą do zupełnej niwelacji i zniszczenia osobowości w imię zasady fikcyjnej użyteczności w odniesieniu do tych dwóch bożków. W hitleryźmie zasada ta jest może wyraźniej uwypuklona, niż w faszyźmie. Jednostka nie wa-

ży tu już wcale nic, tylko rasa germańska, jako absolut, zrealizowany w państwie, ludzkość zaś, reprezentowana przez inne narody i rasy, jest dla hitleryzmu zupełną abstrakcją i fikcją. Wszystko dla germańskiej rasy, rasa przedewszystkiem, oto hasło tego napół obłąkańczego prądu. W obliczu rasy germańskiej i jej rzekomego dobra nie istnieją żadne względy moralne, żadne nakazy etyki, bo dobro tego rzekomego absolutu ma być najwyższem prawem i najwyższą normą moralną.

W imię dobra, czyli użyteczności rasowej, teoretyk i apologeta hitleryzmu Rosenberg proponuje wprowadzenie wielożeństwa dla jednostek wybranych, zdolnych przekazać swym potomkom pewne cechy wartościowe i w imię tegoż dobra propaguje zniszczenie rodziny przez zupełne równouprawnienie dzieci prawnych i nieprawnych. Zaś sam Hitler jest nawet niejako zwolennikiem usuwania słabych dzieci gwoli wzmocnienia rasy germańskiej. Na kongresie w Norymberdze wyraził on tę myśl w następujących słowach: „Gdyby Niemcy miały rocznie miljon dzieci, to usunięcie z pośród nich 700 — 800.000 dałoby w rezultacie spotęgowanie sił narodowych". Następnie w swej książce pod tytułem: „Mein Kampf' proponuje Hitler ideę obowiązkowego samobójstwa słabych i chorych, a nawet ciężko okaleczeni inwalidzi wojenni mają prawo położyć kres swemu nieużytecznemu już życiu. W stosunku do innych ras głosi Hitler zasadę zupełnej bezwzględności, tak naprzykład, w razie zwycięstwa nad Polakami powinny być miljony ich wysiedlone ze swych obecnych osiedli na Sybir, by zwolnić miejsce dla kolonistów niemieckich, gwoli dobra, czyli użyteczności absolutu, rasy germańskiej.

Zasada użyteczności w hitleryźmie góruje ponad wszystkiem. W imię dobra Molocha rasy germańskiej neguje on najprymitywniejsze zasady moralności, propaguje mord słabych we własnym narodzie, a deptanie i niszczenie innych, rzekomo niższych ras. Potworny walec amoralnej zasady użyteczności społecz-

nej miażdży tu wszelkie formy osobowości zarówno jednostkowej, jak zbiorowej, z wyjątkiem jedynego bożka, rasy germańskiej, w imię fikcyjnego dobra której ma się dokonywać cały ten destrukcyjny proces. Dla hitleryzmu społeczeństwo utożsamia się z wybraną rasą germańską, a to, co ma rzekomo służyć interesom i dobru tej rasy, staje się uosobieniem fikcyjnej użyteczności społecznej, której wszystko powołane jest służyć. Poza tem odnajdujemy w hitleryźmie jeszcze ślady jakiejś mistycznej, szerzej pojętej zasady użyteczności pod postacią przyszłego rzekomego uszczęśliwienia ludzkości przez panowanie nad światem zwycięskiej rasy germańskiej.

Jak widzimy, hitleryzm jest jednym z wybitnych przejawów ogólnej wielkiej herezji naszych czasów, która odwraca całkiem porządek naturalny i wnosi zupełny chaos do hierarchji walorów. Neguje ona zupełnie autorytet, a nawet samo istnienie Boga rzeczywistego, a na miejsce Jego wprowadza idee i czynniki podrzędne lub zupełnie bezwartościowe i ucieleśnia je w postaci rozmaitych fikcyjnych bożków, których stawia następnie na ołtarzu, oddając im cześć boską. Bolszewicy ubóstwili materję pod postacią kolektywu, hitleryzm ubóstwia rasę. W obu tych prądach niema jednakowo miejsca dla Boga i duszy ludzkiej, jako jedynej rzeczywistej wartości tu na ziemi; ginie ona zupełnie w obliczu potwornych, fikcyjnych, amoralnych bożków, stworzonych przez spaczoną myśl ludzką.

Faszyzm, to ruch pokrewny hitleryzmowi, który bezwątpienia w dużym stopniu wzorował się na nim. Bóstwem jego jest Italja, uosobiona w italskiem państwie narodowem, a hasłami: „wszystko dla państwa, nic poza państwem, nic przeciw państwu". Społeczeństwo przedstawia się tu pod postacią państwa narodowego, a to, co jest rzekomo użyteczne dla tego państwa, staje się nakazem najwyższym, nakazem najwyższej użyteczności społecznej. Państwo italskie stoi w tym wypadku również ponad wszelką moralnością, nie obowiązują go właściwie żadne normy etyczne.

gdy chodzi o jego interesy, tak, jak one są rozumiane przez grupę, która we własnem mniemaniu uosabia to państwo. Faszyzm na równi z hitleryzmem głosi kult gwałtu i przemocy i jeżeli w wywodach swych nie dochodzi jeszcze do tak potwornych wniosków, jak hitleryzm, to przypisać to należy przedewszystkiem hamującym wpływom Kościoła, z którym faszyzm ze względów taktycznych, a w pewnym stopniu także ideowych, nie chce i nie może zupełnie zerwać, podczas gdy hitleryzm chciałby właściwie zniszczyć ostatecznie więź, łączącą naród niemiecki z chrześcijaństwem i stworzyć jakiś narodowy kościół germański, oparty na kulcie bogów Walhali, a przedewszystkiem Wotana, jako boga gwałtu i przemocy.

W myśl powyższego, hitleryzm i faszyzm uosabiają obecnie w dwóch państwach typu nienasyconego swoiście pojętą zasadę użyteczności społecznej, która przyjmuje tu w pewnym stopniu nieuchwytne, mistyczne niejako cechy, w przeciwieństwie do amerykanizmu, gdzie zasada ta jest uosobiona w zupełnie realnym, materjalnym dolarze. Poza tem wszędzie już w Europie zapuszcza swe macki komintern, który chciałby zarówno zniszczyć wszystkie rzeczywiste religje, wszelką rzeczywistą więź narodową, jak również obalić fikcyjnych bożków hitleryzmu, faszyzmu i wogóle wszelkich nacjonalizmów, a następnie realizować zasadę użyteczności społecznej na wzór Sowietów, na gruncie zupełnej bezosobowości, to znaczy drogą przeobrażenia całej ludzkości w jedno stado, gdzie zasada ta odnalazłaby swe urzeczywistnienie w brutalnym podziale na rządzących i rządzonych, na tych, co mają władać i rozporządzać się wszystkiem i tych, co mają pokornie przyjmować wszelkie ochłapy i okruchy z rąk swych władców. Innemi słowy, zasada użyteczności społecznej ma się w bolszewickiem ujęciu wykrystalizować ostatecznie pod postacią pacis bolszewiensis, ogólnego cmentarnego pokoju na gruncie zupełnego zniwelowania i zrównania wszelkich form osobowości.

Hitleryzm, faszyzm i bolszewizm, jako ruchy społeczne w Europie współczesnej, mają, w myśl powyższych wywodów, u swych podstaw zupełnie wyraźną ideę użyteczności społecznej, pojętej zupełnie amoralnie, wyodrębnionej zupełnie od związku z etyką. Wszystkie te trzy ruchy można określić jako zrealizowane już na tem podłożu lub dążące do realizacji dyktatury poszczególnych grup społecznych. Rozumowania powyższe mogą być jednak w pewnym stopniu zastosowane również do dyktatur jednostkowych, tak modnych w pierwszem dziesięcioleciu po ukończeniu wojny światowej. Bo dyktatorzy biorą władzę w swe ręce w poszczególnych państwach także w imię zasady użyteczności społecznej, wówczas, gdy na skutek egoistycznych ścierań się przedstawicieli rozmaitych partji zamiera normalne życie parlamentarne, a tem samem państwowe. Zaś następnie, w dalszym ciągu, wszelkie moralne i prawne przekroczenia dyktatury bywają motywowane zasadniczo również rzekomymi nakazami dobra społecznego, które staje się znów w tym wypadku jakimś fikcyjnym bożkiem, istniejącym poza dobrem poszczególnych jednostek. Dyktatury takiego typu mijają się jednak zupełnie ze swym celem; bo jako anormalny, prowizoryczny system rządów, mogą one mieć swe usprawiedliwienie tylko w dążeniu do możliwej restytucji praw logiki i etyki osobowej, naruszonych tu i ówdzie przez zwyrodniałe demokracje. W przeciwnym razie przyśpieszają one tylko ujawniający się wszędzie w Europie proces niwelacyjny, proces przeobrażania się społeczeństw w mechaniczne jednostki zbiorowe.

Zanalizowaliśmy pokrótce ustroje i teorje, w których amoralna zasada użyteczności społecznej stanowi wyraźną podstawę organizacji współżycia. Poza tem jednak wszędzie w Europie działa już psychoza, wypływająca z uznania tej zasady za wytyczną linję w życiu państwowo-społecznem. W imię jej państwo wtrąca się do takich przejawów życia, które nie należą do jego domeny, lub też toleruje zło, które nie powinno być tolerowane, planuje lub dokonuje re-

form często bez uwzględnienia, czy rzeczywiście dodatnie skutki przeważą nad ujemnymi, w imię tejże zasady wzrasta wciąż do nieznośnych granic obciążenie podatkowe, a państwa odgradzają się wzajemnie barjerami celnemi i podtrzymują bezmyślny dumping. Może w obecnej chwili trudnem jest już cofnąć się z tej drogi, wymagałoby to, być może, heroicznych wysiłków, w każdym jednak razie stwierdzić możemy, że zasada użyteczności społecznej oplata coraz więcej, jak pająk swą siecią, społeczeństwa europejskie, niwelując stopniowo i uniemożliwiając wszelkie przejawy i wysiłki indywidualizmu i zbliżając tem samem coraz więcej te społeczeństwa do typu mechanicznych jednostek zbiorowych, ujmujących ludzi w system zależności zewnętrznej.

Obecnie wskażemy pokrótce na główne zasadnicze przejawy niwelacyjnego procesu, jaki dokonuje się w myśl powyższych wywodów w łonie społeczeństw europejskich.

W życiu społecznem stwierdzamy stopniowy zanik poszanowania osobowości wogóle, a w szczególe stwierdzamy zanik poczucia praw jednostki, indyferentyzm w stosunku do walorów duchowych człowieka, natomiast kult zewnętrznych, mechanicznych niejako cech w człowieku. Zaś w życiu państwowem proces niwelacji odnajduje swój jaskrawy wyraz w stałym zaniku autorytetów jakościowych na rzecz autorytetów funkcyjnych. Jest to znak niezawodny przekształcania się społeczeństw w jednostki zbiorowe. Bo gdy stosunki między ludźmi oparte są przeważnie na zasadach indywidualizmu, to autorytet, regulujący współżycie między nimi, posiada charakter wybitnie jakościowy. Klasycznym przykładem takiego autorytetu może służyć senat rzymski w okresie rozkwitu republiki; był to autorytet wysoce jakościowy pod względem intelektualnym i moralnym, natomiast w okresie cesarstwa miejsce jego zajmuje autorytet funkcyjny imperatora, który był właściwie tylko uosobieniem i symbolem mechanicznej jednostki zbiorowej, w jaką przeobraziło się wówczas państwo rzymskie. Znów w epoce średniowiecza, w okresie rozkwitu

indywidualizmu chrześcijańskiego, tworzy się idea jakościowej władzy króla, jako pomazańca Bożego, powołanego do realizowania i obrony zasad chrześcijańskiego porządku na ziemi.

Wprawdzie rządy królewskie w wielu wypadkach sprzeniewierzały się swemu szczytnemu powołaniu; nie dlatego jednak wyłącznie walą się już oddawna w Europie trony, by rządy królewskie były w zasadzie gorsze od republikańskich, lecz dlatego przedewszystkiem, że stopniowe przekształcanie się społeczeństw w jednostki zbiorowe wymaga wysuwania na czoło życia autorytetów funkcyjnych, jako rzekomych realizatorów zasady użyteczności społecznej. Dobry przykład pod tym względem mamy obecnie w Italji, gdzie autorytet jakościowy króla, przedstawiciela starej i zasłużonej dla kraju dynastji, niknie zupełnie w obliczu funkcyjnego autorytetu wodza faszyzmu.

Twierdzenie powyższe ma zastosowanie w pewnym stopniu również do ustroju demokratycznego. Niechęć do niego, jaka przejawia się już wśród bardzo wielu ludzi, nie wypływa wyłącznie z jakichś nadzwyczajnych braków tego ustroju — niema zresztą ustrojów bez braków — lecz z podświadomej często preferencji, jaką ludzie współcześni zaczynają okazywać autorytetom funkcyjnym. Bo demokracja ma się opierać w zasadzie na autorytecie jakościowym, na autorytecie ludzi, wybranych z pośród narodu za ich zalety umysłowe i moralne. Jest to, ma się rozumieć, zasada tylko, od której praktyka życia odbiega nieraz zupełnie prawie; mimo to ośmielamy się twierdzić, że rozbieżność ta między teorją a praktyką demokracji nie jest wcale wyłączną przyczyną zaznaczającej się obecnie w Europie niechęci do tej formy rządów, ale głównej przyczyny, jak w wypadku władzy królewskiej, należy się doszukiwać w podświadomym prądzie przeobrażania się społeczeństw współczesnych w mechaniczne jednostki zbiorowe, które muszą się opierać na autorytetach funkcyjnych.

Ujmując tę samą myśl w inny sposób, możemy po-

wiedzieć, że trzy normalne formy rządów, ustalone jeszcze przez Arystotelesa, to znaczy monarchja, demokracja i arystokracja, jako formy, oparte na zasadzie osobowości, nie odpowiadają już bezosobowym tendencjom naszych czasów, które skierowują właściwie świat na tory cezaryzmu. W odrębnej po części pod tym względem sytuacji znajduje się przedewszystkiem Francja, a w pewnym stopniu również Anglja. Pierwsze z tych państw posiada już niejako cechy naturalnych jednostek zbiorowych, albowiem wielka i następne rewolucje zniwelowały ducha francuskiego, ongiś wybitnie indywidualistycznego i wytworzyły jednolitą, naogół drobnomieszczańską i racjonalistyczną psychologję, która w oparciu o silną jeszcze w tym kraju więź narodową, wytworzyła warunki odpowiednie do przeobrażenia się w pewnym stopniu społeczeństwa francuskiego w naturalną jednostkę zbiorową, jako taką obcą duchowi Zachodu. Dlatego też ustrój demokratyczny we Francji wydaje się być naogół utrwalonym i usztywnionym, zaś przeobrażenie zasadniczo jakościowego autorytetu parlamentu w autorytet funkcyjny, odpowiadający duchowi naturalnej jednostki zbiorowej, odnajduje swój wyraz we wzrastającej wciąż tendencji obierania w poszczególnych okręgach stale tych samych osób na stanowiska posłów. Dlatego też, być może, Francja wydaje się być obecnie również czynnikiem ładu w Europie, bo jako zbliżona już do typu naturalnych jednostek zbiorowych, pozbawiona ona jest tego dynamizmu, jaki cechuje inne narody europejskie, mające tendencje do przekształcenia się w mechaniczne jednostki zbiorowe.

Co do Anglji, to zachowała ona, dzięki swemu wrodzonemu konserwatyzmowi, do dziś dnia jeszcze autorytety jakościowe w postaci władzy królewskiej i parlamentu. Wystąpienie jednak na arenę historji Labour Party osłabiło w znacznym stopniu dotychczasowe walory parlamentaryzmu angielskiego, zaś obecna krytyczna sytuacja gospodarcza Anglji stawia już wogóle kwestję dłuższego trwania

dotychczasowych autorytetów jakościowych pod wielkim znakiem zapytania.

Wracając do właściwego tematu, stwierdzamy jeszcze raz, że idea użyteczności społecznej, mechanicznie pojętej, jest właśnie tą zasadniczą amoralną ideą naszych czasów, która ciąży psychologicznie nad całokształtem życia i pod egidą której kroczy proces ogólnej niwelacji i stopniowego przeobrażania się społeczeństw zachodnich w mechaniczne jednostki zbiorowe. Bo, podkreślamy to ponownie, społeczeństwa zachodnie, biorąc rozbrat ze zdrowym indywidualizmem, podcinają tem samem normalne korzenie swego bytowania i muszą w następstwie przeobrażać się w mechaniczne jednostki zbiorowe na podłożu stopniowego opanowywania umysłów przez jedną, wszechwładną, amoralną ideę. Ludzie stają się powoli niewolnikami tej idei, poddają się pod jej sugestywne panowanie i sami często nie zdając sobie sprawy z tego, przestają myśleć i ujmować życie w kategorjach osobowości.

Tak było w okresie panowania nad umysłami idei państwa rzymskiego, tak też jest obecnie z ideą użyteczności społecznej. Pod jej egidą, jak powiedzieliśmy przed chwilą, kroczy proces ogólnej niwelacji, padają trony, zanikają stany, załamuje się prawo własności, dokonują się najbezmyślniejsze reformy, zanika uznanie dla indywidualnych walorów duchowych i wszelkich jakości wogóle, a śmiertelna szarzyzna zaczyna pokrywać swym całunem całe życie europejskie, skierowując je coraz więcej na drogę ostatecznej mechanicznej stabilizacji. Stan ten jest faktem bezsprzecznym i nie potrzeba chyba udowadniać tego szczegółowiej, pozostaje tylko wyjaśnić, czem się zasadniczo tłumaczy taki stan rzeczy, w jaki sposób amoralna zasada użyteczności społecznej mogła opanować w taki sposób umysłowość ludzi współczesnych i stać się ideową podstawa obecnego procesu niwelacyjnego? W związku z poprzedniemi rozumowaniami możemy dać jasną i prostą odpowiedź na to pytanie. Supremacja idei użyteczności społecznej w życiu

współczesnem jest bezpośrednim wynikiem upadku zaufania do człowieka, jako jednostki, zaniku zaufania do zasady osobowości wogóle; idea ta nie jest właściwie niczem więcej, jak fałszywym surogatem rzeczywistego zaufania. Człowiek zmaterjalizowany przestaje ufać człowiekowi, jedna klasa przestaje ufać drugiej, jeden naród drugiemu. Osobowość w umysłowości ludzi współczesnych utożsamia się coraz więcej z jakąś siłą, wrogą jednostkom, klasom, narodom i ludzkości całej i na tym właśnie gruncie musiała się wytworzyć stopniowo jakaś sztuczna larwa, jakiś surogat zdrowej idei dobra ogólnego, pod postacią mechanicznej zasady użyteczności społecznej.

Cywilizacja nasza jest z gruntu indywidualistyczna: wchłonęła ona ongiś w siebie wytwór ducha indywidualizmu antycznego, uszlachetnionego i wysubtelnionego przez chrześcijaństwo i, jako taka, może ona istnieć i rozwijać się normalnie tylko na gruncie uznania praw osobowości, na gruncie zaufania powszechnego; nie może natomiast trwać, gdy zaufanie to załamuje się u swych podstaw, gdy homo homini lupus est.

W warunkach istnienia dzikich szczepów niższych ras, gdy dóbr użytecznych jest mało, człowiek z bronią w ręku rzuca się na swego konkurenta, zabija go lub pożera na ucztach kannibalskich. W wypadku tym istnieje zupełny brak zaufania wzajemnego, dziki widzi zasadniczo w innym człowieku swego nieubłaganego wroga, którego trzeba bezwzględnie zniszczyć. Natomiast w okresie tworzenia się cywilizacji, jakie stały się udziałem ras wyższych, ludzie poczynają łączyć się między sobą na podstawie związków rodowych, sankcjonowanych wierzeniami religijnemi, które w tajemniczy sposób wytryskują z głębin duchowych człowieka i które wiążą się ściśle z pewnem poczuciem prawa naturalnego, założonem również w duszach ludzi ras wyższych. Wzajemne zaufanie między członkami rodów, a następnie narodu, staje się podstawą do stopniowego wytwarzania się form cywilizacyjnych, a zgodność naogół życia

z prawem naturalnem wytwarza początkowo pewną prostotę i patrjarchalność w stosunkach między ludźmi. Stosunki wzajemnej zależności nie są wówczas bezwzględne, nawet stosunek między niewolnikiem i panem posiada pewne rysy patrjarchalności; niewolnik nie jest tylko objektem władztwa i wyzysku, lecz pozostaje do swego pana w pewnym stosunku osobowym.

Wzór cnót, opartych na prawie naturalnem, przedstawia nam Tacyt w swej „Germanji", przeciwstawiając je upadkowi obyczajowemu ówczesnego Rzymu. Toż samo da się zastosować również do pierwotnych celtów i słowian, jak również poprzednio do greków i rzymian, przedewszystkiem do tych ostatnich.

Wysoki poziom moralności indywidualnej i obywatelskiej u Rzymian mógł istnieć tak długo, jak długo opierali się oni na prawie naturalnem, a skala życiowa i stosunki materjalne były proste. Natomiast w miarę narastania kultury materjalnej, w związku z podbojami, stosunki między ludźmi w Rzymie wikłały się coraz więcej, Rzymianie oddalili się zupełnie od prawa naturalnego, a kapitał i pieniądz poczęły panować w życiu społecznem. Na tym gruncie zanikła dawna prostota obyczajów, obywatele Rzymu pogrążyli się w kulcie materji i uciech zmysłowych, a w związku z tem zanikło zupełnie poczucie naturalne, nakazujące widzieć w innej jednostce również człowieka, zanikło dawne zaufanie, a człowiek stał się dla człowieka objektem tylko, niewolnik stał się rzeczą martwą, podległą prawu rzeczowemu. Równolegle z tymi przejawami upadku moralnego musiała nieubłaganie zanikać stopniowo w życiu państwowem i społecznem zasada osobowości, a powikłane coraz więcej stosunki materjalne, pozbawione zupełnie cech wzajemnego zaufania, poczęły imperatywnie wymagać bezwzględnego, automatycznego niejako władztwa państwowego, któreby mogło stabilizować mechanicznie istniejący stan rzeczy. Rzym musiał zakończyć swój cykl dziejowy cezaryzmem.

Taka jest w kilku słowach zasadnicza filozofja dziejów rzymskich, która może być całkowicie zastosowana do naszych czasów. Materjalizm wytwarza brak zaufania między ludźmi Zachodu, a brak zaufania skierowuje nieubłaganie społeczeństwo ku przekształcaniu się w mechaniczną jednostkę zbiorową. Bo osobowość i nadmierne przywiązanie do rzeczy materjalnych nie dadzą się pogodzić ze sobą, jak nie da się pogodzić ogień z wodą. Świat materjalny musi być tylko narzędziem ducha, podłożem jego działalności, nie zaś panem ducha ludzkiego, takie jest naturalne prawo, położone przez Stwórcę u podstaw bytu ziemskiego. Kto chce owładnąć materjalnie, zewnętrznie, światem dla siebie wyłącznie, ten przez nieubłagane prawo reakcji staje się pozornie panem, w rzeczywistości jednak niewolnikiem tegoż. Dlatego prawdziwa wolność wewnętrzna, prawdziwe poczucie swej i innej osobowości, może istnieć tylko wśród społeczeństw, które nie ugrzęzły w kulcie materji i używania. Dlatego również wszystkie narody w okresie swego zdrowia duchowego okazywały naogół zawsze pogardę dla rzeczy materjalnych, a wszystkie rzeczywiście przodujące klasy opierały zawsze swą moc wewnętrzną i zewnętrzną na zasadzie samoograniczenia; będzie to słusznem np. w odniesieniu do patrycjuszów rzymskich, szlachty średniowiecznej, czy też samurajów japońskich. Wszystkie te klasy stawiały zasadę wyższości honoru, czyli rzeczy niematerjalnej, nietylko ponad rzeczy materjalne, ale ponad życie samo.

Zmaterjalizowany Rzym antyczny, w którym zanikło wszelkie zaufanie między jego obywatelami, daje nam klasyczny przykład przekształcenia się na tym gruncie społeczeństwa wolnego, opartego na zasadzie osobowości, w mechaniczną jednostkę zbiorową typu uniwersalnego.

Drugi taki zrealizowany przykład mamy obecnie w Rosji sowieckiej. Bo Rosja dawniejsza załamała sie zupełnie i runęła w przepaść, w otchłań bolszewicką, również na skutek zupełnego braku zaufania wzajemnego miedzy jej

obywatelami, które byłoby oparte na istnieniu jakiejbądź rzeczywistej więzi wewnętrznej. Brakowało Rosji prawdziwej więzi religijnej i prawdziwej więzi narodowej, a jedyną podstawą jej bytu, podstawą jej osobowości narodowej i ducha narodowego było zaufanie, jakiem przez dłuższy czas obdarzał naród rosyjski swego cara. Była to jedyna forma zaufania, która jednoczyła naród ten pod jednym sztandarem; brakowało mu wszelkich innych form zaufania, jakie wytworzyły się w zachodniej Europie w okresie chrześcijańskiego średniowiecza, przyczem masy ludowe były straszliwie ciemne, a światopogląd inteligencji i tak zwanych uświadomionych robotników był z gruntu materjalistyczny. Sfery te myślały, z małymi bardzo wyjątkami, wyłącznie kategorjami materjalistycznego monizmu i materjalizmu dziejowego, a światopogląd taki, rzecz jasna, nie dawał żadnych podstaw do wytworzenia atmosfery chociażby względnego zaufania. To też, gdy ta jedyna forma ogólnego zaufania, jaką było zaufanie do cara, załamała się ostatecznie w ogniu wojny światowej, naród rosyjski wraz ze swą doktrynerską inteligencją stanął przed straszliwą pustką, stanął w obliczu niemożliwości z jednej strony przeobrażenia się w naturalną jednostkę zbiorowa, wobec braku wszelkich odpowiednich cech po temu, a z drugiej w obliczu niemożliwości wytworzenia innej formy ustrojowej, opartej na zasadzie osobowości; stanął przed próżnią i przeobraził się w zawrotnem tempie w mechaniczną jednostkę zbiorową, pod wszechwładnem hasłem panowania kolektywu, jako kwintesencji materjalistycznej zasady użyteczności społecznej.

Naród rosyjski wyprzedził pod tym względem zachodnią Europę, gdzie nie załamały się jeszcze doszczętnie resztki zaufania z chrześcijańskiego okresu jej historji; natomiast bezpośrednie niebezpieczeństwo przekształcenia się w mechaniczną jednostkę zbiorową zagraża obecnie Chinom. Państwo to przedstawiało do niedawna stosunkowo doskonały wzór naturalnej jednostki zbiorowej, opartej na

wiekowych więzach tradycji i stabilizowanych stosunków rodzinnych, przy mało rozwiniętem poczuciu osobowości. Penetracja Europy do Chin wniosła jednak w szybkiem tempie elementy rozkładu do tego kraju, niwecząc w dużym stopniu istniejące od wieków więzy naturalne, wobec czego masa chińska zatraca coraz więcej cechy naturalnej jednostki zbiorowej, a w braku poczucia osobowości, jaka cechuje zasadniczo Chińczyków, pozostaje jej jedyna droga ku nowej stabilizacji, poprzez przekształcenie się w mechaniczną jednostkę zbiorową typu wschodniego, to znaczy rządzoną i kierowaną przez jakąś tyrańską jednostkę, która zjednoczy ponownie państwo chińskie w jedną całość. Permanentna wojna domowa, trwająca już od wielu lat, wydaje się być właśnie niezbędnym etapem do przekształcenia się pokojowej, naturalnej jednostki zbiorowej w wojowniczą, mechaniczną jednostkę zbiorową, która oczekuje jeszcze na swego Dżingis-Chana lub Tamerlana.

Zaznaczyliśmy przed chwilą, że w Europie zachodniej nie załamały się jeszcze doszczętnie resztki zaufania z dawnego, chrześcijańskiego okresu jej historji i te resztki właśnie chronią ją jeszcze na razie przed tym tragicznym losem, jaki już spotkał Rosję i jaki, prawdopodobnie, w niedalekiej już przyszłości oczekuje Chiny współczesne. Chrześcijaństwo dało ongiś światu najwyższą formę zaufania, zaufanie do Boga, jako Twórcy bytu, a na tej podstawie zaufanie do człowieka, zaufanie do zasady osobowości wogóle. Tylko tak wzniosłe hasło zaufania, stwierdzone dobrowolną śmiercią Boskiego Mistrza, mogło się stać podwaliną nowego życia, nowej cywilizacji, na gruzach zmurszałego świata antycznego. Tylko Kościół Chrystusowy, budując nowy gmach zaufania powszechnego, mógł przezwyciężyć te siły odśrodkowe, jakie gubiły cywilizację antyczną i przeciwdziałały tworzeniu się nowej. Bo barbarzyńcy u schyłku cywilizacji antycznej posiadali wprawdzie zdrowe podstawy moralne, oparte na poczuciu prawa naturalnego, lecz zaufanie człowieka do człowieka wówczas

nie wybiegało poza szranki rodu lub szczepu i nie mogło być rozszerzone żadną naturalną drogą. Na tym fundamencie nie mogłaby powstać żadna cywilizacja; szczepy wyniszczyłyby się wzajemnie w ciągłych, bezcelowych walkach, a nad gruzami zachodniego świata antycznego nie zajaśniałaby żadna zorza nowego życia. Zachód runąłby ostatecznie, a cywilizacja ludzka, pozostałaby tylko we wschodnich, naturalnych jednostkach zbiorowych.

Chrześcijaństwo poczęło budować fundamenty zaufania powszechnego wśród powszechnego chaosu. Średniowieczna Civitas Dei stać się miała właśnie gmachem, wzniesionym na tych fundamentach, świat ludzki miał się stać bytem, stabilizowanym na podstawach ogólnego zaufania. Wprawdzie niepowodzenie tych wysiłków było przepowiedziane zgóry przez samego Boskiego Założyciela Chrześcijaństwa w słowach: „Królestwo moje nie jest z tego świata", w każdym jednak razie ten zapas zaufania ogólnego, jaki się wytworzył w okresie średniowiecza, stał się podstawą rozwoju tak bujnej ongiś, chrześcijańskiej kultury Zachodu.

Wielki wiek XIII był okresem, w którym idea uniwersalizmu chrześcijańskiego, czyli nasilenia ogólnego zaufania, dosięga swego szczytu, poczem zaczyna się stopniowo proces odwrotny, proces stopniowego zmniejszania się zaufania, a wraz z tem stopniowego upadku idei uniwersalizmu chrześcijańskiego. Reformacja zadaje wreszcie tej idei najcięższy i stanowczy cios, rozszczepiając społeczeństwa zachodnie na dwa wrogie sobie obozy. Miejsce zaufania powszechnego zajmuje po części zaufanie do panujących, których znaczenie i powaga wzrasta znacznie po reformacji. Byt społeczeństw zachodnich zaczyna opierać się przeważnie na autorytecie panujących, którzy czerpią go jednak w dalszym ciągu z autorytetu Boga, czyli, mimo wszystko, w oparciu o więź chrześcijańską. Innemi słowy, zaufanie do królów w owych czasach ma swe podstawowe źródło w zaufaniu do Boga, niewygasłem jeszcze, mimo reformacji

i wypływającem z niego zaufaniu do zasady osobowości. Z biegiem czasu jednak królowie, po części z własnej winy, a przeważnie na skutek ogólnego prądu niwelacyjnego, zatracają stopniowo zapasy zaufania, nagromadzone w duszy ludów. Rozpoczyna się okres rewolucji.

Wielka rewolucja francuska oznacza właściwie wielkie votum nieufności do władzy królewskiej, zapoczątkowując jednocześnie okres dziejów europejskich, w którym zanikają stopniowo wszelkie formy zaufania irracjonalnego. Życie poczyna kroczyć pod ogólnem hasłem zaufania racjonalnego; na tej podstawie ma się budować cała nowa, świetlana przyszłość ludzkości. Ale wiek panowania tego hasła, wiek XIX, staje się jednocześnie wiekiem niesłychanego dotąd rozkwitu kultury materjalnej, a w związku z tem niesłychanego również zmaterjalizowania umysłów i serc ludzkich, które doprowadza stopniowo w naszych czasach do ostatecznego prawie załamania się wszelkich form zaufania z racjonalnem włącznie. Bo żadna forma zaufania nie może istnieć bez poczucia osobowości, a osobowość, jak już zaznaczyliśmy poprzednio, nie da się pogodzić z kultem materji. To też straszliwy robak materjalizmu czasów porewolucyjnych wygryzł stopniowo z dusz ludzkich wszystko, co szlachetniejsze, wznioślejsze, wszystko, co stoi w jakimbądź związku z osobowością ludzką, wygryzł wszystkie podkłady duszy, aż wreszcie pozostał tylko człowiek-materja, homo oeconomicus, którego ostateczną karykaturą w naszych czasach stał się człowiek mechaniczny, tak zwany „robot". Ludzie mechaniki, tworząc „robota", sami nie zdawali sobie sprawy z tego, że wydawali jednocześnie testimonium pauperitatis całej cywilizacji naszej, bo „robot", to właściwie symbol zmechanizowanego człowieka współczesnego, to niezawodny wskaźnik, że ludzkość współczesna świata zachodniego pogrąża się coraz więcej w niższe podkłady bytu, gdzie rządzą raczej prawa materji, niż prawa ducha.

Osobowość, wzajemne zaufanie, a na tem podłożu

zbiorowość, oparta na poszanowaniu praw osobowości, to wykwit ducha, wyzwolonego z więzów materji przez chrześcijaństwo; bezosobowość zaś, upadek wzajemnego zaufania, a na tem podłożu mechaniczna jednostka zbiorowa, pochłaniająca całkowicie jednostkę fizyczną, to nieunikniony los ludzi-automatów, u których materjalizm wyżarł duszę i osobowość i którzy przeto mogą być złączeni ze sobą tylko drogą mechaniczną, przez oddziaływanie na ich mózgi jakiegoś specjalnego wibratora, pod postacią jakiejś wszechwładnej, amoralnej idei, będącej niejako kwintesencją ich materjalistycznego światopoglądu w zakresie życia zbiorowego.

W obecnych czasach idea taka, to zanalizowana przez nas zasada użyteczności społecznej, mechanicznie pojętej, która wciska się coraz więcej w życie współczesne, na miejsce racjonalnego zaufania, zanikającego coraz więcej wraz z upadającą demokracją. Istnieją wprawdzie jeszcze resztki irracjonalnego zaufania z poprzednich okresów, w postaci więzi religijnej i narodowej i te resztki właśnie, jak zaznaczyliśmy poprzednio, stoją jeszcze w pewnym stopniu na przeszkodzie ostatecznemu przeobrażeniu się społeczeństw europejskich w mechaniczne jednostki zbiorowe; ale te resztki zaufania wewnętrznego dogorywają coraz więcej. To też życie Zachodu w obecnej chwili przedstawia jeszcze obraz pewnego balansowania między dawnemi ideami, wypływającemi z uznania zasady osobowości, a ideami, opartemi na bezwzględnem uznaniu zasady użyteczności społecznej, jako właściwej, kierowniczej siły w życiu. Balansowanie jednak takie nie może trwać zbyt długo i ostatecznie szala musi się przechylić na jedną lub drugą stronę. Bolszewizm, w myśl naszych wywodów, to wznoszony gmach nowego ustroju społeczeństw ludzkich na fundamentach zasady użyteczności społecznej, wyodrębnionej ostatecznie od wszelkiego związku z etyką, to konsekwentne dążenie do przekształcenia na tem podłożu całej ludzkości w mechaniczną jednostkę zbiorowa, w któ-

rej miejsce wszelkich form indywidualnego i międzynarodowego zaufania zajęłaby zewnętrzna, mechaniczna zależność jednych od drugich, regulowana przez absolutne autorytety funkcyjne w bezwzględny, maszynowy niejako sposób.

Byłby to właściwie koniec nowożytnej historii świata. To też świat zachodni, jakby ogarnięty śmiertelną paniką przed tą potworną możliwością mechanicznej uniwersalizacji, szuka instynktownie ratunku w rozszczepieniu zupełnem ludzkości, w zasklepieniu się jej poszczególnych komórek narodowych w swem odrębnem, izolowanem bytowaniu, innemi słowy, szuka ratunku w skrajnym nacjonaliźmie, który ma się stać z jednej strony podstawą autorytetu rządzącego, a z drugiej podstawą samowystarczalności gospodarczej, jako znów podstawy zupełnie odosobnionego bytowania. Nacjonalizm jednak, w swej skrajnej formie, różni się w zasadzie tem tylko od bolszewizmu, że dąży do wytresowania umysłów i serc ludzkich w kierunku bezwzględnego uznania zasady użyteczności społecznej w odniesieniu do danego państwa narodowego, nie zaś ludzkości, jako niezróżniczkowanej całości; dąży jednak narówni z bolszewizmem do przeobrażania ludzi w trzodę, ślepą, posłuszną swym przywódcom w imię zasady użyteczności społecznej. Osobowość natomiast ginie jednako tu i tam. Zapominają przytem przywódcy skrajnego nacjonalizmu, że przeobrażenie poszczególnych narodów w trzodę może tylko współdziałać w przeobrażeniu w takąż trzodę ludzkości całej, bo należy to uznać za pewnik logiczny i historyczny, że proces niwelacyjny nie może być zatrzymany w dowolnym punkcie, lecz musi zmierzać nieubłaganie do swego konsekwentnego zakończenia na najniższym, osiągalnym poziomie.

A jest to tem pewniejsze, że świat, wbrew złudnym pozorom, stoi pod znakiem uniwersalizmu. Bo zależność gospodarcza narodów jest, mimo wszystko, bardzo wielka, a dążności do samowystarczalności są właściwie tylko jednym z licznych, absurdalnych przejawów, w jakie obfituje

obecnie życie nasze, z drugiej zaś strony najnowsze zdobycze techniki, przedewszystkiem w dziedzinie aeronautyki i radjotechniki, przekreślają właściwie granice materjalne między narodami, gdy jednocześnie w płaszczyźnie duchowej narasta coraz więcej wrogi wał między nimi: narasta zaś, po pierwsze, na skutek oddziaływania skrajnego nacjonalizmu typu hitlerowskiego i faszystowskiego, a powtóre na skutek tego, iż, w myśl poprzednich wywodów, społeczeństwa zachodnie przekształcają się wogóle coraz więcej w jednostki zbiorowe, które, jako takie, tracą coraz więcej wzajemne zaufanie. Jeżeli do tego uwzględnimy jeszcze współczesny, potworny postęp w technice zniszczenia, to dojdziemy do wniosku, że najbliższa wojna, która nas oczekuje, nie będzie zupełnie podobna do dawnych, łagodnych wojen dynastycznych XVIII wieku, ani też do o wiele więcej krwawych wojen rewolucyjnych i burżuazyjnych XIX wieku, ani nawet do sotatniej wojny światowej; będzie to natomiast bezcelowa rzeź eksterminacyjna na wzór tych, jakie się odbywały dawniej, między dzikimi szczepami niższych ras, pozbawionymi całkowicie wszelkich elementów wzajemnego zaufania. Wojna taka, logicznie biorac, zdyskredytuje ostatecznie więź narodową i otworzy naoścież wrota mechanicznemu uniwersalizmowi, w tej lub innej postaci.

Przy całej pogardzie, jaką się ma dla łotrów bolszewickich, należy mimo to przyznać, że oni jedynie mają należyte praktyczne zrozumienie dla rzeczywistości światowej, oni jedynie pojmują należycie, że zanikające w szalonem tempie zaufanie ogólne musi doprowadzić wcześniej lub później do ogólnego załamania się światowego. Bo, w rzeczy samej, wszystkie już formy zaufania osobowego znajdują się w stadjum dogorywania. Skrajny nacjonalizm niszczy obecnie resztki zaufania międzynarodowego, zaś wewnętrzne zaufanie między obywatelami poszczególnych krajów załamuje się coraz więcej na podłożu depprawacji moralnej naszych czasów, oraz straszliwych kontra-

stów obecnego życia gospodarczego. Jeżeli bowiem obecny kryzys gospodarczy uważać należy w zasadzie za wynik załamania się ogólnego zaufania na gruncie upadku moralnego naszych czasów, to kryzys ten, ze swei strony, obniża znów w dalszym ciągu poziom moralności i wzmaga jeszcze w większym stopniu upadek ogólnego zaufania, czyli proces ten niejako potęguje sam siebie. Do tego wszystkiego dołącza się zaś jeszcze jedna, specjalna forma zaniku zaufania: to zanik zaufania człowieka do samego siebie, jaki cechuje zwykle epoki upadkowe. Zmaterjalizowany człowiek współczesny przestaje wreszcie ufać nietylko innym, ale przestaje nawet ufać sobie samemu, przestaje wierzyć we własną osobowość, we własną duszę, zatraca ją poprostu. Mamy tu do czynienia z tem dziwnem zjawiskiem naszych czasów, które Mereżkowski tak trafnie określił mianem „wola k biezlicznosti", to znaczy dążenia do bezosobowości, do roztworzenia się w mechanicznej jednostce zbiorowej, prowadzonej i kierowanej pod hasłem amoralnej zasady użyteczności społecznej, jako zupełnej antytezy zasady osobowości.

Człowiek Zachodu, który mógł się stać sola ziemi, za długo gwałcił podstawowe prawa bytu, za długo odwracał naturalny porządek świata, według którego materja ma być służebnicą, nie zaś panem ducha, aż się doczekał wreszcie odwetu kosmicznego, że się tak wyrażę. Bo materja, uosobiona w produkcji, staje się rzeczywiście w naszych czasach coraz więcej panem bytu ludzkiego, a człowiek, rzekomy jej ujarzmiciel, stoi zupełnie bezradny w obliczu tego zjawiska, jako niewolnik swych własnych tworów materjalnych. Stoimy obecnie w obliczu grozy możliwego zupełnego zaniku osobowości, możliwej zupełnej jej śmierci, i na tych podstawach buduje bolszewizm w dalszym ciągu swe światoburcze plany, pewny swej wcześniejszej lub późniejszej wygranej.

Łudzą się niepomiernie ci, co sądzą w dalszym ciągu, że kryzys współczesny da się usunąć, lub przynajmniej zła-

godzić w znacznym stopniu, jakiemiś doraźnemi metodami, lub sztuczkami. Nie da się tego osiągnąć, bo, podkreślamy to jeszcze raz, kryzys, jaki przeżywamy obecnie, to właściwie chorobotwórczy proces przekształcania się ludzkości w mechaniczną jednostkę zbiorową na podłożu zaniku osobowości i potęgującego się równolegle z tem upadku powszechnego zaufania, to proces stopniowego ujmowania ludzi w ramy zależności zewnętrznej wyłącznie. To też, by świat mógł się jeszcze uratować przed tą ostateczną katastrofą, o ile to jest jeszcze wogóle możliwe, pozostaje jedyna tylko droga — odwrócenie wskazanego procesu, przedewszystkiem zaś wstrzymanie go; a dla tego trzeba w pierwszym rzędzie przywrócić prawa osobowości we wszystkich dziedzinach życia, trzeba przywrócić zaufanie do samej zasady osobowości, innemi słowy, trzeba przywrócić powszechne zaufanie, zaufanie człowieka do człowieka, klasy do klasy, narodu do narodu.

Odbudowa zaufania powszechnego, przynajmniej w granicach naszego kontynentu, może nastąpić tylko na gruncie restytucji zasad chrześcijańskich, zarówno w życiu indywidualnem, jak zbiorowem; w przeciwnym razie musimy się pogodzić z tą myślą, że wzrastający w zawrotnem tempie zanik powszechnego zaufania będzie skierowywać nieubłaganie, deterministycznie wprost, współczesną ludzkość do jedynego możliwego wyjścia z obecnego impasu, to znaczy ujęcia jej w ten lub inny sposób w karby przymusowego, zewnętrznego zjednoczenia, na podłożu produkcji i konsumcji, wyłącznie pod wszechwładnem hasłem amoralnej zasady użyteczności społecznej, jako surogatu zaufania, tak, jak ongiś ludzkość antyczna złączona była pod takimże hasłem państwowości rzymskiej. Z punktu widzenia historjozoficznego byłby to tragiczny koniec dziejów ludzkości nowożytnej.

Inż. Adolf Kliszewicz.

NA MARGINESIE PROJEKTU KONSTYTUCJI.

JAK SIĘ U NAS CZYTA I JAK KRYTYKUJE?

Niezmiernie trudno wydobyć dzisiaj od ogółu — nawet od inteligentnego ogółu — co myśli o danej ważnej sprawie, lub o jakimś danym projekcie. Bo ten ogół, nawet inteligentny, wykształcony ogół, jest obecnie tak „zastrachany“, tak boi się własnego głosu i cienia i własnych myśli, że wielu dałoby się raczej porąbać na sztuki, zniosłoby raczej torturę ognia czy wody, byle tylko nie wyrazić publicznie swego zdania i przekonania. A może też — przepraszam za niedyskrecję — tych zdań i przekonań wogóle niema, a zwłaszcza w takich pikantnych kwestjach, jak projekt Konstytucji?

Czego się ludzie tak boją? Różnych rzeczy, ale przedewszystkiem boją się wyrwania z jakimkolwiek projektem w jakiejkolwiek dziedzinie, bo nuż rząd projekt ten zdezawuuje?!! A co gorsza, nuż szybka ewolucja „ducha czasu i postępu“ wykaże za rok lub dwa, że „ludzkość na inne wchodzi tory ustrojowe“, wobec czego „przedwcześnie“ wysunięty projekt okaże się już zaśniedziałym i ściągnie na autora piętno „wstecznika“?!

Dlatego — głosi inteligentny vox populi — lepiej cicho siedzieć i czekać, czekać, czekać. . .

Stąd cicho o naszym projekcie w prasie, cicho także i gdzieindziej. To zrozumiałe, oczywiste i na to byliśmy zgóry przygotowani. Chodziło nam przecież, jak wyraźnie zaznaczyliśmy, tylko o zapobieżenie ganiącemu sadowi historji, że w epoce zmagań nad reformą ustroju zabrakło zdecydowanie konserwatywnego projektu. Takiej luki nie

wybaczyłaby nam historja i dlatego — projekt jest! Zasadnicze zadanie spełnione *).

Może się ten projekt komuś nie podobać, ale że jest konserwatywny w każdem zdaniu i calu, jak i w ogólnej swej tendencji, to żadnej nie ulega wątpliwości. Religja, prawo własności, autorytet władzy, zdrowe zasady gospodarcze i umiar polityczno-społeczny są wszędzie mocno i wyraźnie zaakcentowane, wszelki eksperymentalizm bezwzględnie wyeliminowany, a ogólny ustrój demokratyczny państwa wprawdzie zachowany, ale podniesiony w kierunku kwalifikacyjnym i oczyszczony z demagogicznych absurdów. A o to przecież chodzi w projekcie, prawdziwie konserwatywnym.

Jeżeli jednak zabrakło krytyki publicznej, to nie zabrakło krytyki prywatnej. Ale w sposobie i systemie tej krytyki objawiła się pewna osobliwość, charakteryzująca dzisiejsze stosunki i czasy.

Otóż krytyka ta, wypowiadana szeptem ustnie lub telefonicznie (!), była albo namiętna, albo nieśmiała, ale w jednym i drugim wypadku niesłychanie powierzchowna, fragmentaryczna, drżąca i niepewna siebie. Rzucano się na to i na owo, ale — bez podania konkretnych argumentów i powodów. A gdy wzięliśmy się do bliższego zbadania tak dziwnego w świecie intelektualnym zjawiska, to stwierdziliśmy z niemałem zdziwieniem, że owa krytyka naszego projektu przeważnie... wcale nie czytała!

Ktoś coś od drugiego zasłyszał lub nawet sam raczył rzucić okiem na ten lub ów z ustępów projektu, ale na tem koniec. Resztę dorabiał sobie z reguły sam, z własnej imaginacji. Przykład: zarzucił ktoś „niekonserwatywność" projektu, ponieważ rzuciło mu się w oczy jedno zdanie, że prezydent Rzeczypospolitej ma być wybierany plebiscytem. Stąd gwałt i krzyk, że przecież konserwatyści tego nie chcą. Ale nie doczytał ów krytyk nieco dalej, że plebiscyt ten

*) P. tom XXIV „Naszej Przyszłości", październik 1932.

ma tylko rozstrzygać między dwoma lub trzema kandydatami, wyznaczonymi przez sejm i senat, ukonstytuowane w Zgromadzenie Narodowe. A to przecież kapitalna różnica!

I tak wszędzie, od początku do końca. Wyrywał gdzieś ktoś jakieś zdanie z projektu i roznosił je ze świętem oburzeniem po sferach „intelektualnych“, nie zadając sobie trudu dokładnego przestudjowania całości, czego przecież po intelekcie i to krytycznym intelekcie, można było logicznie się spodziewać.

Nasłuchał się też redaktor „Naszej Przyszłości“, oj, nasłuchał! Raz nawet napadł go ktoś (oczywiście w czterech ścianach gabinetu) z żądaniem „wytłómaczenia się“ z brzmienia pewnego artykułu projektu.

— Ależ — odparł redaktor — tłómaczy to właśnie następny artykuł aż nadto wyraźnie.

— Ach, tak? Nie spostrzegłem...

Na takie dictum redaktor oczywiście tylko mile się uśmiechnął i zmienił delikatnie temat rozmowy na pogodę i popularny kryzys gospodarczy. Bo i jakże możliwą jest dyskusja w takich warunkach?

„Elita nie czyta“ — tak zatytułowało pewne pismo antykonserwatywne świetny artykuł, w którym złośliwie wyśmiewało bezsprzeczny wówczas fakt, że „Naszej Przyszłości“ nie czyta wielu właśnie z tych, którzy ją najdokładniej studjować i znać powinni. Niewiadomo, skąd przekorny autor tego artykułu tę prawdę wówczas wydobył, ale że była prawdą, to nie ulega wątpliwości. Niechże tam jakiś profesorzyna zagraniczny coś wymyśli, albo jakiś poślina do parlamentu francuskiego czy angielskiego coś wypowie (nieraz prosty wystrzał pistoletowy dla wzbudzenia prasowej sensacji!), to natychmiast szmer i ruch budzi się w szeregach polskiego intelektu, ludzie biegają zaaferowani, potrząsając daną gazetą, czy broszurą: „Widziałeś? Czytałeś? To genjalne, to wyraz nowych prądów na świecie! Jakież to trafne, jak głębokie!“.

Oczywiście, że na każdem naszem biurku profesorskiem i w każdym, na „wysokim poziomie“ stojącym salonie musi przez pewien czas, taktem towarzyskim określony, figurować taki artykuł, czy broszura, czy nawet grubsza książka z wetkniętym w nią nożem do rozcinania, aby wykazać gościom oczytanie gospodarza i ułatwić nawiązanie rozmowy zapomocą porozumiewawczego rzutu oka na ową książkę egzotyczną i sakramentalnego pytania: „Avez-vous lu?“.

Ale jakaś tam sobie „Nasza Przyszłość“! Przecież tego żaden Francuz, ani Anglik, ani Yankes, ani nawet „wybitny uczony“ nie napisał! To jakiś swojak, którego znamy, znamy aż nadto, a więc. . .

Oczywiście nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, a najmniej w wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, mającej — wiadomo — najpiękniejszą i najrozumniejszą konstytucję na świecie! To też nie arogujemy sobie roli proroków, ale żądamy przynajmniej tyle, aby krytykująca elita intelektu przynajmniej przeczytała to, co chce krytykować i nieco głębiej nad całokształtem sprawy się zastanowiła. Jeżeli wypisuje się nieraz grube tomy krytyczne o jakimś krótkim epigramie, znalezionym w jakimś zakurzonym księgozbiorze, analizując krytycznie literę po literze, to wartoby projekt naprawy konstytucji, wyłoniony w polskim świecie zachowawczym, przez bądź co bądź myślących i w różnych kierunkach wykształconych współrodaków, przynajmniej raz uważnie przeczytać — o ile chce się w tej sprawie wogóle głos zabierać!

Ale wśród tych wszystkich pseudokrytyk, opartych na nowej metodzie naukowej „nieczytania“ danego dzieła (n. b. metoda godna uwagi i bardzo do zalecenia tym wszystkim zaaferowanym ludziom, którzyto dzisiaj szukają nagwałt t. zw. „nowych dróg ustrojowych“!), znalazły się i poważniejsze zarzuty. Cytuję z nich dwa najważniejsze.

Po pierwsze, zrobiono zarzut, że w wielu wypadkach używa nasz projekt formy deklaratywnej, zamiast daną

rzecz kazuistycznie sformułować. Wyjaśniamy, że forma deklaratywna, użyta w projekcie przy formułowaniu przedewszystkiem zasad ustroju, zastosowaną została rozmyślnie i celowo. Szczegółowe bowiem kodyfikowanie takich zasad podstawowych — co zresztą jest już zadaniem ustaw wykonawczych — daje zawsze, jak doświadczenie uczy, bardzo szerokie pole do t. zw. „interpretacji". Słusznie i dowcipnie ktoś powiedział, że ustawa jest właśnie po to, aby wiedzieć, jak ją obchodzić. Dlatego w pewnych dziedzinach wskazane jest stanowcze oświadczenie deklaratywne, że dana rzecz jest dozwolona lub niedozwolona. Niech sobie potem różne partje polityczne lub szkoły prawnicze tak czy inaczej formułują szczegółowe ustawy w granicach danej tezy konstytucyjnej — poza obręb tej tezy, deklaratywnie ujętej, przecież wyjść nie będą w stanie!

A o to właśnie chodzi. Szczegółowe ustawodawstwo może podlegać ewolucji i to nawet szybkiej. Natomiast pewne zasady ustrojowe, nadające właściwy charakter i oblicze państwu, zmieniać się nie powinny. Nie może zmieniać się pojęcie o tem, co jest godziwe, a co nie godziwe, co jest zdrowe, a co warcholskie. I w takich wypadkach najlepszą jest jasna, wyraźna forma deklaratywna.

Powtóre zarzucono — i to właśnie najgoręcej — że projekt nasz uzależnia nieco posłów od opinji ich okręgów, resp. ciał wyborczych. Wyciągnięto z lamusa zgubny przykład dawnych instrukcji sejmikowych, narzucanych elektom do sejmów przedrozbiorowych, skąd powstało liberum veto i różne inne klęski.

Da liegt der Hund begraben! Ale w tym pośpiechu obrony całkowitej nieodpowiedzialności posła, który dzisiaj reprezentuje fikcyjnie „całe państwo", a w rzeczywistości właściwie tylko siebie, przeoczono zasadniczą różnicę między brzmieniem naszego projektu a ustrojem dawnej Rzeczypospolitej. Wówczas bowiem otrzymywali posłowie sztywne instrukcje od sejmików, a jeszcze sztywniejsze od pewnych koterji i możnowładców — kiedy w na-

szym projekcie o niczem podobnem niema mowy, a stwierdza się tylko realny i faktyczny stan rzeczy, że ponieważ poseł, czy senator z wyboru, otrzymują swe mandaty na mocy zaufania wyborców danego okręgu czy instytucji, to logicznem i moralnem jest, że powinni także liczyć się nieco z wolą swych wyborców, a nie uważać sie za jakieś istoty „nadrzędne“, przed nikim nawet moralnie nie odpowiedzialne i pomiatać swymi okręgami, jak to często bywa.

Chodzi właśnie o to, aby nie było w nowoczesnym parlamencie anarchji poselskiej, ani liberum veto, ani liberum conspiro. Nowoczesny parlamentaryzm, szczerze demokratyczny, opiera się na zasadzie większości, a że parlament reprezentuje całe społeczeństwo, niechże więc w tym parlamencie wola większości społeczeństwa możliwie wyraźnie się objawia. A więc nie przypadkowa, zmienna, konjunkturalna, podatna wszelkim wpływom decyzja większości posłów, lecz, o ile możności, wola większości okręgów. I to nie metodą sztywnych instrukcji, ale poczuciem pewnej moralnej zależności posła od swych wyborców, z którymi — jeżeli chce dzierżyć mandat z ich ręki — także nieco liczyć się powinien, pod oczywistą sankcją utraty mandatu przy najbliższych wyborach.

To jest słuszne, sprawiedliwe i logiczne, zarówno według zasad demokratycznych, jak i konserwatywnych. Inaczej kontynuować będziemy demagogiczną tragikomedję parlamentaryzmu, który własna jego nielogiczność już rozsadza.

Wogóle cała ta krytyka i jej osobliwsza metoda pogłębiła w autorach projektu wrażenie, że inteligentne sfery społeczeństwa polskiego nie wiedzą, jakiego w przyszłości chcą ustroju. A jeżeli nie wiedzą, czego chcieć i żądać, to niech uważnie przeczytają to, co im ktoś proponuje.

I jeszcze jedno. Zarzucono nam, że nie uwzględniliśmy wyników ankiety konstytucyjnej, rozpisanej przez rząd zeszłego roku. Wszak najwybitniejsi prawnicy i t. d. i t. d.

Nie, nie uwzględniliśmy dlatego, że każda ankieta płodzi tylko przyczynki, a razem wytwarza t. zw. „groch z kapustą“. Ten proponuje to, tamten owo, każdy tylko pewne punktacje, a wszystko razem nie prowadzi do żadnej decyzji, ani woli. Takimi przyczynkami nie buduje się stanowczej reformy konstytucji. Tu trzeba zdecydowanego, w całokształcie skodyfikowanego projektu. Projektodawca musi najpierw wiedzieć dokładnie, co chce osiągnąć we wszystkich, stukilkudziesięciu artykułach konstytucji, następnie siąść i artykuły te sformułować, a wkońcu projekt swój ogłosić i przyjąć za niego odpowiedzialność.

Dlatego z żadnych ankiet i w przyszłości korzystać nie będziemy.

Mówię: nie będziemy — gdyż autorowie projektu, jakkolwiek opracowali go i ogłosili in extenso, nie uważają go bynajmniej za ostateczne swe słowo. Przeciwnie, jeżeli stworzyliśmy ten fakt dokonany, to dlatego, aby zbudować nareszcie podstawę do realnej dyskusji, a zwłaszcza do stopniowego doskonalenia. I do tego doskonalenia zapraszamy niniejszem wszystkich czytelników pisma, którzy czują się do tego na siłach i posiadają oczywiście odpowiednie kwalifikacje.

Ale nie o jałową krytykę nam chodzi. O krytyce mamy wogóle pewne, ustalone wyobrażenia, jako o rzeczy niezmiernie łatwej i taniej. Nam chodzi o wskazówki pozytywne, a przedewszystkiem o doskonalsze formułowanie, czy nawet o całą doskonalszą koncepcję tych lub owych artykułów czy rozdziałów. Kto więc chce na serio oddać sprawie przysługę, albo kto chce produktywnie projekt nasz skrytykować, ten niech raczy przesłać nam artykuł, w którym, na podstawie odpowiedniej motywacji, dane paragrafy naszego projektu byłyby skrytykowane, a *na ich miejsce nowe dokładnie sformułowane.*

Tylko taką krytykę przyjmiemy, ale przyjmiemy ją za to z całem uznaniem i najgłębszą uwagą, z tem oczy-

wiście zastrzeżeniem, że duch i treść tych poprawek odpowiadać będzie zdecydowanemu kierunkowi, platformie i metodzie „Naszej Przyszłości“. Uczonej metafizyki, ani mgły filozoficznej, ani kapitulacji wobec t. zw. wymagań ewolucji i wogóle żadnych niemęskich, kiwających się ze strachu poprawek uwzględniać nie będziemy. Do kosza z tem!

Jeżeli zaś otrzymamy odpowiednie, poważne, realizmem życiowym, stanowczością i odwagą cywilną nacechowane poprawki, to być może, że za jakiś czas ogłosimy na tych łamach drugi projekt, w doskonalszem wydaniu, wymieniając (na życzenie) nazwiska nowych współautorów, którzy zechcą do tego się przyczynić.

I to będzie najlepsza, najużyteczniejsza dla sprawy metoda krytyki.

Jeden z tych,
którzy projekt pisali.

ECHA KONFERENCJI W OTTAWIE.

Angielska prasa liberalna, między innemi „Manchester Guardian", atakując gwałtownie konferencję w Ottawie, nazwała ją jednym z najbardziej katastrofalnych epizodów w ekonomicznych dziejach Wielkiej Brytanji. Dzienniki konserwatywne omawiały wyniki tych narad bardzo powściągliwie, bo Anglja musiała porobić niewątpliwie na korzyść Dominjów daleko idące ustępstwa. Ale zwolennicy polityki imperjalnej opierają swą tezę na cyfrach, zebranych przez „The Empire Marketing Board", a wykazujących rozwój eksportu towarów angielskich (nie licząc surowców) do Dominjów pomiędzy 1913 a 1927 rokiem, w porównaniu do wywozu zagranicznego (w funtach szterl.):

Eksport do Dominjów i kolonji	1913	1927
Indje	70.273.145	85.044.842
Australja	34.470.452	61.179.266
Kanada	23.794.926	29.350.282
Afryka południowa	22.184.729	30.312.361
Nowa Zelandja	10.837.647	19.608.464
Mniejsze kolonje	24.522.016	48.050.413

Eksport zagraniczny	1913	1927
Rosja	10.166.293	3.609.474
Niemcy	27.007.148	28.864.678
Francja	17.425.653	12.027.377
Holandja	11.748.561	15.960.542
Chiny	17.020.072	13.108.557
Japonja	14.164.623	14.679.858
Stany Zjednoczone	23.048.750	35.803.431

Statystyka wykazuje od pierwszego rzutu oka, że np. Australja z jej ludnością, wynoszącą mniej, niż pięć miljonów, nabywała towarów angielskich na mniej więoej tę samą sumę, co Stany Zjednoczone, Chiny i Japonja razem wzięte, lub Niemcy, Francja, Holandja i Rosja. Pozycje te musiały się w późniejszych latach zmienić wskutek krysysu, ale dane międzynarodowego handlu brytyjskiego w 1930 roku opracowane były dokładnie tylko do 1927 roku, a późniejszych oficjalnych statystyk jeszcze nie wydano. Prawdopodobnie cyfry spadły znacznie w obu rubrykach, ale stosunek pozostał mniej więcej ten sam.

Kanada, mająca po Anglji największy w Imperjum eksport wyrobów fabrycznych, wywozi je przeważnie do innych Dominjów, a do macierzy wysyła jedynie surowce, bo nie może z nią konkurować na jej własnych rynkach. Import kanadyjski odwrotnie, składa się z Anglji głównie z wyrobów fabrycznych, a surowców z Indji, Australji, Nowej Zelandji i t. d. Całkowity obrót tranzakcji dosięgał w dolarach sumy 598.659.000, z czego import wynosił 185.896.000 dolarów, a eksport 412.763.000, co jest pozycją bardzo poważną. Żadne z państw nie posiada tak znakomitej organizacji handlowej, jak Kanada. Jej „Commercial Intelligence Service“ cieszy się doskonałą opinją we wszystkich krajach na kuli ziemskiej. Komisarze handlowi wysyłani są do większych państw zagranicę, badając pilnie rynki miejscowe i wydając olbrzymie sumy na ogłoszenia, wystawy, „tanie tygodnie“ i t. p. W Anglji jest ich czterech, w Australji dwóch i po jednym w Nowej Zelandji, Południowej Afryce, w Indjach, na Cejlonie i w Holandji.

Szczególnie zależy Kanadzie na wywozie drzewa i dlatego kładła taki nacisk w Ottawie na dumping sowiecki w tej dziedzinie. Była chwila, że losy całej konferencji zdawały się zagrożone, bo rząd angielski, ze swej strony, dbał bardzo o utrzymanie traktatu z Sowietami z 1930 roku. Chociaż eksport brytyjski do Rosji wynosił w 1931 r.

zaledwie około 7.000.000 funtów (wobec 32.000.000 importu z Sowietów), jednak przemysłowe koła londyńskie liczą się poważnie z możliwościami rozwoju stosunków handlowych z krajem o tak olbrzymich obszarach i wielkich bogactwach naturalnych, jak to wyraźnie zaznaczył liberalny „News Chronicle“: „Wszystkie przemysłowe państwa, Francja, Niemcy, Włochy, Japonja i Stany Zjednoczone, pilnują swych interesów w Rosji, uważając ją za największy, niewyzyskany, światowy rynek zbytu przyszłości. Jakieby więc nie były polityczne względy i antypatje, nie możemy lekceważyć korzyści, wynikających z racjonalnie prowadzonego ekonomicznego programu“.

Kilka gałęzi angielskiego przemysłu jest poważnie zaangażowanych w Sowietach i wypowiedzenie traktatu handlowego pociągnie za sobą zwiększenie bezrobocia. Dlatego rząd angielski nie chciał ustąpić w sprawie drzewa z Kanady, dając jej wzamian wolny wstęp dla artykułów spożywczych na przeciąg 5 lat, z zastrzeżeniem, że o ile interesy miejscowych producentów będą tego wymagały, po upływie 3 lat może być nałożone na import z Dominjów cło, mniejsze jednak od cła na produkty z zagranicy, albo, po uprzedniem porozumieniu z Dominjami, możliwe jest opracowanie nowego systemu kontyngentów. Cło, nałożone na zagraniczną pszenicę, miedź, cynk i ołów, może być w każdej chwili zniesione, o ile producenci z Dominjów będą mogli dostarczać na rynek angielski produkta swe jedynie po cenach wyższych, niż światowe. Premier kanadyjski, Benett, przeforsował jednak w traktacie klauzulę, stwierdzającą, że oba rządy zobowiązują się wstrzymać wszelki import z zagranicy, o ileby szkodził w czemkolwiek traktatom preferencyjnym. W ten sposób sprawa sowieckiego dumpingu na rynku drzewnym została rozstrzygnięta i traktat handlowy z Rosją wypowiedziany, z tem, że mają się wkrótce rozpocząć nowe układy, regulujące wymianę towarów między obu państwami.

Co do Australji, eksportuje ona głównie artykuły spożywcze i niektóre surowce, np. znaną ze swego wysokiego gatunku wełnę, której wartość sięgała w 1927 r. olbrzymiej sumy 60.000.000 funtów. Natomiast sprowadza dużo nafty, spirytusu, tytoniu, drzewa i wyrobów gumowych, przeważnie ze Stanów Zjednoczonych.

Afryka Południowa wywozi 52 procent swych towarów do Anglji, w tem artykułów spożywczych za sumę 27.769.379 funtów, złota na 28.556.998 funtów, a brylantów na 12.285.095 funtów. Wzamian kupuje w Anglji 60 procent swego importu: czapki, kapelusze, obuwie, wyroby tekstylne, garncarskie, drut, maszyny i towary galanteryjne. Samochody sprowadza jednak ze Stanów Zjednoczonych, za sumę 2.435.724 funtów, gdy z Anglji tylko za 315.997 funtów i tu mógłby przemysł automobilowy angielski wyrobić sobie poważny rynek zbytu, gdyby lepiej zorganizował sprzedaż rynkową, niż Stany Zjednoczone.

Irlandja, bojkotująca dziś angielskie towary dla względów politycznych, nie będzie jednak mogła zdobyć dla swych ziemiopłodów wygodniejszych rynków zbytu, niż jest nim w tak bliskiem sąsiedztwie położone państwo brytyjskie, konsumujące olbrzymie ilości artykułów spożywczych. Rolnictwo irlandzkie, współpracując z Anglją przy pomocy jej kapitałów, ma szanse rozwoju równie pomyślne, jak np. Danja. Sytuacja obecna zaszkodzi jej samej niemniej, a prawdopodobnie więcej, niż Anglji, bo życie jest silniejsze, niż doktryny i kwestje ekonomiczne mają w każdem państwie ostatnie słowo. Tymczasem Polska na tym konflikcie tylko zyskać może, bo o ile konflikt potrwa dłużej, to Irlandja zaopatrywać się będzie w węgiel w naszych kopalniach na Śląsku.

Jeżeli plan imperjalistów, bliższego zbliżenia się z Dominjami, okaże się nierealny, Anglja wróci do wolnego handlu, jak się to już nieraz w jej dziejach powtarzało. W każdym razie, dzięki taryfom celnym, dochody skarbowe

w 1932 r. wzrosły w ciągu pierwszego półrocza budżetowego o 5,558.866 funtów, w porównaniu z tym samym okresem ubiegłego roku. Ale kraje europejskie muszą się liczyć bardzo poważnie ze zmniejszeniem swego eksportu na rynki brytyjskie, a w pierwszym rzędzie Polska, której stosunki handlowe z Anglją rozwijały się w ostatnich latach bardzo pomyślnie. Dziś jest to państwo, z którem mamy najaktywniejszy bilans handlowy, gdyż w 1931 r. eksport nasz wynosił tam 300.000.000 zł., a import zaledwie 100.000.000 zł. W bieżącym roku tranzakcje zmniejszyły się nieco, ale stosunek nie zmienił się wcale. Największą pozycją naszego wywozu do Anglji jest drzewo, którego sprzedaliśmy za sumę 70.000.000 złotych, następnie idą bekony za 50.000.000 zł., ubrania gotowe i galanterja razem za 80.000.000 zł. Trudno przewidzieć, jak się nadal te stosunki kształtować będą. W każdym razie Anglja konsumowała dotychczas około 10.000.000 cetnarów bekonów rocznie, z czego największych ilości dostarczały Danja i Polska, pokrywająca prawie 25 procent całego zapotrzebowania. Kanada dostarczała dotychczas zaledwie 49.000 cetnarów, zajmując przedostatnie miejsce, ale w Ottawie otrzymała kontyngent, dochodzący do 25.000.000 cetnarów rocznie. Ponieważ wątpliwem jest, aby pojemność rynków brytyjskich zwiększyła się w najbliższej przyszłości, a nawet możliwem, że wobec kryzysu raczej się skurczy, o tyle zmniejszyć się będzie musiał kontyngent państw europejskich, a zatem i Polski. Naturalnie, nie nastąpi to ani w tym, ani w przyszłym roku, bo Kanada nie będzie w stanie zwiększyć swego eksportu bekonów w tak szybkiem tempie, ale już teraz Anglja zaproponowała, aby wszystkie państwa, wywożące bekony, same ograniczyły swój eksport obecny o 15 procent w listopadzie, a o 20 procent w grudniu. Po dłuższych naradach ustalono w końcu, że jako podstawa do obliczania. będzie wzięta przeciętna ostatnich 3 miesięcy, sierpień, wrzesień i październik. Cyfra ta, rozdzielona pomiędzy poszczegól-

ne kraje, przyzna Danji 63 proc. przywozu, Holandii 10 procent i Polsce 10 procent.

Cło na jaja podwyższone zostało z 10 procent ad valorem do 17 procent mniej więcej, ale import drzewa, galanterji i wyrobów tekstylnych pozostał wolny. Gotowe ubrania polskie, dzięki swej taniości, znajdują w Anglji chętnych nabywców i w tej dziedzinie miałoby może nasze kupiectwo pole do rozwinięcia swej aktywności. W każdym razie rynek angielski ma dla Polski wielkie znaczenie i należałoby pilnie badać jego zapotrzebowanie, aby stosunki handlowe brytyjsko-polskie kształtowały się nadal pomyślnie.

Marja Zabiełłowa.

EUROPEJCZYK NA TRONIE.

Często w danej epoce powtarza się uporczywie pewne słowa, które wtedy właśnie oznaczają rzeczy, bardzo odległe od rzeczywistości, a oprócz tego nadaje się fałszywy sens ciągle powtarzanym słowom. Za czasów rewolucji francuskiej takiemi słowami były: „Wolność, Równość i Braterstwo", dzisiaj takiem słowem jest „europejczyk". Wielkie wstrząśnienie wojenne, które przeżyliśmy i łomot wypadków, które od chwili wojny następują po sobie, zamęt dnia dzisiejszego — wszystko to każe zapominać o tym punkcie widzenia, który daje możność jasnego sądu, o punkcie widzenia genetycznym, historycznym. Jako „europejczyka" przedstawia się dzisiaj sobie pacyfistę, briandzistę, lokarnistę, ligistę narodów, słowem, człowieka bez rasy, zamieszkującego kraj bez granic. Jest to pojmowanie polityczne, abstrakcyjne i frazeologiczne. A słowo „europejczyk" trzeba przyjmować przedewszystkiem w znaczeniu historycznem i kulturalnem.

Doskonałym „europejczykiem" jest nie hr. Coudenhove-Calergi, lecz był nim Edward VII, król angielski, który dobrze reprezentował europejski, tradycyjny typ kulturalny, którego wpływ, na bieg wypadków w dziesięcioleciu, poprzedzającem wojnę, był ogromny. Nazywany Macchiavellim, Napoleonem i szatanem, był tylko owym królem angielskim, o którym się mówi, że „nie może uczynić nic złego", to znaczy: nie może wogóle nic uczynić — i człowiek ten staczał tylko bitwy dyplomatyczne. Edward VII, choć jego władza, skuta łańcuchami konwencji konstytucyjnych, była daleko mniejsza od władzy prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, miał powagę moralną, nieskończenie wyższą od jakiegoś naczelni-

ka republiki prezydenckiej lub dyktatora; ustawił on wszystkie szachy na szachownicy europejskiej, a nawet światowej, przed rozpoczęciem się wielkiej wojny i wynik wojny był konsekwencją jego polityki. Niezwykle wyraźna i potężna indywidualność monarchy angielskiego wywarła wpływ na losy świata, zupełnie niespodziewanie dla tych, którzy mówią, że król angielski jest postacią głównie symboliczną.

Ażeby rozumieć, dlaczego Edward VII postawił sobie takie cele, a nie inne i dlaczego takimi, a nie innymi środkami je osiągał, trzeba zwrócić uwagę na to, że od chwili swojego urodzenia i potem przez 60 lat, był Edward związany ze swojem imperjum i to inaczej, niż jest z państwem związany zwyczajny obywatel, zwyczajny polityk, zwyczajny parlamentarzysta, czy minister. Lord Hugh Cecil, autor pouczającego podręcznika politycznego p. t. „Konserwatyzm", zwraca uwagę w swej książce na bardzo dodatnią stronę ustroju angielskiego, którą jest okoliczność, że przyszły naczelnik państwa przez szereg lat przygotowuje się do objęcia swej godności. Przez lat czterdzieści mógł się Edward VII przygotowywać do spełnienia tej „satanistycznej" misji, którą mu przypisywał Wilhelm II. Żaden ks. Walji tak długo nie nosił swego tytułu, żaden również nie znalazł się od chwili swojego urodzenia w takich obcęgach wychowawczych.

Ojciec króla Edwarda, Albert, znany w historji jako książę-małżonek, napisał zaraz po urodzeniu się pierwszego syna szczegółowy kodeks wychowania dla przyszłego króla. Kodeks ten przewidywał, jak ma się potoczyć życie ks. Walji, aż do chwili objęcia rządów i nosi znamię niemieckiego pedantyzmu, gdyż książę małżonek był prosto z Niemiec wywiezionym Koburgiem i przy układaniu planu edukacyjnego dobrał sobie do pomocy swego zaufanego przyjaciela niemieckiego, barona Stockmanna. Zastosowanie każdego punktu regulaminu ojcowskiego nie było życiowo możliwem, ale ks. Albert dbał o to, aby re-

gulamin stosowany był z największą ścisłością, a po jego śmierci, która nastąpiła w 20-ym roku życia Edwarda, podjęła się królowa Wiktorja dalszego urzeczywistnienia intencji wychowawczych uwielbianego przez siebie małżonka.

Edward miał trzech głównych wychowawców, począwszy od 7-go roku życia; dwaj pierwsi z nich mieli charakter pedagogów, trzeci zaś, generał Bruce, był już rodzajem intendenta i marszałka dworu młodego księcia. Kompetencje wychowawców, nawet Bruce'a, sięgały bardzo daleko; dość powiedzieć, że w czasie pierwszej wizyty, którą ks. Walji złożył papieżowi Piusowi IX, Robert Bruce był obecny i w pewnym momencie przerwał rozmowę na temat, który mu wydał się niewłaściwy. Edukacja następcy tronu miała charakter bardzo zamknięty, bardzo arystokratyczny i niesłychanie staranny. Ludwik Filip posyłał swoich synów do liceum publicznego; nie ochroniło to jego, ani jego synów, od wygnania przez romantyków republikańskich. Późniejszemu Edwardowi VII nic nie zaszkodziło wychowanie pod szklanym kloszem. Do 18-go mniej więcej roku życia miał książę tylko kilku młodych znajomych, wyznaczonych przez ojca z pośród przedstawicieli najwyższej arystokracji; nawet na uniwersytecie nie uczęszczał przyszły monarcha na kurs ogólny, lecz profesorowie mieli dla niego wykłady specjalne, przyczem książęcemu studentowi zabronionem było odwiedzanie domów arystokratycznych z okolic uniwersytetu i przyjmowanie wizyt, nie zaaprobowanych zgóry przez ojca. Pomimo takiego wychowania, nie nawykł Edward VII do studjowania książek, a jednak, jak przyszłe jego życie wykazało, nietylko miał wszechstronne wiadomości, ale również wszechstronne znajomości.

Wychowując syna bardzo arystokratycznie, nie chciał bynajmniej ks. Albert zrobić zeń jakiegoś subtelnego roi fainéant; przeciwnie, w myśl życzeń swego pedantycznego ojca, miał zostać ks. Walji prawdziwym królem, to

znaczy ani arystokratą, ani członkiem kasty wojskowej, ani biurokratą. Program życiowy, ułożony dla Edwarda, przewidywał wykorzystanie wszelkich środków, mogących najdoskonalej wykształcić młodego człowieka pod względem moralnym, fizycznym i umysłowym. Podróże zagraniczne, które później stały się narzędziem polityki Edwarda VII, nakreślone zostały już przez księcia małżonka. Podróż do Rzymu, która została dokonana za czasów, gdy półwysep apeniński pokryty był jeszcze szeregiem państewek i podróż do Ameryki w okresie, poprzedzającym wybuch wojny secesyjnej, nauczyły bardzo dużo młodego angielskiego księcia. Nie można powiedzieć, aby np. taka podróż do Ameryki nie miała już pewnego posmaku politycznego; z jednej strony w Kanadzie oranżyści urządzili gwałtowne, partyjne manifestacje, które nie mogły pochlebiać nadpartyjnemu księciu krwi, z drugiej zaś strony, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wywołał ks. Walji prawdziwy entuzjazm swoim czarem osobistym, taktem i rozumem, do tego stopnia, że oświadczano, iż gdyby ks. Edward był kandydatem na prezydenta Stanów, to napewno zostałby wybrany prezydentem.

Tak się stało, że Prince Consort umarł właśnie wtedy, gdy syn jego zakończył prawie całkowicie edukację. Edward VII stracił ojca, mając lat 20 (1861 r.), ale królowa Wiktorja postanowiła zrobić wszystko, co jej ukochany Albert zamierzył wobec syna i zatrzymała przy nim Bruce'a, skłoniła syna do dawno uplanowanej podróży na bliski wschód i wreszcie ożeniła go, w myśl tendencji, ujawnianych przez zmarłego męża, z księżniczką duńską (późniejszą królową Aleksandrą).

Przyznać trzeba, że nie Edward był twórcą tej „gigantycznej" rodziny, którą widywał na zjazdach familijnych w Kopenhadze. Koburgów rozsadził na różnych tronach i skuzynował z różnemi dynastjami brat królowej matki, Wiktorji, Leopold I belgijski. Dzięki Leopoldowi i dzięki małżeństwu córek królowej Wiktorji, był Ed-

ward VII spokrewniony lub spowinowacony z dworami: portugalskim, duńskim, berlińskim, wiedeńskim, greckim i petersburskim; później, po wydaniu swojej córki za księcia duńskiego, który został królem Norwegji i po ślubie Alfonsa XIII z księżniczką Battenberg, stał się Edward angielski naprawdę tym „l'oncle de l'Europe", mile widzianym przez wszystkich ukoronowanych kuzynów, prócz siostrzeńca, Wilhelma II.

Zagadnieniami politycznemi zaczął się ks. Walji bliżej interesować w związku ze swojem małżeństwem, gdyż wkrótce po niem wybuchła wojna Niemiec i Austrji z Danją. Dwie wojny, które wydarzyły się w pierwszem ćwierćwieczu życia przyszłego Edwarda VII, pokierowały jego politycznym zmysłem. Już o wojnie krymskiej zachował Edward przez całe życie żywe wspomnienie, wojna o Szlezwig i Holsztein wywarła na nim również silne wrażenie. Pierwsza z tych wojen obudziła w księciu sympatje do Francji, druga zaś wywołała w nim silną urazę i nieufność do państwa Hohenzollernów. Wojna francusko-niemiecka 1870—1871 r. pogłębiła antypatję do Niemiec, zaś jednozgodne stanowisko Anglji i Francji na kongresie berlińskim (1878 r.) wskazało Edwardowi użyteczność dobrego porozumienia z sąsiadem z poza cieśniny. Twierdzić można z całą pewnością, że dobre stosunki z Francją były celem polityki Edwarda VII przez całe jego życie; i chociaż w tej sprawie odgrywała rolę sympatja osobista dla ludzi i rzeczy z doux pays de France, jednak decydujące znaczenie miał tutaj dla księcia dobrze przez niego rozumiany interes Anglji. Swoje międzynarodowe plany, ułożone już przed wstąpieniem na tron, postarał się Edward VII urzeczywistnić zostawszy królem; uważał, że nigdy nie jest zapóźno i cele swoje osiągnął, choć w chwili obejmowania przezeń rządów konjunktura wydawała się niepomyślną. Poddając się pierwotnie wpływom liberalnych ministrów Palmerstona i Granville'a, osiągnął jednak wkrótce książę samodzielność koncepcji i od czasu wielkiego ministerstwa

Gladstone'a, gdy Disraeli ustąpił z premjerostwa, był ks. Walji często ostrym przeciwnikiem polityki zagranicznej liberałów. Złożyło się też bardzo pomyślnie, że gdy liberałowie już za panowania Edwarda VII przyszli do władzy, ministrem spraw zagranicznych został sir Edward Gray, od szeregu lat znany królowi i wyznający poglądy raczej prawego skrzydła swojej partji.

W chwili wstąpienia na tron Edwarda VII były z Francją stosunki naprężone z powodu wojny południowo-afrykańskiej, w stosunku zaś do Rosji istniała wielka nieufność w związku ze sprawami Mandżurji, Persji, Tybetu i Afganistanu. Z Francją ułożyły się jednak dobre stosunki dzięki wizycie paryskiej króla Edwarda w r. 1903, a z Rosją, pomimo takich ewenementów, jak zbombardowanie przez flotę admirała Rożdziestwieńskiego angielskich statków rybackich w czasie wojny rosyjsko-japońskiej i pomimo gwałtownej kampanji antyrosyjskiej ze strony lewicy angielskiej, udało się jednak nawiązać porozumienie dzięki doskonałym stosunkom „wuja Bertie" zarówno z cesarzem Mikołajem, jak z ministrem Izwolskim. Podróże, odbywane zwykle dwa razy w roku przez Edwarda VII, były zawsze, gdy już został królem, ewenementami dyplomatycznymi. Przedsiębrał te podróże Edward VII ze względu na zdrowie (wiosenny wyjazd do Biarritz i jesienny do Marjenbadu) i ze względu na stosunki rodzinne (przyjazdy do Kopenhagi). Do każdej wszakże podróży dołączone były pewne tours polityczne; np. podróż do Biarritz pozwalała widywać sie z królem hiszpańskim, a nawet zawinąć do Pireusu, podróż zaś do Marjenbadu sprzyjała widzeniu się z cesarzem Franciszkiem Józefem i „narażała go" na spotkanie sie z „ukochanym siostrzeńcem" (Wilhelmem II). Krążenie „wuja Bertie" po Europie napełniało Wilhelma II i cała niemiecką opinję publiczną obawą i gniewem, gdyż ciągle podejrzewali, iż elegancki pan, wyjeżdżając z Buckingham Palace'u na objazd swoich kontynentalnych kuzynów, a choć-

by dla zdrowia, urządza na wielką skalę „Einkreisung Deutschlands". Cała polityka Edwarda VII miała na celu utrzymanie pokoju, ale nie za wszelką cenę, gdyż nie za cenę poświęcenia interesów imperjum brytyjskiego. Od czasu zaanektowania Bośni i Hercegowiny, które rozczarowało Edwarda VII do Franciszka Józefa, przewidywał Edward VII możliwość rychłego wybuchu wojny europejskiej, a w tem przekonaniu utwierdzali go spotykani zagranicą ministrowie francuscy (Clemenceau), którzy, zdając sobie sprawę z braku przygotowania Francji, chcieli zatrwożyć sprzymierzeńców, aby móc na nich więcej liczyć.

Ku końcowi panowania Edwarda VII chmury na horyzoncie międzynarodowym stawały się coraz większe, ale król mógł stwierdzić, że wprowadził w czyn swoje zamierzenia. Edward VII był człowiekiem, który umiał zrobić coś więcej, niż przystosować kolor swych skarpetek do koloru nieba w danym dniu i do swojego humoru, jak o nim mówiła lekkomyślna fama. Po upływie paru pierwszych lat panowania zaczęła opinja publiczna w Anglji i angielscy ministrowie ufać, że Edward VII jest najlepszym angielskim ministrem spraw zagranicznych i premjer angielski, Balfour, wypowiedział zdanie wszystkich, stwierdzając: „Król zrobił to, czego ani gabinet, ani ministrowie, ani ambasadorowie, ani traktaty pokojowe, ani bankierzy, ani protokuły nie mogłyby dokonać".

W sferze polityki wewnętrznej nie miał król Edward tak wolnej ręki, jak na arenie dyplomatycznej. Polityka wewnętrzna niebardzo interesowała Edwarda VII, aż do chwili, gdy wysunęły się trzy wielkie problemy, a mianowicie: irlandzki, ceł imperjalnych i kompetencji, a nawet istnienia, Izby lordów. Wobec tych zagadnień zajął Edward VII stanowisko bardzo jasne. Chociaż i jako ks. Walji i jako król, zażywał Edward VII w Irlandji pewnej popularności, jednak był on przeciwny irlandzkim tendencjom odśrodkowym; wobec wysuniętego przez konserwa-

tystów (Chamberlain) problemu ceł podzielał król umiarkowane zdanie premjera Balfoura, a co do Izby lordów, był bezwzględnym zwolennikiem zachowania zarówno jej kompetencji, jak i dożywotności członków. Król Edward niewiele miał do czynienia z parlamentem, ale zato wiele z ministrami, w szczególności zaś z premjerem. Za czasów panowania królowej Wiktorji wytworzyła się taka sytuacja, że nie ministrowie byli doradcami tronu, lecz odwrotnie; położenie to wynikło z zachowania się nietylko królowej Wiktorji, lecz i szeregu jej poprzedników z dynastji hannowerskiej, za wyjątkiem Jerzego III. W każdym razie król angielski ma wgląd we wszystkie sprawy, dotyczące żywotnych interesów państwa, a także w liczne, nawet bardzo drobne sprawy. W tej sytuacji władza bezpośrednia monarchy osłabła, przy jednoczesnem wielkiem wzmożeniu się autorytetu moralnego korony. Wszystko, co król w Anglji czyni, jako monarcha, nabrało cech wzniosłości, niezaprzeczalności i nietykalności, przyczem niektóre akty monarsze, jak udzielanie tytułów i odznak honorowych, stały się aktami wielkiej wagi. Edward VII świetnie orjentował się w zawiłej dziedzinie swoich prerogatyw, w czem mu dopomagał jego osobisty przyjaciel, lord Asher, wielki znawca angielskiej praktyki konstytucyjnej. Edward VII w sprawie swojej prerogatywy wychodził z założenia, że nie wolno jej w żadnym stopniu uszczuplać i monarchiczność ustroju należy nawet zewnętrznie jak najbardziej uwydatniać. Doskonałą ilustracją wagi, przykładanej do wszelkich posunięć królewskich, jest fakt, który zaszedł w okresie zadzierzgiwania węzłów porozumienia z Rosją. Edward VII miał się spotkać i istotnie spotkał się z cesarzem Mikołajem w Rewlu; partja pracy i radykałowie liberalni nadzwyczaj gwałtownie zaatakowali plan odwiedzenia przez monarchę angielskiego jego rosyjskiego kuzyna, który właśnie uporał się, jak umiał, z rewolucyjnymi błyskami. Edward VII z żadnego punktu widzenia nie podzielał zdania radykałów an-

gielskich i sądził, że o daleko większą niemoralność i zbrodniczość oskarżać trzeba było rewolucjonistów, niż rząd antyrewolucyjny. Otóż potępienie swoje wobec radykałów okazał król w ten sposób, że wykreślił kilku posłów radykalnych z listy gości, zaproszonych na królewską garden-party. Gdy wykluczeni z garden-party posłowie dowiedzieli się, że niezaproszenie zawdzięczają inicjatywie samego króla, wówczas przenieśli swoje oburzenie na łamy prasy i nawet na wiece polityczne; dopiero po długich pertraktacjach i przeproszeniu króla przez radykałów otrzymali zacietrzewieni posłowie wstęp na przyjęcia dworskie. Premjerowi wyrażał król swoje uznanie lub niezadowolenie bądź ustnie, bądź piśmiennie w listach, przesyłanych przez osobistego sekretarza królewskiego, lorda Knolys'a i zaczynających się od słów: „Król jest zadowolony etc. etc.", względnie „Król ubolewa, że etc. etc.". Z ministrami porozumiewał się Edward VII bezpośrednio, albo zwracał się do premjera, aby upomniał którego ze swoich kolegów.

Będąc księciem Walji, w najlepszych stosunkach był Edward VII z lordem Beaconsfield'em (Disraelim), którego opinje polityczne stale aprobował; później był także w dobrych stosunkach z liberalnym wiceministrem spraw zagranicznych, sir Dilke'em, przyjacielem Gambetty, który jednak z powodu skandali życia prywatnego zniknał z powierzchni politycznej. Z Gladstonem, Salisburym i Balfourem stosunki Edwarda VII były raczej chłodne; jako król, Edward VII był zadowolony w okresie gabinetu konserwatywnego z ministra spraw zagranicznych, lorda Lansdowne'a, a toczył spory z ministrem wojny, sirem Brodvickiem; za czasów ministerstw liberalnych Campbel Bannermana i Asquitha był król w przyjaźni z pierwszym z tych premjerów i z ministrem spraw zagranicznych, sir Gray'em, ale nie znosił (i słusznie!) Lloyd Georgea. Wogóle starał się Edward VII, już jako książę Walji, znać jak najwięcej osób, stosując zasadę „kto jesteś", a nie „skąd

jesteś". Przedewszystkiem starał się znać jak najlepiej angielski świat polityczny i mieć nawet osobistych przyjaciół wśród ministrów; w gabinecie lorda Salisburego i Balfoura takim ministrem, osobistym przyjacielem króla, był ks. Devonshire, a w gabinetach liberalnych z drugiej połowy swego panowania miał przyjaciela osobistego w postaci lorda Carringtona. Przyznać trzeba, że niektórych osobistych przyjaciół dobierał Edward VII ze względu na powierzchowny, towarzyski powab; do takich „eleganckich" przyjaciół należeli np. wspomniany już sir Dilke i francuski, karjerowiczowski trochę markiz, generał de Gallifet. Zresztą Edward VII bardzo subtelnie rozstawiał figury na szachownicy swoich stosunków osobistych; dziwiono się często, nawet sarkano, na liczne osobistości pochodzenia izraelickiego w bliskiem otoczeniu ks. Walji, a później monarchy (Cassel, Rotszyldowie, Hirsch), ale te figury zbliżał do siebie Edward VII w związku z rozporządzaniem swoimi osobistymi majątkami. Będąc wobec wszystkich niezwykle miłym, lubił jednak książę Walji i późniejszy król najlepiej towarzystwo czterech osób, o których mówiono, że tworzyły ministerstwo osobistych przyjaciół. Byli niemi: lord Asher, polityk i prawnik, sir Ernest Cassel, finansista, markiz de Soveral, ambasador portugalski i lord Knolys, sekretarz osobisty. Nie zachowało się żadne nazwisko specjalnie w jakiś sposób wyróżnionej damy w otoczeniu następcy królowej Wiktorji, tylko ogromna ilość listów, skierowywanych do lady Londonderry, wskazuje, że monarcha lubił z nią dzielić się wrażeniami.

Płytkość i złe poinformowanie opinji publicznej stwarzały przez szeregi lat niewłaściwe pojęcie o najwybitniejszym, jak dotąd, monarsze 20-go wieku. O jego długach, grze w karty i nocach paryskich krążyły najbardziej przesadne i dziwaczne wieści, czego obrazem jest choćby następująca, umieszczona w jednej ilustracji z końca zeszłego wieku: John Bull w tradycyjnym stroju z r. 1840 pyta

się Edwarda VII, wracającego z zagranicy: „Cóż, dobrze poszły interesy?“ Na to Edward VII odpowiada: „Ubawiłem się doskonale“. Dopiero po szeregu lat opinja europejska i światowa poznały, jak poważnym i subtelnym był twórca Trójporozumienia, ten główny skrzypek koncertu europejskiego z pierwszego dziesiątka lat bieżącego stulecia. Szybka orjentacja, zdolność do wydawania objektywnego, jasno sformułowanego sądu, przenikliwość i niezwykły takt, godzący dobroduszność z majestatycznością, pracowitość i wytrwałość — oto cechy charakteru Edwarda VII; cechy te są zaletami i dzięki nim realizował ten monarcha angielski swoją sentencję o sobie: „Mon métier est d'être roi“. Pod wieloma względami przypominał Edward VII Ludwika XIV i gdy się czyta charakterystykę Króla-Słońca, podaną w „Mémoires“ wrogiego zresztą Ludwikowi ks. de Saint-Simon, to wydaje się, jakgdyby Edward VII naśladował Ludwika XIV zarówno w stosunku do swego „rzemiosła królewskiego“, jak w stosunkach z ludźmi. „Przez pracę się króluje“ oświadczył Ludwik XIV, „Ja będę pracował do końca“ szeptał już w agonji Edward VII. Oczywiście Ludwik XIV nie potrzebował utrzymywać stosunków z żadnym prezydentem republikańskim; w innem położeniu był Edward VII, ale wywiązywał się ze swego zadania naprawdę w stylu Króla-Słońca. „Kochany panie Roosevelt“ pisywał monarcha angielski do prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i otrzymywał na swe listy odpowiedzi, zaczynające się od słów: „Mój kochany królu Edwardzie“. Nigdy nie zapominając i nie pozwalając zapomnieć, że jest królem, myślał jednak czasami Edward VII, kim byłby, nie urodziwszy się następcą tronu: „Wybrałbym sobie zawód ogrodnika“ powiedział kiedyś swoim przyjaciołom: ogrodnictwo nie jest ostatecznie zawodem, bardzo różnym od rzemiosła królewskiego i monarchowie często nazywali siebie ogrodnikami swoich królewskich dziedzin.

W szczegółach życia osobistego był Edward VII ro-

dzajem Petronjusza na tronie, był pełny joie de vivre i umiarkowanej tolerancji. Pozwolimy sobie tutai przytoczyć charakterystykę Edwarda VII, podaną przez Labadie-Lagrave, pisarza francuskiego, współczesnego Edwardowi i znakomicie poinformowanego o polityce międzynarodowej oraz życiu angielskiem: „Rzadko kiedy zachodzi podobna harmonja między charakterem człowieka a rolą, która mu jest wyznaczona. Edward VII wypełnił znakomicie swoją misję. Nigdy nie wypowiedział słowa, którego później mógłby żałować. Po czterdziestu latach przygotowywania się (apprentissage) wstąpił on na tron otoczony blaskiem powszechnej sympatji. Po wstąpieniu na tron, Edward VII, jako król i człowiek, zabrał sie do urzeczywistnienia wielkiego przedsięwzięcia w dziedzinie polityki międzynarodowej. Syn królowej Wiktorji użył swego talentu dyplomatycznego i swego osobistego uroku na rzecz Pokoju".

Czy w swoich planach zorganizowania stałego pokoju rozważał Edward VII sprawę polską, o tem nie jesteśmy poinformowani. Podobno jednak, gdy pewien zmarły w roku bieżącym Polak złożył bawiącemu wtedy na Riwierze królowi memorjał w sprawie Polski, to memorjał ten w tydzień później został wydrukowany przez londyński „Times". Oczywiście, powstanie z r. 1863 nie uszło uwagi dojrzałego już wtedy księcia; nie można w żadnym razie przypuszczać, aby Edward VII miał o sprawie polskiej takie poglądy, jak ks. Metternich, konfident w polityce zagranicznej Leopolda belgijskiego, tego poprzednika Edwarda VII w roli „Wujaszka Europy". Człowiek, który z powodu długości swego życia, swojej sytuacji i swojej wybitnej umysłowości, musiał ujmować sprawy wszechstronnie i zasadniczo, nie pochowałby pewno sprawy polskiej, gdyby za jego panowania wypłynęła na arenę międzynarodową w taki choćby sposób, jak za rządów lorda Palmerstona. W każdym razie sympatje ze strony Polaków dla wielkiego monarchy angielskiego są, nietylko

z czysto ludzkiego punktu widzenia, zupełnie usprawiedliwione, gdyż Edward VII zdążył przed śmiercią zrobić wszystko, aby wynik wojny zakończył się odzyskaniem niepodległości przez Polskę, choć oczywiście takiego celu Edward VII bezpośrednio przed sobą nie widział.

Na zakończenie nie możemy się powstrzymać od przytoczenia pewnej opinji prezydenta Roosevelta, która z całą słusznością daje się zastosować do Edwarda VII i którą postać Edwarda napewno inspirowała: „Król, to żyjący sztandar narodu. Tylko szaleniec może mówić o sztandarze, jako o kawałku farbowanej materji, bo sztandar jest symbolem o olbrzymiem znaczeniu w życiu i w myślach narodu".

Leszek Gembarzewski.

POD ZNAKIEM PRAWDY POLSKO-UKRAIŃSKIEJ.

Za zgodą Redakcji naszego pisma pragnę poinformować z żywem zadowoleniem ogół jego czytelników, że akcja zbliżenia pewnych sfer polskich i ukraińskich, stojących na platformie katolickiej i konserwatywnej, którą zainicjowało od roku zgórą Koło Przyjaciół Naszej Przyszłości, rozwija się planowo i tak już pomyślnie, że w ostatnim czasie nastąpiło już bliższe zetknięcie i w pewnym stopniu porozumienie szerszego grona wybitniejszych działaczy z jednej i z drugiej strony — porozumienie przedewszystkiem co do współdziałania w pewnych pozytywnych kierunkach, bez rokowań i targów, jakie cechowały dotąd nieproduktywnie różne próby zbliżenia polsko-ukraińskiego na platformie partyjno-demokratycznej. A idea i fakt tego zacieśniającego się porozumienia wyłoniły z siebie projekt stworzenia instytucji w rodzaju „Towarzystwa naukowego polsko-ukraińskiego".

Projekt ten znajduje się obecnie w stadjum rozważań zasadniczych i zasługuje w każdym razie na bliższa uwagę tych wszystkich Polaków i Ukraińców, którzy są w stanie zdać sobie sprawę, że w stosunkach, jakie ewolucja historyczna między obu narodami wytworzyła, najskuteczniejszą podstawą, startem i warunkiem jakiegokolwiek racjonalnego rozwiązania problemu współżycia obu narodów i zarazem wyjścia z wzajemnego impasu może być tylko wstąpienie pewnej elity inteligencji z jednej i drugiej strony na platformę zachowawczego myślenia i zachowawczej metody działania.

O co chodzi inicjatorom projektu, wysuniętego pod nagłówkiem „Towarzystwa naukowego polsko-ukraińskiego"?

Chodzi przedewszystkiem o to, aby stworzyć jakiś trwały, a poważny i nie drażniący politycznie ośrodek współpracy polsko-ukraińskiej nad naszym wzajemnym, wielce zawiłym problemem narodowościowym specjalnie w obrębie katolickiej Małopolski Wschodniej, czyli — używając terminologji „Naszej Przyszłości" — Rusi Czerwonej. Dorywcze bowiem próby porozumiewania, wysiłki poszczególnych osób, okolicznościowe zjazdy, a nawet rokowania stronnictw z obu stron, mogące urywać się pod wpływem lada konjunktury, nie dają żadnej perspektywy ciągłości i systematyczności, od których w takich kwestjach osiągnięcie jakiegokolwiek pozytywnego rezultatu szczególnie zależy. Jeżeli współpraca ma być trwała, to musi oprzeć się na jakimś trwałym ośrodku, trzeba stworzyć jej jakieś systematycznie działające narzędzie.

To jedno. A powtóre, ośrodek taki musi być w danych warunkach ośrodkiem przedewszystkiem naukowym, aby rozwiązać, stwierdzić i ustalić wzajemnie, w sposób objektywny, faktyczny stan rzeczy między obu narodami w przeszłości i teraźniejszości i móc następnie wyciągnąć pewne, również objektywne wnioski i wskazania na przyszłość. Tego pierwszorzędnego w stosunkach polsko-ukraińskich zadania nie wykona oczywiście nigdy polityka, choćby najmądrzejsza. Wykonać je mogą przekonywająco, autoratywnie, tylko ściśle objektywne badania naukowe, które jedyne są w stanie różne wątpliwości i ciemności rozprószyć i prawdę ustalić.

Chodzi bowiem przedewszystkiem o wyłuskanie i stwierdzenie prawdy we wzajemnej historji obu narodów. Wszak walczący ze sobą ogół polsko-ukraiński prawdy tej nie zna wcale i dlatego właśnie — ze sobą walczy i wzajemnie się nienawidzi. Podręcznikowe dzieje polsko-ukraińskie, a często nawet i różne prace „źródłowe", są z reguły tak spreparowane na platformie różnych tendencji politycznych, że nawet poważniejsze z nich robią wrażenie, jakgdyby były sklecone i zretuszowane celowo dla roz-

jątrzenia przeciw sobie obu narodów. Rezultatem tej fałszywej „szkoły historycznej“, złożonej notabene z niezmiernej ilości różnych „szkółek“, najczęściej nieszczerych, albo wprost kłamliwych, jest ta ustawiczna jakgdyby „histerja“ we wzajemnych uczuciach polsko-ukraińskich, która płodzi z obu stron ciągle skrajnych polonofobów lub polonofilów względnie ukrainofobów i ukrainofilów, często zależnie od tego, jaką kto z nich broszurę propagandową lub pracę „źródłową“ właśnie przeczytał i nią się nastroił.

Otóż na miejsce tych wszystkich szkół i szkółek historyczno-demagogicznych, gdzie historja przechodzi w histerję, powinna powstać i ugruntować się mocno pewna jednolita, umiarkowana, ściśle objektywna, a prawdziwie naukowa szkoła historyczna, któraby raz wreszcie prawdziwą prawdę stwierdzać i głosić zaczęła. Nie może ulegać żadnej kwestji, że taka szkoła poważnych pisarzy i badaczy, pracujących sine ira et studio, musi przynieść obu stronom otrzeźwienie i uspokojenie. Bo tylko kłamstwo, ad usum polityki spreparowane, płodzi nienawiść, prawda nigdy! Prawda wywołuje wzajemny rachunek sumienia i budzi organiczny pęd do jakiegoś realnego, pozytywnego kształtowania stosunków.

A my przecież, Polacy i Ukraińcy XX-go wieku, żyjemy — w dziedzinie wzajemnej historji — legendami na wzór Krakusa i Wandy, co to utopiła się w Wiśle, bo „nie chciała Niemca“! Warto więc poznać, jak to tam naprawdę było i na Rusi Czerwonej i na Dzikich Polach, albo i przedtem jeszcze!

Podobnie wartoby bliżej wniknąć w problem stosunków społecznych i gospodarczych na Rusi Czerwonej, a zwłaszcza w problem stosunków religijnych, Unji i t. d. Niby coś o tem wiemy, ale właściwie nic nie wiemy. W każdym razie nie zdajemy sobie wzajemnie sprawy z doniosłości i dynamiki historycznej takich czy innych zjawisk, prądów lub zamierzeń religijnych, gospodarczych, społecznych, administracyjnych i ogólno-politycznych na Rusi Czerwo-

nej, nie mówiąc już o tem, że wprawdzie inteligencja ukraińska ma mniej lub więcej pojęcia, nieraz nawet gruntowną znajomość polskiej literatury i kultury, ale zato polska inteligencja — z niewielu wyjątkami — nie ma o ukraińskiej literaturze i kulturze żadnego dokładniejszego wyobrażenia.

I w takich to warunkach chcemy tworzyć jakieś „współżycie obu narodów"! Jakże można chcieć współżyć i współpracować z kimś, kogo się nie zna wcale i właśnie dlatego o różne niecne zamiary się podejrzewa?!

Wobec tego nie potrzeba chyba dalej argumentować, jak niezbędnem z punktów widzenia obu narodów, a zwłaszcza ich warstw umiarkowanych, jest jaknajrychlejsze powstanie instytutu, czy zespołu, czy narazie choćby tylko jakiegoś systematycznego prądu wzajemnych badań naukowych!

Ale — i w tem leży sedno skuteczności takiej instytucji — wzajemna współpraca naukowa polskiej i ukraińskiej elity umysłowej, jeżeli ma mieć jakiś pozytywny sens i rezultat, musi koniecznie oprzeć się na jakimś zdecydowanym światopoglądzie. Musi zerwać z fałszywą tezą, jakoby ścisła nauka mogła być „neutralną", a więc pozbawioną z zasady jakiejś ogólno-politycznej i ogólno-społecznej podstawy. Taki bowiem postulat, przez naukowców zresztą stereotypowo i może zbyt skwapliwie powtarzany, jest i niemożliwy do spełnienia i — powiedzmy prawdę — nieszczery.

Każda myśl i działalność ludzka na polu wiedzy, czy pracy publicznej, musi oprzeć się na jakimś określonym, wyraźnym światopoglądzie, jeżeli ma osiągnąć jakieś konkretne rezultaty. Odnosi się to zwłaszcza do nauk o charakterze moralnym, polityczno-społecznym lub gospodarczym. Jasnem jest chyba i nie wymaga bliższej argumentacji, że najobjektywniej nawet traktowane kwestje religijne, historyczne, ustrojowe, ekonomiczne lub społeczne całkiem inaczej wyglądać będą pod kątem widzenia umiaru —

a więc konserwatyzmu w szerokiem tego słowa znaczeniu — a inaczej pod kątem widzenia społecznego radykalizmu, czy socjalizmu. Nie masz tu żadnej drogi pośredniej i silenie się na t. zw. neutralność jest zawsze fikcją, frazeologją, bez żadnego pozytywnego rezultatu.

Charakterystyczne w tej sprawie słyszeliśmy kiedyś zdanie pewnego uczonego, profesora ekonomji. Oświadczył, że jest wprawdzie z przekonań konserwatystą, ale mając w swych seminarjach szeroką skalę uczniów, od konserwatywnych katolików aż do komunistów, zajmuje wobec nich wszystkich stanowisko neutralne, aby ich tą taktyką do swych zasad i wykładów przekonać.

Dziwna zaiste taktyka, która zachowuje się neutralnie wobec dobrego i złego i wszystko na równi traktując, sądzi, że coś zdziała! Ależ taki profesor nigdy niczego nie zdziała, nie stworzy żadnej szkoły, nie zainicjuje żadnego kierunku. Będzie zawsze tylko miernotą, a jego wykłady i dzieła na modłę „ekonomji neutralnej“, pozbawione wszelkiego zdecydowanego zdania i poglądu, będą tylko mizerną, sztuczną kompilacją wszelkich możliwych cudzych doktryn i zapatrywań i dlatego bez wartości dla rozwoju wiedzy.

W jeszcze większym naturalnie stopniu odnosi się to do spraw religijnych i moralnych, zależnie przedewszystkiem od tego, czy się uznaje lub nie uznaje Boga.

Stąd prawdziwie produktywna i szczerze traktowana nauka może wprawdzie i powinna stać zdala od wszelkich partji politycznych, ale musi stanąć na platformie jakiegoś zdecydowanego światopoglądu, przynajmniej w najogólniejszych zasadach. Inaczej — powtarzamy — będzie fikcją, zawieszoną w powietrzu i nigdy niczego nie dowiedzie.

Dlatego i projektowane stowarzyszenie naukowe polsko-ukraińskie, czy szkoła historyczna, pragnąca osiągnąć pewne cele (bo bez celu szkoda wszelkiej fatygi!), musi

oprzeć się także na pewnym ogólnym światopoglądzie. A ponieważ chodzi o zastosowanie metody jaknajwiększego objektywizmu i umiaru, celem dotarcia do prawdy i ugruntowania na tej prawdzie przyszłego stosunku obu narodów, więc stwierdzić należy zgóry, że stosunkowo największe gwarancje objektywnego podchodzenia do zagadnień i wyłuskiwania prawdy ze splotu stosunków i dziejów daje bez żadnej wątpliwości światopogląd zachowawczy, oczywiście zachowawczy w znaczeniu zasad, a nie w znaczeniu jakiejś partji politycznej lub obrony pewnego stanu posiadania.

Projektowane więc Towarzystwo naukowe polsko-ukraińskie musi być natchnione duchem konserwatywnego objektywizmu, bo przecież radykalizmem jakiegokolwiek odcienia nietylko nie osiągnęłoby wyżej nakreślonych celów, ale przeciwnie, zagmatwałoby prawdę i rozjątrzyło jeszcze bardziej stosunek wzajemny obu narodów. A przytem musi być natchnione duchem prawdziwie i głęboko katolickim. Bo tylko nauka katolicka niesie ze sobą integralną ideę miłości bliźniego i pokoju. Nie jest możliwem trwałe pogodzenie dwóch narodów, jak tylko na podstawie zasad Wiary. Ugoda, zawarta na podstawie li tylko pociągnięć politycznych lub korzyści gospodarczych, nie miałaby żadnych warunków trwałości — rozwiałaby się przy pierwszej zmianie konjunktur.

Dlatego, popierając najgoręcej ideę Towarzystwa, czy choćby tylko szkoły lub prądu literacko-naukowego wśród elity polsko-ukraińskiego intelektu, stawiamy stanowczo tezę, że zamierzony cel osiągnie taka akcja czy organizacja tylko na wyraźnej platformie ogólno-zachowawczego objektywizmu.

Zachodzi wreszcie pytanie, jak projekt taki praktycznie zrealizować?

Otóż w odpowiedzi na to pytanie, w samem zapoczątkowaniu tego zamierzenia, ujawni się dowód, czy istnieją

po obu stronach przedstawiciele umiarkowanego intelektu, którzy pragną naprawdę normalizacji stosunków polsko-ukraińskich? Bo na początku realizacji każdego zamierzenia musi być mocna i szczera wola. Bez niej żadne wzajemne enuncjacje, ani nawet utworzone już formalnie organizacje, nie wydadzą pożądanego rezultatu.

To też powstanie formalnie zorganizowanego Towarzystwa naukowego polsko-ukraińskiego winno być — zdaniem naszem — nie zapoczątkowaniem, ale raczej ostatecznem ukoronowaniem wzajemnej dobrej woli oraz faktów, przez nią dokonanych. Towarzystwo powstać musi najpierw faktycznie, zanim utrwali je ostatecznie taki czy inny statut pod względem formalnym. Musi najpierw utworzyć się samorzutnie, niejako organicznie, ruch naukowo-badawczy w elicie polsko-ukraińskiego intelektu, musi zacząć płodzić artykuły, rozprawy, dzieła, musi urabiać kierunek myślenia równolegle w obu narodach, a wówczas dopiero faktycznie już działająca szkoła będzie mogła skutecznie przybrać na zewnątrz kontury organizacyjne. Słowem, musi zdać najpierw egzamin, zanim otrzyma formalne świadectwo z pieczęcią. Tylko taka geneza polsko-ukraińskiej szkoły naukowej będzie zdrową, poważną i produktywną. Zaczynanie zaś od statutów, zarządów i zebrań formalno-reprezentacyjnych nie przekonałoby nawet uczestników takiego zespołu o istnieniu rzeczywistej jego potrzeby, a spaliwszy ewentualnie na panewce, mogłoby zadać na długie czasy poważny cios idei normalizacji stosunków na katolickiej Rusi Czerwonej i polsko-ukraińskich wogóle.

Wychodząc więc z powyższych założeń i mając w pamięci, że czas, to nietylko pieniądz, ale i wielki walor w każdem znaczeniu, pozwalamy sobie wystąpić z apelem do wszystkich przedstawicieli intelektu i wiedzy w polskiem i ukraińskiem społeczeństwie, którzy uznają n a s e r j o potrzebę powstania wyżej nakreślonej szkoły naukowej polsko-ukraińskiej, idącej w imię prawdy dziejowej, a opar-

tej na ogólnym światopoglądzie zachowawczym i katolickim, aby zechcieli równocześnie rozpocząć badania, a potem chwycić za pióra i tworzyć dzieła naukowe z każdej dziedziny, natchnione wielkim, realnym celem wzajemnego bliższego poznania się i uzgodnienia racji stanu obu, w istocie najbardziej w wielkiej rodzinie słowiańskiej pokrewnych sobie narodów.

Uczestnik sekcji ukraińskiej
Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“.

METODA W SZALEŃSTWIE.

Słowo kryzys powtarzają dziś wszyscy. Taka jest moda. Wytarte przez tyle ust straciło nawet już swą barwę, kształt i smak właściwy. Urosło, a raczej spuchło przez to ciągłe obijanie się wśród ludzi, do wielkości jakiegoś metafizycznego koszmaru.

Zgoła niepotrzebnie. Kryzys nie jest bynajmniej rzeczą nie z tego świata. Jest perjodyczną słabością ludzkości. Ludzie wywołali kryzys — jak ktoś złośliwie powiedzia: „wyprodukowali" — i ludzie mogą go też przezwyciężyć, wyeksmitować gdzieś w przestrzenie międzyplanetarne.

Jeśli największą sztuką jest umiejętność życia — jak powiedział lord Paradoks — to kryzys świadczy wymownie, że ten najwyższy artyzm jest najmniej powszechny.

Któż z nas nie oglądał fortepianu Chopina? Nic osobliwego, ostatecznie! Podłużne pudło, lakierowane na kasztanowy kolor. Trochę kości słoniowej na klawiszach. Trochę drutu, wyciągniętego w struny. Trzy baryłkowate nogi. Cud muzyki Chopina niewątpliwie nie jest zaklęty w tem pudle. Jest to narzędzie, bardzo niedoskonałe, które uszlachetnił i wykorzystał dopiero genjusz mistrza. A zresztą i najnowocześniejszy instrument sam przez się nie stworzy jeszcze wielkiej muzyki...

Całe życie gospodarcze świata i Polski przypomina mi także takie martwe pudło fortepianu. Gdzież jest mistrz, który wydobędzie z niego nową harmonję?

Oczywiście nasz współczesny fortepian gospodarczy jest więcej skomplikowany, bardziej olbrzymi, niż dawniej. Ale byłoby ubliżeniem rozumowi człowieka, gdyby zrezy-

gnował z opanowania kryzysu harmonji gospodarczej. Nie jest przecież koniecznością powtarzanie historji wieży Babel.

Palącem zadaniem w chwili obecnej staje się przezwyciężenie kryzysu — to znaczy osiągnięcie wyższej umiejętności życia, która pozwoli na harmonijne wykorzystanie dóbr gospodarczych przez wszystkich. W tym kierunku kryzys jest niewątpliwie szkołą umiejętności życia.

Jakież są jego najcharakterystyczniejsze objawy? Bezczynność kapitałów i bezczynność rąk — brak pracy. Niemożność, nieumiejętność powiązania kapitału z pracą na płaszczyźnie godziwego zysku obu stron jest właściwie kwintesencją kryzysu. Skoro bowiem przyrost bogactw, do których pomnażania przez pracę wzywane są wszystkie społeczeństwa, jest swego rodzaju celem, to jakże można go osiągnąć, skoro całe miljony ludzi pozostają bez pracy wbrew swej woli, wbrew przyrodzonej potrzebie pracy?

Warsztaty pracy istnieją, niby ów fortepian, potrzeby społeczno-gospodarcze są olbrzymie (większe chyba od potrzeb estetycznych). Niema tylko mistrzów, zdolnych wydobyć harmonję gospodarczego współżycia. Tak dalej być nie może!

Warştztat naszego życia gospodarczego nie może pozostać niemy i bezczynny, gdy jednocześnie miljony ludzi są głodne i nagie. Hasło ograniczenia życia gospodarczego, co się zwłaszcza wyraża w polityce deflacji, nie jest zatem zasadą, na której moglibyśmy w tych warunkach oprzeć się na stałe.

Rozumiemy zresztą deflacjonistów, tych w praktyce chorążych defetyzmu gospodarczego. Gdy podniecony owsem inflacji rumak gospodarki rozbrykał się i zwalił ich do rowu, wystraszeni poczciwcy zarzekają się wogóle konnej jazdy.

To szaleństwo! — wołają przerażeni.

Zapewne, jest w tem pewne szaleństwo i ryzyko. Ale bo też tylko śmiałym sprzyja fortuna.

Oczywiście świat musi się najpierw nieco podleczyć ze skutków upadku do rowu kryzysu, musi opanować chorobę nadmiernej inflacji, która, zwłaszcza w zakresie produkcji rolniczej, doprowadziła do absurdalnej hipertrofji (choćby te światowe zapasy pszenicy na dwa lata). Gdy to nastąpi, dopiero wówczas radzimy dosiąść rumaka ekspansji gospodarczej. W przeciwnym razie byłoby to rzeczywiście stuprocentowe szaleństwo. Głupstwem jednak byłoby rezygnowanie c a ł k o w i t e ze wzmożenia życia gospodarczego.

Aby uniknąć tych dwu ekstremów: głupiego zalęknienia i szaleńczego rozmachu, wysunęliśmy dosadne pojęcie metody w szaleństwie.

Czasy sielanki rzemiennego dyszla minęły bezpowrotnie, nowe życie ma coraz bardziej zawrotne tempo. Chodzi więc o wykrycie zdrowej formuły wzrostu tego tempa, tak, by nie groziła nam raz po raz katastrofa. Teorje katastrofizmu dziejowego, jak dotąd, były usprawiedliwione, ale nie znaczy to chyba, że i na przyszłość katastrofy społeczno-gospodarcze mają być koniecznym składnikiem dziejów ludzkich, a zwłaszcza nie jest chyba niedorzecznem usiłowanie ograniczenia ich niebezpieczeństwa, jak ograniczeniem niebezpieczeństwa powodzi jest regulacja biegu rzeki.

Chodzi o to, by wydobyć nareszcie z instrumentu gospodarki ludzkiej wielką symfonję patetyczną, wyrażającą zdrowy rozmach życia, by zgłuszyć do pewnego minimum wszystkie tragiczne akcenty biedy i nędzy, głodu i chłodu, słowem, opanować katastrofę kryzysu i pokryć ją nową falą rozumnej ekspansji gospodarczej.

Skoro wysunęliśmy pojęcie symfonji życia gospodarczego, to automatycznie wynika stąd zasada pewnego umiaru, pojęcie w ł a ś c i w e g o t e m p a w z m a c n i a n i a e k s p a n s j i g o s p o d a r c z e j.

Jeśliby hasło ekspansji życia gospodarczego wyglądało dzisiaj na ryzykancki poryw szaleństwa, to straci ono ten

przypadkowy posmak, skoro podniesiemy je na fundamencie wspomnianej zasady umiaru. Co to znaczy w praktyce? Znaczy to, że całość życia gospodarczego musi być oparta na jednym mianowniku, że założenie całej gospodarki musi być wspólne.

Wspólny mianownik? Cóż to za nowe czcze gadanie? Tylko napozór. Kto wmyśli się w to pomieszanie języków doktryn ekonomicznych, w to pomieszanie stylów gospodarczych na tych samych odcinkach życia, te niezdrowe konkubinaty kapitalizmu i socjalizmu, te inwazje etatyzmu na uprawne pola ekonomji liberalistycznej, te zapożyczenia się od komunizmu dla niepoznaki i zdezorjentowania krewnych „ochrzczonego" — kto przebiegnie krytycznem okiem cały ten dotychczasowy bałagan koncepcji, dążeń i usiłowań ekonomicznych, ten zgodzi się z nami, że tak dalej być nie może. Potrzeba wspólnego mianownika doktryny ekonomicznej jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia. Trzeba ustalić wyraźnie, czem ludzkość chce być pod względem ustroju społeczno-ekonomicznego? Czem chce? Raczej czem musi być, zważywszy na nieubłaganą logikę dyspozycji duchowych, społecznych i ekonomicznych jej rozwoju. Wszelki tępy doktryneryzm musi zostać bez litości zlikwidowany. Cóż więc zostanie w tym wspólnym mianowniku? Kilka podstawowych prawd, które poprzez wieki wykazały swą spiżową wartość. A więc prawo własności i obowiązek godziwego jej wykorzystywania, wypływające stąd prawo bogacenia się, przyrostu majątku, nie ograniczone miażdżącemi ustawami fiskalnemi, chociaż ograniczone zasadą g o d z i w e g o zysku. Dalej prawo pracy dla wszystkich, czyli umożliwienia ekspansji gospodarczej każdej jednostce fizycznej i gospodarczej przy uwzględnieniu wyżej wyłuszczonych zasad.

I to byłoby prawie wszystko, co w tym mianowniku należy pomieścić. Niestety, któż u nas zdaje sobie sprawę z potrzeby takiego wspólnego mianownika zasad gospodarczych? Tego, niestety, u nas się nie rozumie. A wskutek

tego nie robi się nic dla sprawy sharmonizowania życia gospodarczego. Hasła rewizjonistyczne, które padają, czuć gorączką kryzysu, brak im światła przytomnego rozumu.

Weźmy choćby tak bardzo popularną sprawe nożyc.

Wszyscy się wysilają nad ich zamknięciem. Rzadko kto jednak zdaje sobie sprawę z istotnych przyczyn chorobliwego ich rozwarcia, a przez to tak trudno o właściwą receptę.

Niewątpliwie najbłędniejszą z nich jest recepta, głosząca konieczność jednoczesnej zwyżki cen płodów rolniczych przy zniżce cen produktów przemysłowych. W tej niedorzecznej koncepcji — jak to słusznie napiętnował jeden z b. naszych ministrów rolnictwa, Raczyński — mamy zupełne pomieszanie dwu stylów: inflacyjnego i deflacyjnego. Jest wierutnem głupstwem przypuszczenie, że na tej drodze uda się zamknąć nożyce. Jest niemożliwem, aby zboże szło w górę, a wyroby przemysłowe w dół. Kierunek w dół, ewentualnie w górę, może i musi obowiązywać wszystkich, albo nikogo.

Dobrze, cóż więc począć?

Przyjrzyjmy się baczniej tym nożycom, aby stwierdzić, co nie pozwala na ich zamknięcie. Już powierzchowna obserwacja wskazuje, że wdarł się między ich ramioną szkodliwy intruz, który tamuje ich zbieżny ruch. Któż to? Paskarskie, nadmierne pośrednictwo handlowe. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że pewne kategorje płodów rolnych, jak np. nabiał, wykazują różnicę w cenie u producenta w porównaniu z ceną zbytu w detalu, sięgającą 300 do 400 procent — to łatwo stąd przychodzi wysnuć wniosek, gdzie tkwi główna przyczyna rozbieżności poziomów cen. Tego rodzaju pośrednictwo handlowe, wytwarzające podobne anomalje, jest pasożytem społeczno-gospodarczym, który musi być w sposób bezwzględny zlikwidowany. Podobnie przedstawiają się rzeczy, jeśli chodzi o handel wyrobami przemysłowymi. Nic dziwnego, że wywołuje to katastrofalną rozpiętość cen detalicznych, gdy cennik hur-

towy obu zasadniczych gałęzi produkcji jest naogół dość zrównoważony.

Oczywiście, że nakreślona powyżej sytuacja przeczy zasadzie umiaru i rytmu gospodarczego, którą wysunęliśmy na czoło.

Jaką jednak należy dać dyrektywę w zakresie kształtowania się cen? Zdaniem naszem, ceny winny i muszą kształtować się zniżkowo i to bez żadnych przywilejów dla tych, czy dla owych. Conajwyżej wysunie się znów kwestja właściwego tempa w przeprowadzeniu tej tendencji, aby nie wywołała krzywdy tego lub owego działu produkcji.

Fakt istnienia cen sztywnych, uprzywilejowanych, musi zostać przełamany. Nie oponując przeciw samej koncepcji karteli, musimy tu kategorycznie przeciwstawić się ich dyktaturze cennikowej, która, podobnie jak dyktatura paskarskiego handlu, psuje rytm gospodarczy, wykrzywia linję rozwoju życia społeczno-gospodarczego. Czem się np. tłomaczy fakt, że węgiel polski jest droższy od angielskiego, jakkolwiek cena robocizny jest w Polsce niższą w porównaniu z Anglją o 10 procent, a koszty handlowe są również znacznie niższe? Na to pytanie łatwo jest dać odpowiedź, o ile nie jest się bałwochwalcą monopolu.

Hasło obniżenia cen jest nakazem zdrowego rozsądku gospodarczego.

Przeprowadzenie tego hasła nie może nikogo ominąć i oszczędzić.

A więc nie mamy tu zamiaru stwarzania jakiegoś przywileju dla rolnictwa. Wyjście z jego ciężkiego położenia, na które niewątpliwie składają się i takie czynniki, jak niedorzeczny system fiskalny i ubezpieczeniowo-społeczny, zła organizacja kredytu, zwłaszcza długoterminowego, znajduje się przedewszystkiem na linji obniżenia kosztów własnych, a przez to potanienia produktu.

Czy jest to możliwe? Czy nie wymagamy jakiegoś

heroizmu od rolnika, który ma torować drogi, przez wszystkich zaniedbane?

Bynajmniej. Przemawiamy tu tylko w imię zdrowego rozsądku. Nie wołamy tu o żaden cud, jeno o nową, lepszą organizację produkcji, o odsunięcie z niej tego wszystkiego, co dotąd było na łasce przypadku i żywiołów. Wiemy wszyscy, jakie straty poniosło rolnictwo w niektórych częściach kraju z powodu klęski t. zw. rdzy. Czy klęska ta była rzeczywiście „koniecznością dziejową", której ani przewidzieć, ani odwrócić nie można?

Pozwalamy sobie w to wątpić — jak najkategoryczniej.

Zanim odpowiemy na to pytanie, uczynimy małą dygresję w kierunku położenia rolnictwa w Niemczech. Sytuacja jego jest identyczna, jeśli nie gorsza od losu rolnictwa naszego. Zadłużenie tego rolnictwa, zwłaszcza w Prusach, idzie w miljardy i dawno już przekroczyło wartość substancji majątkowej. Trudno sobie wyobrazić, by w tych warunkach nie nasuwała się rolnikom niemieckim łatwa formuła ratunku, by nie pojawiał się na ich ustach desperacki krzyk: „Giniemy!". Formuła ta brzmi stereotypowo: „Ulgi podatkowe. Barjera celna. Zniżka cen przemysłowych etc.". Znalazło się jednak w Niemczech grono ludzi, które mówi na to: nie tędy droga!

Zajęto się, z właściwą Niemcom pedanterją, przestudjowaniem warunków egzystencji rolnictwa. Wyniki tych badań są wręcz rewelacyjne. Z przesadną może skrupulatnością wyliczono, że rolnictwo może zaoszczędzić na kosztach własnych dwa miljardy marek.

Cały ten problem wyświetlił naukowo inż. Kauth. Stwierdza on, że dalsze śrubowanie cen wytworów rolniczych w Niemczech nic rolnikowi nie pomoże. Przeciwnie, doprowadzi jedynie do spadku konsumpcji. Pozostaje więc, jako jedyna, logiczna droga wyjścia: zniżka cen. Skoro jednak przy dotychczasowym stanie kosztów produkcji nie można myśleć o zniżce cen, nasuwa się stąd wniosek o konieczności obniżenia tych kosztów.

Inż. Kauth stwierdza, że nieopłacalność produkcji wynika z różnych przyczyn. 1) Z niskich plonów, spowodowanych wysiewem zboża, zanieczyszczonego chwastami i zakażonego grzybkiem i t. p. Aby temu zapobiec, należy systematycznie bejcować zboże siewne, nie mówiąc już o konieczności używania najwyższych gatunków, przystosowanych do gleby. W tej dziedzinie inż. Kauth radzi nawet zaprowadzić prawny przymus bejcowania. 2) Z nieodpowiedniej hodowli bydła i drobiu, przy którego karmieniu ledwie znikoma część paszy zamienia się na mięso, tłuszcz czy mleko (podobnie, jak ledwie 5 procent spalanego pod kotłami węgla zamienia się w energję mechaniczną). Koniecznością jest zracjonalizowanie hodowli, do której potrzeb należałoby m. in. przystosować zabudowania gospodarskie.

Przypuśćmy, że przewidywane stąd korzyści dla rolnictwa niemieckiego obliczone zostały zbyt optymistycznie i „okrągło" na sumę aż 2 miljardów. Każdy jednak przyzna, że korzyści niewątpliwe można stąd osiągnąć, już choćby dlatego, że zostanie przełamany front bezmyślnego oglądania się na pomoc z zewnątrz, a natomiast pomoc ta wyłoni się „we własnym zakresie". Pomóż sam sobie, a pomogą ci także inni.

Jak więc widzimy, trzeba przebudować całe nastawienie psychologiczne i gospodarcze rolników, trzeba, aby punktu wyjścia dla polepszenia upatrywali nie w podniesieniu cen zboża, ale w jego potanieniu przez redukcję kosztów własnych.

Tego rodzaju założenie idzie nam na pierwszy rzut oka contre coeur, ale trzeba tu pamiętać, że sama negacja tej naglącej konieczności życiowej i gospodarczej nic tu nie poradzi. Owszem, należy krytykować poszczególne momenty tej zapewne niedość sprecyzowanej tezy, chodzi jednak o przeświadczenie o jej nieubłaganej konieczności. Ceny na zboże będą może jeszcze spadały — nic na to nie poradzą żadne jeremjady. Trzeba pogodzić się z tą

perspektywą i na jej płaszczyźnie zbudować nową rzeczywistość, nowy program i plan gospodarki na roli.

Nie wolno poddawać się rdzy zniechęcenia, trzeba się uodpornić przeciw niemu przeświadczeniem, że — jak to słusznie zauważył min. Zawadzki — tylko program działania, obliczony na dłuższą przyszłość, w tym więc wypadku program racjonalizacji produkcji rolniczej, może przynieść ratunek. Mówiąc o tej kwestji, nie mamy oczywiście zamiaru w paru słowach rozstrzygać całego zagadnienia we wszystkich jego szczegółach i finezjach. Traktujemy rzecz ściśle przykładowo. Idzie nam przedewszystkiem o to, by wpoić przekonanie o konieczności zmiany kierunku, o niezbędności innego nastawienia psychicznego i ekonomicznego całego naszego stanu rolniczego. Powinien on pożegnać się, choćby nawet ze łzą w oku, z przebrzmiałymi szablonami myślowymi i ekonomicznymi, i przejść do nowych zasad. Całokształt gospodarki na roli wymaga w tej chwili tak radykalnych przeobrażeń, jakie w swoim czasie — mutatis mutandis — stanowił system płodozmianu. A codzienna rzeczywistość potwierdza chyba aż nadto tę tezę.

Przechodząc do dalszej konsultacji bolączek naszego życia gospodarczego, musimy zwrócić uwagę na ten prawdziwie ropiejący wrzód, jakim jest zagadnienie kredytowe w Polsce. Lapidarnie ujmując tę kwestję, dałoby się powiedzieć, że mamy u nas zadużo i zamało kredytu. Zadużo kredytu lichwiarskiego, zamało — zdrowego.

Zapanowała u nas psychoza brania kredytów na prawo i na lewo, bez oglądania się na ich gospodarczą racjonalność. W ten sposób wywołano zjawisko kredytu uciążliwego, który miast wzmagać i zasilać życie gospodarcze, rujnował je do szczętu.

Szarża „gospodarki na kredyt" szła aż do absurdu. Ludzie z zadziwiającą bezmyślnością zaciągali kredyty krótkoterminowe i wysokoprocentowe na cele inwestycyj-

ne. W fałszywem mniemaniu, że koło rozpędowe prosperity zasypie cały kraj swemi dobrodziejstwami, że fala zysków rość będzie do nieskończoności, puszczano się na mętne fale spekulacji. Tem bowiem mianem — co tu dużo mówić — określić trzeba system zaciągania kredytów nieracjonalnych!

Oczywiście, zdajemy sobie sprawę z tego, że zrujnowanie istniejącego przed wojną kredytu długoterminowego zamknęło możliwości szybkiej jego odbudowy, życie gospodarcze zaś nie może przecież obywać się bez kredytu. Nic dziwnego więc, że korzystano z tego, co było pod ręką. W ten sposób rozwinął się kredyt lichwiarski. Jego uciążliwość okazała się w całej pełni w momencie załamania się konjunktury. Spadek cen i wogóle t. zw. dochodowości stworzył katastrofalną dysproporcję między wysokością zaciągniętych zobowiązań oraz ich oprocentowania, a wypłacalnością jednostek gospodarczych.

Łatwość uzyskiwania w swoim czasie kredytów, nieopatrzność w ich braniu, stworzyły pułapkę, w której znalazło się bez wyjścia całe nieomal życie gospodarcze. Zwłaszcza zaś rolnictwo, olśnione powodzeniem pierwszych lat powojennej konjunktury, zaangażowało się w uciążliwe kredyty w sposób wręcz katastrofalny.

Cały rozpęd inwestycyjny rolnictwa oparty został przeważnie na obcej, zewnętrznej sile finansowej. Stworzono przez to bardzo wysokie, sztywne obciążenie warsztatów rolnych, które musiało zaciążyć na nich kamieniem w chwili załamania się cen zboża.

W rozpędzie produkcyjnym zapomniano o kardynalnej prawdzie gospodarki rolniczej. O tem, że granica ilościowa produkcji, pozostająca w ścisłym związku z czynnikami demograficznymi, jest bardzo bliska i że jej przekroczenie grozi katastrofą załamania się całej kalkulacji producenta. Przesycenie rynku zbożem automatycznie wywołuje spadek cen, a w ślad za tem ruinę warsztatów, obciążonych niezdrowym kredytem.

Trzeba przyznać, że ten błąd popełniło rolnictwo na całym świecie i że dopiero na tle tych smutnych doświadczeń rodzą się głosy otrzeźwienia, nawołujące do obniżenia kosztów własnych produkcji i do ograniczenia jej intensywności. Zwłaszcza zaś nakazem staje się powstrzymanie od korzystania z kredytu, przynajmniej takiego, jaki w tej chwili jest u nas do rozporządzenia.

Na tle tych rozważań wyłania się teza, że w obecnej chwili jest koniecznem nie tyle ułatwianie, ile utrudnianie kredytu! Kredyt powinien być trudny, ale jednocześnie tani.

Co to znaczy trudny?

To znaczy, że trzeba położyć kres udzielaniu i korzystaniu z nieracjonalnych kredytów, t. j. takich kredytów, które stanowić mogą pod jakimkolwiek względem nadmierne obciążenie danej jednostki gospodarczej. Kredyt wekslowy, czy wogóle krótkoterminowy, w rolnictwie, wbrew pozorom, nie odgrywa roli dobroczynnej. Przeciwnie, nie jest on superfosfatem, ale rdzą, która zjada substancję majątkową dłużnika.

Dochód, który rola normalnie daje, nie wynosił i nie może wynosić więcej, niż 3 — 5 procent. To też, gdy przed wojną pożyczał ktoś na 8 czy 12 procent, patrzono nań, jak na bankruta. Dziś ludzie pożyczają na 3 procent i więcej miesięcznie, nic dziwnego, że gospodarka rolna idzie zwolna ku ruinie. Dość powiedzieć, że wysokość obciążenia krótkoterminowego wynosi tyle, ile wartość jednorocznego zbioru zbóż po obecnych cenach (por. „Krach czy rozkwit?“ J. Czarnecki, str. 32).

Mutatis mutandis te same zastrzeżenia dotyczą stosunków kredytowych i w innych dziedzinach życia gospodarczego. Ludzie zapomnieli, że nieracjonalny kredyt przypomina zastrzyk wapna w mięśnie, zamiast do żył, co, jak wiadomo, wywołuje paraliż kończyn. Kredyt zatem, miast stanowić zdrową podnietę i regulator gospodarki, staje się zaporą.

Ta pohopność w korzystaniu z rzekomych dobrodziejstw kredytu jest wynikiem tendencji spekulacyjnych, które w każdym człowieku są ukryte. Łatwość uzyskania kredytu stwarza iluzję, że w ślad za tem przyjdą również korzyści. Jest to złudzenie, któremu bezwzględnie zaprzecza rzeczywistość. Dobrobyt gospodarczy nie ma w sobie ani krzty momentu spekulacyjnego. Tworzy się on mozolną pracą i tej drogi w zasadzie uniknąć się nie da. Oczywiście istnieją przykłady t. zw. bajecznych karjer i fortun. Lecz one właśnie potwierdzają regułę.

Niestety, ludzie mało się z tem liczą. To też obserwujemy zadziwiające i zasmucające zjawisko, że gdy na niejedną akcję pożyteczną, celową, jakkolwiek wymagającą mozolnej pracy i dłuższego czasu, nie można uzyskać marnych setek złotych, to na różne ryzykanckie i poprostu nieuczciwe imprezy znajdują się tysiące i miljony złotych. Wystarczy wspomnieć tu dzieje 40 miljonów, zmarnowanych w Oswagu.

To wszystko dowodzi, że ludziom brak jest poczucia właściwego rytmu w dorobku. Poprostu któregoś ranka każdy chce się obudzić krezusem. Zapomina się o tem, że tylko pracą i oszczędnością narody się bogacą. Oczywiście nie mamy tu na myśli oszczędności „pończochowej“, zgadzamy się również z założeniami bardzo ożywionej propagandy znanego ekonomisty Keynesa, że pieniądze są po to, aby je wydawać. To samo zresztą mówił już św. Tomasz sześć wieków temu. Rzecz jest w tem, by wydawanie pieniędzy, by cały obrót finansowy był celowy, oparty o zdrowe podstawy, wolny od momentów spekulacyjnych.

Trzeba zwrócić uwagę na pewien moment psychologiczny. Mianowicie, wbrew wszelkim pozorom, spekulant nie ma w sobie nic ze zdobywcy i twórcy. Psychika spekulanta jest psychiką zwyrodniałego konsumenta, jest psychiką obżartucha, który dorwał się do stołu i chce jak najprędzej pochłonąć wszystko, co na nim się znajduje. Ani mu w głowie szkodliwe skutki takiej łapczywości.

Takiej zwyrodniałej psychice przeciwstawia się psychika producenta — twórcy, który mozolną pracą rozszerza zakres swych gospodarczych możliwości i ekspansji. Tego pokroju człowiek nie da się nabrać na żadne łatwe korzyści. Organicznie jest mu obce wszystko, co pachnie łatwizną, jak zafałszowana potrawa tanią frytura.

Dzisiejsze czasy, czasy przełomu, czasy budowy nowego porządku społeczno-gospodarczego, wymagają od nas postawy rzetelnego producenta, który nie da się uwieść syrenim pokusom spekulacji. Nowa rzeczywistość gospodarcza w Polsce nie powstanie przecież na zbrakowanych wekslach, na przeciążonych hipotekach, na fałszywych apetytach spekulacyjnych. Zrodzić się musi ona z twardego, mozolnego czynu, wyrosłego na tle konstruktywnego programu gospodarczego.

Aby taki czyn mógł się przejawić, trzeba przedewszystkiem przebudować swą psychikę, trzeba ją oczyścić ze wszystkich szkodliwych naleciałości nastawienia zachłannego konsumenta.

Rozwijający się przed naszemi oczyma cykl przeobrażeń gospodarczych, niewątpliwie działa na niejednego zaskakująco. Najtrudniej jest bowiem przełamać zastarzałe nawyki myślowe. Najtrudniej — więc dlatego jest to zadanie, w danej chwili najważniejsze, od którego nie może się uchylić nikt, kto chce zbudować sobie lepszą przyszłość gospodarczą.

Trzeba przemyśleć nowe tendencje życia gospodarczego, wyczuć i wczuć się w jego rytm, przystosować się do niego i wkroczyć świadomie na nowe drogi organizacji życia gospodarczego. To właśnie nazywamy „metodą w szaleństwie". Pojęcie tej metody, nowej metody gospodarczej, przeciwstawiamy wyraźnie i zdecydowanie psychologji oportunistów, spekulantów i defetystów.

Józef Czarnecki.

Szanowny Autor poruszył tu w tonie lekkim, raczej feljetonowym, między innemi pewne, szczególnie ważne zagadnienie, o doniosłości może rewelacyjnej. Nie podzielając w całej rozciągłości wszystkich tez powyższego artykułu, musimy jednak podkreślić wysunięty tam postulat — pozornie paradoksalny: utrudnienia kredytu!

Jakto? W dzisiejszych, katastrofalnych warunkach kryzysu gospodarczego, gdy świat cały woła zgodnym chórem o udostępnienie kredytu, zwłaszcza długoterminowego, gdy wszelkie organizacje gospodarcze i konferencje międzynarodowe nad tem pracują, gdy również samo pismo nasze jeszcze niedawno zabierało głos pozytywny w tej sprawie — nagle jeden z naszych najbliższych współautorów rzuca, mówiąc obrazowo, całemu światu w twarz rękawicę, wzywając do zahamowania akcji kredytowej!

Zaprawdę, na takie pociągnięcia chyba tylko jedna „Nasza Przyszłość“ może się zdobyć i może sobie na to pozwolić! Bo miałoby się zpyszna każde inne pismo, poważne czy popularne, fachowe czy nie fachowe, któreby w tak bolesny sposób ugodziło w „najżywotniejszy interes“ całego społeczeństwa!

Ale zastanówmy się chwilkę spokojnie nad tym pozornym paradoksem (o ile wogóle ktokolwiek, zwłaszcza ze sfer gospodarczych, jest w stanie spokojnie nad nim się zastanowić).

Co powiedzianoby o człowieku prywatnym, który, mając pewien określony majątek i warsztat pracy, o określonej opłacalności, często ujemnej, zaciągałby kredyty — czyli długi — na prawo i lewo, tak dalece, że wkońcu ponad jego rzeczywistym majątkiem urósłby drugi „majątek“, fikcyjny, na kredycie czyli długu oparty, wielokrotnie od rzeczywistego majątku większy? Powiedzianoby oczywiście, bez najmniejszej kwestji, ani wahania, że to skończony utracjusz, albo warjat. Dziwionoby się naiwności danych instytucji kredytowych, a nawet pociągniętoby do odpowiedzialności kierowników tych instytucji za

karygodnie lekkomyślne udzielanie pożyczek, nie mających żadnych widoków oprocentowania i amortyzacji.

Tak osądzonoby sytuację w wypadku lekkomyślnego zaciągania i udzielania kredytu osobie prywatnej, czy poszczególnemu przedsiębiorstwu prywatnemu. Ale widocznie nikt nie zastanawia się nad tem, że w ten sposób żyją dzisiaj państwa i „gospodarstwa krajowe". Istotnie, ponad faktyczną możliwością gospodarczą i płatniczą tych wielkich zespołów rozbudowuje się z prawdziwie szaleńczym rozpędem gmach olbrzymich długów, na aparacie kredytowym opartych, a zaciąganych dla dogodzenia wszelkim, nawet nierealnym pożądaniom „rozwojowym". Zupełnie tak samo, jakgdyby ktoś niezamożny, a pożądający automobilu, otrzymał kredyt na jego nabycie, bez realnej refleksji, czy może kredyt ten spłacić i pokryć również dalsze koszta utrzymania automobilu!

Słyszymy ciągle, że rolnictwo, czy przemysł, czy handel potrzebują kredytu, kredytu i jeszcze raz kredytu. Ale co to jest rolnictwo, przemysł lub handel? Czy to jakieś konkretne osoby lub instytucje? Czy to jakieś spółki akcyjne lub inne? Nie, to przecież tylko pewne pojęcia i wyrażenia zbiorowe, pewne fikcje filozoficzno-gospodarcze, stworzone dla określenia zawodu pewnej ilości jednostek w państwie. Na szczęście! Bo przecież tylko w Sowdepji — a i tam niezupełnie — gospodarstwo krajowe jest jakąś istotną całością, trustem, skumulowanym w ręku rządu. Gdzieindziej jest tylko fikcją, wyrażeniem gramatycznem na oznaczenie pewnych kategorji poszczególnych warsztatów pracy. Niema więc w istocie żadnych interesów gospodarczych całego państwa, a są tylko interesy i interesiki pana Iksa, Ypsylona i Zeta, lub pewnych zbiorowych przedsiębiorstw, przez tychże panów założonych. Są także interesy rządów państw, czyli administracji państwowych, które zazwyczaj układają sobie budżety nie według tego, czem rozporządzają, ale według tego, czego pragną.

A jeżeli administracja państwowa lub prywatna swych pragnień i pretensji nie może z realnego majątku czy dochodu zaspokoić, to szuka kredytu. A dla spłacenia tego kredytu i dla zaspokojenia nowonarastających pretensji rozwojowych zaciąga coraz dalsze długi.

Doszło do tego, że wkońcu suma tych kredytów osiągnęła potworne rozmiary, całkiem nierealne, wielekroć przewyższające wszelkie możliwości spłaty, a najoczywiściej rujnujące swym ciężarem gospodarkę państwa i jednostki. Stąd — kryzys gospodarczy, którego końca oczywiście nie widać, bo go w danych warunkach być nie może. Jak można bowiem mówić o zwalczeniu kryzysu gospodarczego państwa, czy jednostki, czy powiedzmy nawet „życia gospodarczego“, jeżeli żyje się ciągle i gospodaruje — długami!

Nie wchodząc więc w skomplikowane, ekonomicznosofistyczne dygresje na ten temat, należy stwierdzić prostym, zdrowym rozsądkiem, że życie i gospodarowanie kredytem przynieść może w rezultacie tylko coraz większe długi, zwłaszcza, gdy rozmiar systemu kredytowego rośnie bez granicy i końca. Poprzez labirynt tez politycznych i ekonomicznych przebija się jedna, prosta zasada, że „na borg“ wiecznie gospodarować nie można. Przykra to zasada, niewygodna, ale, niestety, prawdziwa!

I do tej zasady trzeba nam chyba powrócić po półtorawiekowej, niebywałej przedtem w dziejach prosperity gospodarstwa nowożytnego, zakończonego obecną katastrofą. Trzeba, jak Mojżesz na pustyni, rozbić i obalić złotego cielca bezkresnego systemu kredytowego i powiedzieć sobie, że „życie gospodarcze“ jest fikcją djalektyczną, że nic istnieć, ani dziać się nie musi, na co niema gotowych pieniędzy, albo przynajmniej realnych warunków możliwości terminowego zwrotu i oprocentowania zaciągniętej pożyczki.

Bo to nieszczęsne słowo, czy hasło „musi“ jest prawdziwą dżumą, która „pałace zamienia w pustynie, gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta“. Tylko, że zamiast poe-

tycznego wyrażenia „grób“, postawmy prozaiczne słowo: bankructwo. Nowoczesna zachłanność gospodarcza zasugestjonowała nas pojęciem, że wszystko, czego „rozwój gospodarczy“ zapragnie, to „być musi“. A jeżeli brak na to pieniędzy, to od czego kredyt, od czego ów wspaniały rozwój aparatu kredytowego, owa chluba nowoczesnej gospodarki cywilizowanej! A więc tylko pożyczać i pożyczać, bo rozwój gospodarczy iść „musi“!

No i rezultaty tego systemu widzimy aż nadto dokoła, wzmagające się od pięciu czy sześciu pokoleń: imperjalizm złotego cielca, walka klas, chroniczny stan bankructwa, życie coraz poniżej rozwoju cywilizacji, katastrofa gospodarcza, etatyzm, socjalizm, komunizm.

Już chyba i ślepy mógłby przejrzeć, że to wszystko wcale być nie „musi“. A za to każdy rozumny człowiek „musi“ powiedzieć sobie, że tak być nie powinno, że w gospodarstwie prywatnem i publicznem można conajwięcej tyle tylko wydawać, ile się ma, a zaciąganie lichwiarskich długów jest nietylko rzeczą karygodną, ale i oczywistym absurdem. Stąd teorja, a zwłaszcza praktyka „kredytu“ powinna i w ekonomji naukowej i w codziennej pracy gospodarczej stanowczej ulec rewizji. Mamy przecież za sobą sto pięćdziesiąt lat doświadczenia, a zwłaszcza ostatnich lat dwadzieścia. Widzimy, jak na dłoni, że przegra ostatecznie wojnę ten, kto ją prowadzi na kredyt, że zbankrutuje ten, kto gospodaruje stale na kredyt. A przecież my wszyscy stale na kredyt wojujemy i gospodarujemy, przyczem wszyscy wybitni ekonomiści i dyplomaci i ludzie gospodarczy dopingują zgodnym chórem hasło „udoskonalenia i ułatwienia kredytu“ — i to nadmiernego, bezgranicznego kredytu, jako podstawowej zasady gospodarczej. A sytuację tę pogarsza jeszcze okoliczność, że faktyczna stopa procentowa tego kredytu (biorąc w rachubę wszelkie jego koszta) przewyższa zwykle bardzo znacznie wszelkie możliwości amortyzacji i oprocentowania.

W praktycznym więc rezultacie ciężki stan dzisiejszej

wątłej opłacalności pracy ludzkiej dobija się kredytem. A przez usiłowania udoskonalenia i ułatwienia kredytu jeszcze łatwiej i doskonalej życie gospodarcze się morduje.

Oto szczery, prawdziwy stan rzeczy. Przyznajemy więc, że w dzisiejszych warunkach ustabilizowanej atmosfery gospodarczej wnioski Autora powyższego artykułu są bardzo nietaktowne, niewygodne i niepopularne. Zrazi sobie tem ludzi, których cała myśl i dusza i psychika, po ojcach i dziadach odziedziczona, wzdycha tylko do kredytu i chce żyć i oddychać kredytem. Chce żyć i gospodarować długami. Dlatego Szanowny Autor, wygłaszając tak heretyckie tezy, może narobić sobie nieprzyjaciół.

Tak — ale „Nasza Przyszłość“, korygując po drodze to lub owo, musi jednak pójść za nim, bo niepodobna nam dla taniego efektu popularności nie iść za prawdą. A ta prawda brzmi:

Jednym z walnych powodów dzisiejszego kryzysu i impasu jest życie nadmiernym kredytem, który wytworzył stan „gospodarki nierealnej“.

Redakcja.


B S
G